

BIULETYN IPN

nr 3 (36)/2015

pamięć



**Urowadzenie
Szesnastu**

**Marzec '68:
listy do Moczara**

**„Inka” – Sanitariuszka
Wyklęta**

Cena 6 zł (5% VAT)

ISSN 2084-7319



numer indeksu 284521
nakład 11 500 egz.

Dodatek specjalny:
plyta z filmem *Szesnastu*
i teledyskiem do piosenki
Kasi Malejonek *Jedna chwila*



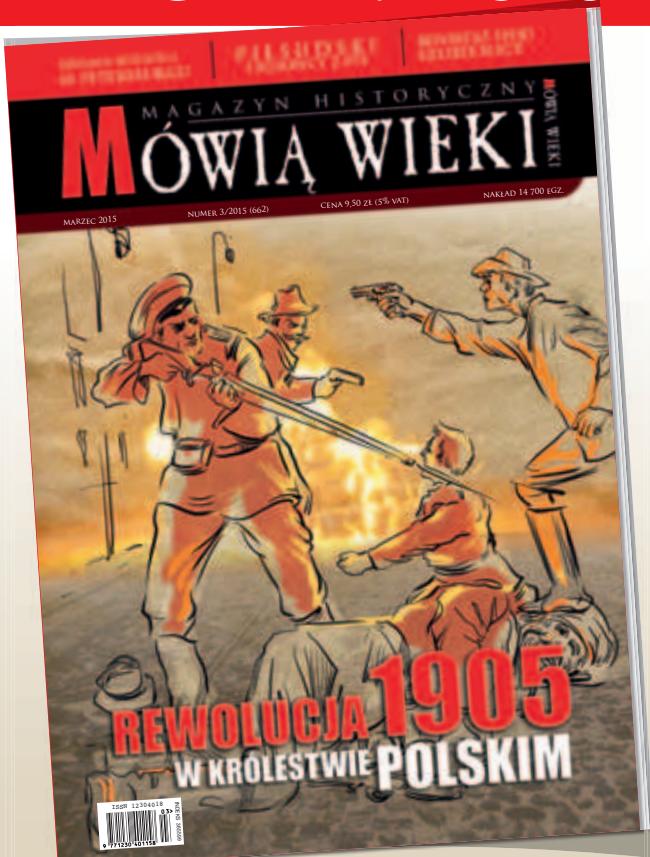
Całość floty rzymskiej dzielono na flotyllę (classis), z których każdą dowodził praefectus classis. Ich nazwy zależały od rejonu, w którym stacjonowały. Oprócz jednostek samego Rzymu, w jego flocie służyły też tak zwane flotille pospolicie dostarczane, dobrowolnie lub przymusowo, przez nacje z nim sfederowane. Oprócz okrętów strictly bojowych Imperium rozporządzało także znaczną ilością mniejszych jednostek patrolowych i patrolowych. W szczególnych sytuacjach różnego rodzaju funkcje pomocnicze, a nawet mniej ważne zadania zbrojne, wypełniała flota handlowa. Większe statki transportowe służyły głównie do przewożenia armii ekspedycyjnej oraz zaopatrzenia i żywności na teren działań wojennych. Wielka ich liczba wyruszyła wraz z całą flotą rzymską (liczącą trzydzieści okrętów) w ekspedycję zbrojną przeciw Kartaginie, zakończoną bitwą morską u przylądka Eknomos w 256 roku przed naszą erą. W czasach republiki naczelne dowództwo nad flotą wojenną leżało w gestii dwóch konsulów. Do sprawowania kontroli nad pojedynczymi flotyllami wyznaczali oni własnych pomocników: trybunów bądź legatów. W 311 roku przed naszą erą z inicjatywy Appiusza Klaudiusza Caecusa przeprowadzono reformę, w myśl której każdy z konsulów dobrał sobie do pomocy jednego oficera floty. Nosił on nazwę duumvir navalis i był członkiem dwuosobowego kolegium duoviri navales. Począwszy od 267 roku przed naszą erą sprawami finansowymi dotyczącymi floty rzymskiej oraz ochroną morskich szlaków handlowych zajmowali się czterech quaestores classici. W czasach II wojny punickiej, z racji dużej ilości morskich potyczek i bitew, należało stworzyć nowy rodzaj dowództwa. Związane z nim zadania przejął praefectus classis podlegający bezpośrednio konsulom. Pod koniec III wieku przed naszą erą w sprawach morskich zauważalnie stał się spadek prestiżu konsula, który ostatni raz dowodził flotą w 218 roku. Jego uprawnienia przejmowali stopniowo inni wysocy urzędnicy, na przykład w trakcie wojny macedońskich całość floty kierował mianowany przez senat legatus pro praetore. Pod koniec II wieku przed naszą erą po raz pierwszy wydzielonymi eskadrami dowodził podlegający temu ostatniemu legati classici. Głównym dowódcą okrętu wojennego był trierarchus. Jego rozkazom podlegał centurio classicus, a więc dowódca eskadry żołnierzy pokładowych. Obowiązkami szypca, czyli dowódcę mniejszymi jednostkami pływającymi, głównie handlowymi, pełnił nauarchus. Z biegiem czasu, kiedy flota rzymska stała się liczną i znaczącą siłą morską, powołano stanowisko przełożonego szypców, które pełnił nauarchus princeps. W zależności od rodzaju okrętu wojennego na jego pokładzie znajdowała się mniejsza lub większa liczba załogi. W jej skład wchodził: kadra dowódcza, żołnierze okrętowi (classarii lub marines), wiosłarze (remiges), żeglarze (nautae), sternik oraz fletnista bądź trębacz odpowiadające odpowiednio temu wiosłowaniu. Oficerowie pokładowi, których głównym zadaniem był nadzór nad pracą wiosłarzy oraz wydawanie odpowiednich rozkazów i komend, zajmowali miejsce na niewielkim pokładzie nawigacyjnym na rufie okrętu flagowego. Na jego maszcie wieszano flagę z typowo rzymskimi symbolami lub – w czasach Imperium – wizerunkiem cesarza (imago). Przebieg przegranej przez Kartagińczyków bitwy u przylądka Eknomos w 256 r. p.n.e. Istotne zadania pełnił na rufie sternik, który manewrował okrętem podczas bitwy oraz odpowiadał za nawigację w czasie żegligracji. Było to możliwe dzięki dwóm zsynchronizowanym wiosłom sterowym, które znajdowały się po obu stronach kadłuba okrętu. Wiosłarze i żeglarze dysponowali jedynie lekkim uzbrojeniem zaczepnym (głównie oszczepami, które podczas żegligracji chowano pod ławeczki wiosłarskie), aczkolwiek ich zadaniem, oprócz wprawiania okrętu w ruch i nadzorowania żagli, było również uczestniczenie w bitwie, jeśli tylko wymagała tego sytuacja. Używali oni przeróżnych sposobów walki: począwszy od wylewania kotłów z gorącą cieczą na pokład przeciwnika, poprzez rzucanie koszar wypełnionych jadłowidnymi węzłami bądź skorpionami, a skończywszy na miotaniu pocisków za pomocą procy oraz rzucaniu oszczepami, nawet z pozycji siedzącej. Każdy okręt wojenny, bez względu na wielkość, posiadał na swym pokładzie określoną liczbę legionistów, którzy podczas rejsu zajmowali miejsce w części dziobowej. Przeważnie była to tak zwana centuria classica licząca stu zbrojnych. W okresie późnej republiki oraz w rzymskiej cesarstwa posiadali następujące uzbrojenie: tunikę kokczą (lorica hamata) bądź dobrze dopasowany do tułowia pancerz (na wzór „pancerza atlety”) i przyczołcone do niego napyłce, czyli połączone ze sobą skórzane pasy, często laminowane metalem, dla lepszej ochrony podbrzusza; hełm typu boeckiego ze specjalnym rondem opadającym ku dołowi i napyłcznikami związanymi pod brodą; oszczep do dwóch metrów długości; krótki miecz (gladius). Ponadto na wyposażeniu żołnierzy pokładowych znajdowały się owalne tarcze zdobione zazwyczaj motywami morskimi (na przykład harpunami lub podobiznami boga Neptuna) i zawieszane na specjalnym pasku na ramieniu. Na podstawie znalezisk archeologicznych w Pompejach i wyobrażeń scen morskich w sztuce rzymskiej można odworzyć także ubiór legionistów okrętowych. Typowy classarius nosił tunikę, długi płaszcz (przeważnie koloru czerwonego) i sandały. W rzymskiej flocie wojennej służyli także sojusznicy morcy (socii navales). Zaliczali się do nich np. Grecy oraz Italikowie sprzymierzeni z Rzymem. W kontekście planowania morskiej wyprawy do Afryki w czasie II wojny punickiej Tytus Liviusz zanotował. Ludy Umbrii, a obok nich mieszkający Nursji, Reate i Amiternum, a także każdy kraj sabański przyrzekli dostarczenie żołnierzy. Z Marsów, Pelignów, Marrucynów wielu zgłosiło się na ochotnika do służby na okrętach. Kamertowic, choć byli w przymierzu z Rzymem na różnych prawach, przysłali uzbrojony oddział sześciuset ludzi. Z biegiem czasu, korzystając z ujarznienia wielu plemion barbarzyńskich, do załóg okrętowych włączano też przedstawicieli podbitych nacji (symmacharii), którzy nie posiadali obywatelstwa rzymskiego i otrzymywali je dopiero po ukończeniu służby wojennej. Zwykle odbywali ją oni jedynie w czasie wojny, otrzymując w zamian wynagrodzenie pieniężne. Symmacharii nie posiadali specjalnego przeszkolenia i walczyli według własnego stylu, właściwego dla plemienia, z którego pochodzili. Przewodzili im, dla ułatwienia kontaktu między dwoma stronami, nie w pełni zromanzowani wodzowie wywodzący się z terenów podbitych, w całości jednak podlegający dowództwu rzymskiemu. W zależności od rejonu stacjonowania poszczególnych flotylli rzymskich w skład rzymskich załóg wchodził: Iberowie, Brytowie, Germanie, Gallowie a nawet Mauroowie lub szerzej – mieszkańcy Afryki Północnej. Symmacharii posiadali typowe, barbarzyńskie uzbrojenie: oszczep, sztylę, okrągłą tarczę wykonaną z drewna i wzmocnioną metalowym umblem oraz maczugę. Charakterystyczną cechą tych zbrojnych był brak pancerza, choć czasami w celu częściowej choć ochrony tułowia i torsu stosowano włócznie warstwowo płócienne tuniki. Wspominani wcześniej Mauroowie w warunkach morskich ubraли się w kilka krótkich oszczepów do rzucania, okrągłą tarczę niewielkich rozmiarów zakładaną na przedramię oraz wlepną tunikę. Z barbarzyńców rekrutowali się także jednostki odpowiadająca za walkę na odległość. Zaliczyć do nich należy łuczników, których często werbowano spośród mieszkańców Bliskiego Wschodu – znani ze swych wysokich umiejętności byli przede wszystkim łucznicy syryjscy. Na ich orientalne uzbrojenie składały się: hełm stożkowy, pancerz łuskowy, nakarcznik, łuk refleksyjny, którego ciężkę napinano za pomocą specjalnego pierścienia (zakira) nakładanego na kciuk oraz krótki miecz. Mniejsze znaczenie aniżeli łucznikom przypisywano miotaczom kamieni, których należy odróżnić od proczar. Ci ostatni pochodzili zazwyczaj z Wysp Balearskich, chociaż znani i cenieni byli także proczarze kretęscy. Na ich uzbrojenie składały się: proca skórzana, luźny płaszcz na pociści, tunika, hełm i krótki miecz bądź pugnal. Jako proczar służyli też zwykłe Brytowie, których odróżniało noszenie długich spodni oraz skórzaną torbę na amunicję. Używano dwóch rodzajów procy: do rzucania na znaczną odległość przeciw oddziałom skupionym w gęstym zszku na małej przestrzeni (w takiej sytuacji znaczne straty w szeregach wroga były gwarantowane) oraz do rzucania do bliższych celów indywidualnych. Nośność procy wynosiła do sześciuset stop rzymskich (jedna stopa rzymska to dwadzieścia dziewięć i sześć dziesiątych centymetrów). Rzucono kamieniami bądź olowanymi kulami. Generalnie rzecz ujmując, niezależnie od tego, czy mówimy do Greków, Rzymianów lub innych jeszcze ludach, bitwy morskie rozstrzygano na trzy sposoby: Dążono zazwyczaj do staranowania wrogich okrętów (grecki manewr – periplus), zdruzgotania ich wiosłem kadłubem (dieklus) lub abordażu, czyli przeniesienia walki na pokład okrętu nieprzyjaciela. Aby skutecznie dokonać taranowania, okręty ustawiały się w szyk szolowy. Następnie podpyływały do nieprzyjacielskich jednostek na bliską odległość i atakowały taranami ich burty. Później wycofywały się w celu uwolnienia taranów, po czym powtarzały wspomniane czynności. Niekiedy dążono także do okrażenia sił przeciwnika poprzez wykonywanie manewru okrążającego. Będąc w niewielkiej odległości od okrętu wroga można było także zdruzgotać jego wiosła poprzez wpłynięcie na nie, gdy znajdowały się w wodzie. Należało przy tym pamiętać, aby wcześniej podnieść własne wiosła. Atak taki był możliwy po uprzednim ustawieniu okrętów w szyk liniowy, które przepływały następnie ze sobą szybką prędkością przez grupowanie nieprzyjaciela. Manewr taki mogła ryzykować jedynie flota złożona z szybkich i zwrotnych jednostek. Stosowano także szyk obronny (kyklos) stosowany przez floty słabsze liczebnie od przeciwnika, bądź złożone z powolniejszych okrętów. Wówczas to jednostki tworzyły okrąg, ustawiając się taranami na zewnątrz – frontem do wroga. Rzymianie, znani z walorów swych sił lądowych, ulepszyli znacznie technikę abordażu. Aby ułatwić własnym żołnierzom przedostanie się na nieprzyjacielski okręt i nadąć starcu morskiemu charakter bitwy na twardej gruncie, zapatrzyli swe okręty w ruchome pomosty, tak zwane kruki (corvus). Miały one jedenście metrów wysokości i jeden i dwie dziesiąte metra szerokości, a każdej strony były zabezpieczone balustradą, a dodatkowo zaopatrzone były w żelazne dzioby. Każdy taki pomost był przymocowany do osmiometrowego słupa ustawionego na dziobie okrętu. Kolowrotowi, wspomnianemu słupowi oraz linom przewleczonym przez jego wierzchołek, możliwe było podnoszenie i opuszczanie opisanej kładki, a także obrócenie jej na dowolną burtę okrętu. Aby cała konstrukcja była stabilna, używano specjalnego kołca bądź haka (coitus) na końcu pomostu.

W Internecie mamy więcej miejsca.



Pierwszy polski portal historyczny
www.histmag.org

MAGAZYN HISTORYCZNY „MÓWIĄ WIEKI”



Popularyzujemy historię od 57 lat!

TEMAT MIESIĄCA

REWOLUCJA 1905 W KRÓLESTWIE POLSKIM:

- Królestwo Polskie przed rewolucją. Społeczeństwo i polityka
- Organizacja Bojowa PPS – polscy terroryści?
- Wygasłe miejsce pamięci – reportaż spod szubienicy

Ponadto w numerze:

- Ryba, symbol chrześcijan
- Śledź na wiele sposobów
- Dodatek edukacyjny „Mówią wieki” w szkole

Oprócz tego: aktualności historyczne, recenzje książek

„Mówią wieki” można nabyć w salonach EMPiK, Kolportera, Garmonda, Inmedio oraz dobrych kioskach RUCH-u, wersja elektroniczna dostępna na stronie internetowej księgarni Bellony: ksiegarnia.bellona.pl. Zamów prenumeratę: kolportaz@bellona.pl

Zapraszamy także na nasze strony internetowe: www.mowiawieki.pl oraz www.facebook.com/mowiawieki



- 2** AKTUALNOŚCI IPN
- 4** KALENDARIUM
- 6** Z PIERWSZEJ STRONY

FELIETON

8 Krzysztof Gottesman, *Upudrowana lafirynda*

Z ARCHIWUM IPN

10 Grzegorz Majchrzak, *Wstydlivy dokument*

STOP-KLATKA

12 Anna Franaszek, *Pascha w archiwum IPN*

WYWIAD

16 Można zejść z piedestału – rozmowa z Janem Peszkim, odtwórcą roli Tytusa Ceglarskiego w filmie *Hiszpanka*

WYDARZYŁO SIĘ W XX WIEKU

- 20** Piotr Stanek, *Szesnastu uprowadzonych*
- 24** Marzena Kruk, *Sanitariuszka Wyklęta*
- 30** Marcin Zwolski, *Aż do ofiary życia*
- 34** Wojciech Fulek, *Towarzysz na plaży*
- 39** Jan Oleński, *Jedwabne pończochy dla świata pracy*



Fot. Jacek Piotrowski/Vue Movie-Distribution



Fot. AIPN



Fot. AIPN



Fot. ze zbiorów Wojciecha Fuleka



Fot. AIPN



Fot. MWP

Fot. ze zbiorów Tomasza Zawistowskiego

- 42** Jakub Szumski, *Nie jesteście sami, Generale Moczar!*
- 47** Jakub Gołębiewski, *Marzec atomowego inżyniera*

PAMIĘTAM JAK DZIŚ...

53 Na stracenie szli spokojnie – relacja Mieczysława Chojnackiego

PRAWDA CZASÓW, PRAWDA EKRANU

58 Jerzy Eisler, *Jarzębina czerwona*

Z BRONIĄ W RĘKĘ

61 Michał Mackiewicz, *AK i M16* – pierwsze starcie, cz. 3

ORZEŁ BIAŁY

64 Tomasz Zawistowski, *Orły zwane karpackimi*

EDUKACJA HISTORYCZNA

68 Karol Madaj, *07 zgłoś się*, czyli gra o dobrym milicjancie

70 RECENZJE

73 BIBLIOTEKA IPN

„Powiedzcie babci, że zachowałam się, jak trzeba” – to ostatnie słowa, które „Inka”, nasza bohaterka z okładki, przekazała rodzinie w formie więziennego grypsu. Każdy zapewne chciałby móc w taki sposób podsumować swoje życie. Danuta Siedzikówna miała je wyjątkowo krótkie, przerwali je w przeddzień osiemnastych urodzin komunistyczni oprawcy. Po latach – dzięki zaangażowaniu zespołu IPN i programowi identyfikacji ofiar reżimu komunistycznego – możemy wreszcie godnie pochować i upamiętnić „Inkę” oraz jej towarzyszy broni. O ostatnich chwilach jej życia i postawie w obliczu śmierci pisze w niniejszym numerze Marzena Kruk. Kiedy stajemy wobec tak tragicznej historii, zawsze pojawia się pytanie o sens poświęcenia: czy cena patriotyzmu nie jest zbyt wysoka? Marcin Zwolski w swoim artykule zastanawia się, jak dalece żołnierze podziemia antykomunistycznego (choć podobne rozważania można by rozciągnąć znacznie szerzej) mieli świadomość zagrożenia, jakie były ich motywacje i gotowość do poniesienia ofiary życia. Odnosi się także do słynnych już słów Marii Peszek, która odrzuca ideę oddania życia za ojczyznę. Między innymi o tym, czym jest patriotyzm, rozmawiamy z Janem Peszkiem, odtwórcą roli Tytusa Ceglarskiego w filmie *Hiszpanka*. Ceglarski wolałby, żeby polskie barwy narodowe kojarzyły się z truskawkami ze śmietaną, a nie z krwią i niewinnością. Każdy by wolał. Tylko że gdyby nie ofiara tysięcy takich jak „Inka”, „Zagończyk” czy „Pług”, być może musielibyśmy te truskawki nazywać *Erdbeeren* albo *klubniki*.

W marcu mija okrągła rocznica aresztowania i uprowadzenia przez NKWD szesnastu przywódców Polskiego Państwa Podziemnego. Ten kolejny przejaw perfidii komunistów i Stalina był właściwie do przewidzenia (spodziewano się zdrady, ale uznano, że nie ma innej drogi niż podjęcie rozmów), większym wstrząsem okazał się jednak brak reakcji aliantów zachodnich na jaskrawe pogwałcenie przez ZSRR wszelkich praw międzynarodowych. Okoliczności tego wydarzenia, a także to, dlaczego Stefan Korboński nie stał się „siedemnastym”, opisuje Piotr Stanek.

Przypominamy również wydarzenia Marca '68. Do stłumienia protestów władze wykorzystaly nie tylko regularne jednostki przewencji, lecz także tzw. aktywy partyjne – szeregowych członków PZPR, którym dano pałki i których przekonano, że wiec studencki jest zagrożeniem dla ładu socjalistycznego i władzy ludowej. O tym, że nie wszyscy „aktywiści” zostali zaangażowani w te działania z własnej woli, pisze Jakub Gołębiewski. Z kolei Jakub Szumski na przykładzie listów poparcia pisanych do ministra Mieczysława Moczara pokazuje, że podczas marcowego kryzysu władza komunistyczna mogła jednak liczyć na spore poparcie społeczne.

Do numeru dołączyliśmy płytę z filmem dokumentalnym *Szesnastu* oraz teledyskiem do piosenki Kasi Malejonek *Jedna chwila*, poświęconej Danucie Siedzikównie.

Redaktor naczelny
Andrzej Brzozowski



■ 13 kwietnia w Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki „Przystanek Historia” (ul. Marszałkowska 21/25) w **Warszawie** zostanie otwarta polska wersja **wystawy „Cierpieniu – prawdę, zmarłym – modlitwę. Polskie miejsca pamięci w Rosji”**. Ekspozycja jest poświęcona miejscom pamięci o ofiarach sowieckiego terrorku państwowego – obywatelach polskich i obywatelach ZSRR narodowości polskiej – deportowanych, internowanych, jeńcach wojennych, więźniach łagrów sowieckich. Wystawa została przygotowana przez Naukowo-Badawcze Centrum „Memorial” z Petersburga, przy wsparciu finansowym Ambasady RP w Moskwie oraz Konsulatu Generalnego RP w Petersburgu. Jej rosyjską wersję pokazywano m.in. w Państwowym Muzeum Historii Politycznej Rosji w Petersburgu oraz Muzeum Historii Gulagu w Moskwie. Wersję polską przygotował IPN.



pamięć.pl

Wydawca: Instytut Pamięci Narodowej
– Komisja Ścigania Zbrodni
przeciwko Narodowi Polskiemu

Rada Programowa: dr hab. Adam Dziurok,
dr Krzysztof Kaczmarski, dr Maciej Korkuć,
dr Tomasz Łabuszewski,
dr Agnieszka Łuczak, dr Karol Nawrocki,
dr Sławomir Poleszak, dr Paweł Skubisz,
dr Waldemar Wilczewski,
dr hab. Joanna Wojdon
dr Andrzej Zawistowski (przewodniczący),
dr Joanna Żelazko

Rada Redakcyjna: Andrzej Czyżewski,
dr Dawid Golik, Krzysztof Gottesman,
dr Joanna Hytrek-Hryciuk,
Agnieszka Jaczyńska, dr Konrad Rokicki,
dr Paweł Rokicki, dr Paweł Sasanka,
dr Magdalena Semczyszyn,
Emilia Świętochowska,
dr Daniel Wicenty

Redakcja: Andrzej Brzozowski
(redaktor naczelny, tel. 22 581 87 98;
e-mail: andrzej.brzozowski@ipn.gov.pl)

Maciej Foks, Filip Gańczak,
Jakub Gołębiewski,
Andrzej Sujka,
Karolina Wichowska
Sekretariat: Maria Wiśniewska
tel. 22 581 88 19

Korekta: dr Magdalena Baj
Projekt graficzny: Krzysztof Findziński,
Marcin Koc, Sylwia Szafrąńska
Skład i łamanie: Sylwia Szafrąńska
Redakcja techniczna: Marcin Koc

Siedziba redakcji: ul. Postępu 18b,
Warszawa

Adres do korespondencji:
ul. Wołoska 7, 02-675 Warszawa
www.ipn.gov.pl

Druk: Toruńskie Zakłady Graficzne
„Zapolex” sp. z o.o.
ul. Gen. Sowińskiego 2/4, 87-100 Toruń

Redakcja nie zwraca materiałów
niezamówionych i zastrzega sobie prawo
dokonywania zmian w nadesłanych tekstach.

1 marca, w Narodowym Dniu Pamięci Żołnierzy Wyklętych, poznaliśmy nazwiska kolejnych pięciorga **ofiar terroru komunistycznego**, których szczątki udało się odnaleźć w wyniku prac ekshumacyjnych prowadzonych m.in. przez IPN. Uroczystość wręczenia krewnym not identyfikacyjnych odbyła się w Pałacu Prezydenckim – z udziałem prezydenta Bronisława Komorowskiego. Zidentyfikowani to:



Marian Kaczmarek „Paweł” (1904–1953), maszynista kolejowy, w latach 1949–1952 związany z ośrodkiem wywiadowczym Barkhausen, podlegającym polskim władzom emigracyjnym w Londynie;

Józef Kozłowski „Las”, „Vis”, „J. Kawecki” (1910–1949), żołnierz AK, uczestnik akcji „Burza”, później komendant Okręgu XVI Narodowego Zjednoczenia Wojskowego; dowodził wieloma akcjami bojowymi przeciwko siłom UB, KBW i MO;

Stanisław Kutryb „Ryś”, „Rekin” (1925–1949), od 1946 roku żołnierz NZW;

Edward Pytko (1929–1952), podporucznik – pilot instruktor w Oficerskiej Szkole Lotniczej nr 5 w Radomiu; skazany na śmierć i stracony po nieudanej próbie ucieczki na Zachód;

Danuta Siedzikówna „Inka” (1928–1946), sanitariuszka V Wileńskiej Brygady AK; więcej na temat „Inki” piszemy na str. 24–29.

Szcątki pierwszych czterech odnaleziono na terenie kwatery „Ł” Cmentarza Wojskowego na Powązkach w Warszawie. Szcątki Danuty Sie-

dzikówny spoczywały w nieoznaczonym grobie na Cmentarzu Garnizonowym w Gdańsku.

W latach 1944–1956 pochowano w Polsce bezimiennie setki osób straconych na mocy wyroków sądów stalinowskich lub zakatowanych przez UB: głównie żołnierzy powojennego podziemia niepodległościowego, a często również bohaterów walki o wolność z okresu II wojny światowej. W ostatnich latach wydobyto spod ziemi szczątki kilkuset ofiar. Do tej pory udało się ustalić tożsamość kilkudziesięciu z nich.

Prace ekshumacyjno-identyfikacyjne prowadzi interdyscyplinarny zespół naukowy pod kierownictwem dr. hab. Krzysztofa Szwagrzyka, złożony z antropologów, archeologów, genetyków, historyków i medyków sądowych. Są w tym gronie specjaliści z Instytutu Pamięci Narodowej, Instytutu Ekspertyz Sądowych w Krakowie, Polskiej Bazy Genetycznej Ofiar Totalitaryzmów oraz Zakładów Medycyny Sądowej w Szczecinie i Wrocławiu. Badania genetyczne koordynuje dr Andrzej Ossowski z Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego.

Projekt badawczy „Poszukiwania nieznanych miejsc pochówku ofiar terroru komunistycznego 1944–1956” ma charakter ogólnopolski i jest owocem współdziałania wielu instytucji państwowych, zwłaszcza IPN, Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, Ministerstwa Sprawiedliwości, Pomorskiego Uniwersytetu Medycznego w Szczecinie i Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu.

Jednoznaczna identyfikacja odnajdowanych szczątków jest możliwa dzięki badaniom DNA. Prezes IPN dr Łukasz Kamiński ponownie zaapelował do bliskich ofiar terroru komunistycznego o przekazywanie materiału genetycznego. Jest to zabieg całkowicie bezbolesny, polegający na pobraniu wymazu z ust. Kamiński poprosił też o przekazywanie wszelkich informacji o miejscach pochówku ofiar komunizmu.

Do 26 marca w Centrum Edukacyjnym IPN „Przystanek Historia” w **Warszawie** można oglądać nową wersję **wystawy** fotografii Piotra Życieńskiego „**Milcząc, wołają**”. Ekspozycja jest poświęcona poszukiwaniom szczątków ofiar systemu komunistycznego, prowadzonym w stołecznej kwaterze „Ł” w latach 2012–2014.

Zapraszamy do **nowej księgarni IPN** przy ul. Wołoskiej 7 w Warszawie (budynek Mars). Czekają Państwa 270 tytułów: książki z wszystkich oddziałów Instytutu, „Pamięć.pl” i inne czasopisma, gry planszowe. Do 30 czerwca obowiązują ceny promocyjne. Księgarnia jest otwarta od poniedziałku do piątku w godz. 8.30–16.00. Wciąż można też korzystać z dotychczasowej księgarni IPN w „Przystanku Historia”.



Fot. Henryk Domagała



We wtorek o godz. 7:40 **TVP1** emituje nowy **program „Historia dla Ciebie – pamięć.pl”**, realizowany przez IPN we współpracy z Telewizją Polską. Dwunastominutowa audycja w przystępny sposób opowiada o historii Polski w XX wieku oraz informuje o najważniejszych działaniach Instytutu Pamięci Narodowej. Kto nie obejrzy odcinka w TVP1, będzie mógł to zrobić później na portalu www.pamiec.pl.

POSTAĆ MIESIĄCA



Fot. ze zbiorów Andrzeja Friszke

▶ Mirosław Chojecki, przełom 1976 i 1977 roku

pieczeństwa, wielokrotnie rewidowany i zatrzymywany na 48 godzin. Kilkakrotnie został pobity, grożono mu. W marcu 1980 roku aresztowano go i oskarżono fałszywie o kradzież powielacza. W więzieniu Chojecki podjął głodówkę. 10 maja – po zainicjowanych w kraju i za granicą akcjach protestacyjnych w jego obronie – został zwolniony. Wkrótce otrzymał jednak wyrok 1,5 roku więzienia w zawieszeniu. W sierpniu 1980 roku – podczas strajku w Stoczni Gdańskiej im. Lenina – współorganizował druk wydawnictw niezależnych. Znow został wówczas zatrzymany, ale po podpisaniu porozumień między władzami a strajkującymi wyszedł na wolność. Ponownie przyjęty do pracy w IBJ, działał w Solidarności – był członkiem komisji ds. dostępu związku do środków masowego przekazu i szefem komórki wydawniczej Regionu Mazowsze. Wprowadzenie w PRL stanu wojennego (1981) zastało Chojeckiego w Stanach Zjednoczonych. W kolejnych latach był związany z Biurem Koordynacyjnym NSZZ „Solidarność” za Granicą. Odpowiadał m.in. za wysyłkę do kraju sprzętu poligraficznego i radiowego. Równolegle wydawał w Paryżu miesięcznik „Kontakt”. Prowadził też prywatne firmy branży audiowizualnej i produkował filmy poświęcone najnowszej historii Polski. W 1990 roku wrócił do kraju. W 2006 roku został odznaczony przez prezydenta Lecha Kaczyńskiego Krzyżem Komandorskim Orderu Odrodzenia Polski. Do dziś jest prezesem honorowym Stowarzyszenia Wolnego Słowa.

5 marca 1945: Podpułkownik Lucjan Szymański „Janczar”, ostatni dowódca Podokręgu Wschodniego Obszaru Warszawskiego AK, został stracony na warszawskiej Pradze.

W czasie I wojny światowej Szymański służył w armii carskiej, a następnie w I Korpusie Polskim gen. Józefa Dowbor-Muśnickiego. Walczył również w wojnie z bolszewikami. W II RP pracował m.in. jako wykładowca w Szkole Podchorążych dla Podoficerów w Bydgoszczy i służył w Korpusie Ochrony Pogranicza. W wojnie obronnej 1939 roku walczył w stopniu majora. Dostał się do niewoli niemieckiej, z której jednak szybko uciekł. W czasie okupacji działał w Związku Walki Zbrojnej i Armii Krajowej. Jednostki bojowe, które nadzorował, zajmowały się m.in. sabotażem kolejowym, prowadziły akcje przeciw-

25 marca 1980: W Warszawie został aresztowany Mirosław Chojecki, szef niezależnego wydawnictwa NOWa.

Mirosław Chojecki (ur. 1949) jest synem Marii Stypułkowskiej-Chojeckiej „Kamy”, uczestniczki zamachu na gen. Franza Kutscherę i Powstania Warszawskiego. W marcu 1968 roku brał udział w strajku studentów Politechniki Warszawskiej, za co został relegowany z uczelni. Sześć lat później ukończył studia na Wydziale Chemii Uniwersytetu Warszawskiego i znalazł zatrudnienie w Instytucie Badań Jądrowych (IBJ). W 1976 roku zaangażował się w pomoc ofiarom represji w Radomiu i Ursusie. Zwolniony z pracy, przystąpił do Komitetu Obrony Robotników i zajął się niezależną działalnością wydawniczą. Odpowiadał za powielanie pism KOR – „Komunikatu” i „Biuletynu Informacyjnego”. W 1977 roku współtworzył Niezależną Oficynę Wydawniczą NOWa – największe z działających wówczas w PRL wydawnictw poza cenzurą. Był rozpracowywany przez aparat bez-

ko gestapowcom i konfidentom, uwalniał więźniów. 2 sierpnia 1944 roku Szymański – wówczas już podpułkownik – objął dowodzenie sztabem Podokręgu Wschodniego AK, a kilka dni później – całym podokręgiem. Działał na terenie zajętych przez Armię Czerwoną. Informował przelotycznie m.in. o aresztowaniach polskich żołnierzy przez sowiecki NKWD. „Warunki naszej pracy są błardzo ciężkie, ale będziemy nadal ją prowadzić. Pozostali nasi najdzielniejsi ludzie widzą w nas oparcie i potrzebują kierownictwa” – pisał w listopadzie do gen. Leopolda Okulickiego. 23 grudnia „Janczar” został aresztowany przez Urząd Bezpieczeństwa i 21 lutego 1945 roku skazany na śmierć przez Wojskowy Sąd Garnizonowy w Warszawie. Wyrok wykonano w więzieniu „Toledo” przy obecnej ul. Namysłowskiej.

2 marca 1950: W Ministerstwie Bezpieczeństwa Publicznego utworzono tajne Biuro Specjalne.

Po rozprawieniu się z legalną opozycją polityczną i niemal całkowitym rozbiuciu podziemia niepodległościowego władze komunistyczne przystąpiły – wzorem ZSRR i innych krajów „demokracji ludowej” – do tropienia wrogów we własnych szeregach. Posłuszną Stalinowi kierowniczą trójka Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej – Bolesław Bierut, Jakub Berman i Hilary Minc – pozbywała się działaczy, którzy wykazywali choć odrobinę niezależności wobec Moskwy. W maju 1950 roku aresztowano gen. Mariana Spychalskiego, a w sierpniu Władysława Gomułkę – jeszcze niedawno szefa partii.



Fot. AIPN

▶ Pułkownik Anatol Fejgin

Zajął się tym właśnie Biuro Specjalne, powstałe z Grupy Specjalnej, istniejącej formalnie od lutego 1949 roku, a nieoficjalnie już wcześniej. Na czele biura stał płk Anatol Fejgin, jego zastępcą był ppłk Józef Światło. Ich pracami sterowali zaś wiceministrowie Roman Romkowski i Wacław Lewikowski. W szczytowym okresie w biurze pracowało ponad sto osób. Miały one do dyspozycji nie tylko pomieszczenia w gmachu MBP, lecz także w stołecznym więzieniu przy ul. Rakowieckiej i tajny obiekt w podwarszawskim Miedzeszynie, gdzie – nieraz w bestialski sposób – przesłuchiowano aresztowanych. Jesienią 1951 roku Biuro Specjalne zostało przekształcone w Departament X MBP. Istniał on do czerwca 1954 roku.

13–15 marca 1940: Niemcy zamordowali około pięciuset pacjentów Szpitala dla Nerwowo i Psychicznie Chorych „Kochanówka” – obecnego Szpitala im. Józefa Babińskiego w Łodzi.

Narodowi socjaliści uznawali chorych psychicznie za „niegodnych życia”. W czasie II wojny światowej prowadzili w Rzeszy ich likwidację, nazwaną później akcją T4. Podobne działania miały miejsce na ziemiach II RP, które w 1939 roku znalazły się pod okupacją niemiecką. Na terenie Kraju Warty, Prus Zachodnich i Rejencji Ciechanowskiej działało tzw. Sonderkommando Lange, dowodzone przez oficera SS Herberta Langego. Początkowo chorych uśmiercano w bunkrze w Forcie VII w Poznaniu. Później wykorzystywano specjalny samochód z komorą gazową. Drzwi szczelnie zamykano, a gdy pojazd ruszał, kierowca wpuszczał do komory śmiertelny gaz. Samochód zatrzymywał się w lesie. Tam wyznaczeni do pomocy więźniowie wyladowywali zwłoki i grzebali je w zbiorowych mogiłach. Sonderkommando Lange uśmierciło łącznie ponad 6 tys. pacjentów – m.in. z Owińska, Świecia, Dziekanki (dziś dzielnicy Gniezna), Kościana, Kochanówki i Warty. Likwidacja chorych z Kochanówki odbyła się w ramach trzech „ewakuacji” i łącznie w latach 1940–1941 objęła 692 osoby. Zagładę chorych psychicznie władze niemieckie próbowały utrzymywać w ścisłej tajemnicy. Rodzinom ofiar wystawiano świadectwa zgonu z wymyślonymi przyczynami śmierci lub mówiono, że pacjent został wywieziony do innego zakładu. Mimo to sprawy nie udało się całkowicie ukryć. Protesty – m.in. bliskich i Kościoła katolickiego – doprowadziły do tego, że w 1941 roku akcja została mocno przyhamowana.



Fot. AIPN

19 marca 1920: Józef Piłsudski przyjął stopień Pierwszego Marszałka Polski.

I wojnę światową Piłsudski skończył w stopniu brygadiera Legionów Polskich, co można uznać za odpowiednik generała brygady. U progu niepodległej Rzeczypospolitej był już jednak Naczelnikiem Państwa i Naczelnym Wodzem, tymczasem w Wojsku Polskim nie brakowało oficerów przewyższających go rangą. W 1919 roku upadł pomysł, by sejm na mocy specjalnej ustawy mianował Piłsudskiego Pierwszym Marszałkiem Polski – przeciwna temu była prawica. W tej sytuacji 26 lutego 1920 roku działająca w wojsku Ogólna Komisja Weryfikacyjna przyjęła uchwałę, by „w dowód czci i holdu” zwrócić się bezpośrednio do Piłsudskiego „z prośbą o przyjęcie Najwyższej Godności Wojskowej”. Piłsudski – na mocy krótkiego dekretu – stopień Pierwszego Marszałka Polski „przyjął i zatwierdził”. 19 marca zostało to ogłoszone w roz-

kazie gen. Józefa Leśniewskiego, ministra spraw wojskowych. Uroczystość wręczenia buławy marszałkowskiej odbyła się na placu Zamkowym w Warszawie 15 listopada 1920 roku – już po zwycięstwie w wojnie z bolszewikami.

Przed II wojną światową stopień wojskowy marszałka Polski otrzymali jeszcze francuski marszałek Ferdinand Foch (1923) i Edward Śmigły-Rydz (1936).

19 marca 1965: Jacek Kuroń i Karol Modzelewski rozkolportowali na Uniwersytecie Warszawskim *List otwarty* do działaczy partyjnych i młodzieży ZMS.

Modzelewski był w tym czasie doktorantem w Instytucie Historycznym UW. Zorganizował na uczelni Polityczny Klub Dyskusyjny, do którego wstąpił także Kuroń. W 1964 roku obaj przygotowali broszurę programową, w której krytycznie – choć z pozycji marksistowskich – analizowali praktykę ustrojową PRL i, wskazując na konflikt między robotnikami a biurokracją partyjną, postulowali głębokie reformy systemu. W listopadzie nieukończony dokument skonfiskowała Służba Bezpieczeństwa, a autorzy zostali wykluczeni z partii. W odpowiedzi opracowali – na podstawie wcześniejszej broszury – *List otwarty do członków PGP PZPR i do członków uczelnianej organizacji ZMS przy Uniwersytecie Warszawskim*. „*List* był pierwszym od bardzo dawna manifestem sprzeciwu wobec systemu” – tłumaczy prof. Andrzej Friszke. „Do kogo należy władza w naszym państwie? Do jednej monopolistycznej partii – PZPR. Wszystkie istotniejsze decyzje podejmowane są najpierw

w partii, a potem dopiero w organach oficjalnej władzy państwowej [...] Klasa robotnicza nie ma możliwości organizowania się w inne partie” – pisali autorzy. Choć zarzekali się, że ich poglądy nie są „antypartyjne”, władze uznały inaczej. Za rozdanie zaledwie kilkunastu egzemplarzy dokumentu Kuroń i Modzelewski zostali błyskawicznie aresztowani i oskarżeni o „sporządzanie i rozpowszechnianie opracowań szkodliwych dla interesów państwa”. W lipcu Sąd Wojewódzki dla m. st. Warszawy skazał Kuroń na trzy lata więzienia, a Modzelewskiego – na 3,5 roku.



Fot. Anna Beata Bohdziewicz / FOTONOVA

▶ Jacek Kuroń i Karol Modzelewski

26 marca i 24 maja 1945: Rząd Tymczasowy przyjął uchwałę o powołaniu Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego.

Oficjalnie zadaniami KBW były zapewnienie „bezpieczeństwa publicznego i porządku” oraz ochrona „osobistych praw obywateli Polski Demokratycznej”. Doktor Sławomir Poleszak z lubelskiego IPN przypomniał na łamach „Gazety Wyborczej”, że w praktyce korpus zwalczał partyzantkę ukraińską, we wczesnych latach powojennych – niemiecką, ale przede wszystkim jego żołnierze likwidowali polskie podziemie niepodległościowe: „Pacyfikowali niepokorne wsie podejrzewane o współpracę z »reakcyjnym podziemiem«, eliminowali »przeciwników władzy ludowej«. [...] KBW odpowia-



Fot. AIPN

▶ General Bolesław Kieniewicz

da za śmierć kilku tysięcy polskich patriotów. [...] Trzon kadry oficerskiej korpusu tworzyli byli partyzanci Armii Ludowej, była też spora grupa Sowietów” – zauważył Poleszak. Z Armii Czerwonej wywodził się np. gen. Bolesław Kieniewicz, dowódca KBW w latach 1945–1946. W szczytowym okresie – na początku lat pięćdziesiątych – korpus liczył ponad 40 tys. żołnierzy. Podlegał wówczas Ministerstwu Bezpieczeństwa Publicznego, po jego rozwiązaniu w 1954 roku przeszedł pod skrzydła MSW. W 1965 roku zdecydowano o rozformowaniu KBW. Jego jednostki weszły w skład nowo utworzonych Wojsk Obrony Wewnętrznej, podległych Ministerstwu Obrony Narodowej.

Spokoju dla Warszawy — żądają załogi stołecznych fabryk

WARSZAWA (PAP). Warszawiacy chcą spokoju, nie chcą demonstracji, strajków, zamieszek i zamieszania. Żądają spokoju dla Warszawy — żądają załogi stołecznych fabryk. W Warszawie trwa strajk robotników FSO („kilkutysięcznej rzeszy”), którzy — zebrani w hali montażowej — dali wyraz niezadowoleniu z powodu bliżej nieokreślonych wypadków w Warszawie. Robotnicy mieli ze sobą transparenty, na których wypisano hasła „wielokrotnie podchwytywane i skandowane przez uczestników wiecu”. Przytoczono te najważniejsze, które zawierały konkretne postulaty społeczne („Więcej dzieci robotników i chłopów na wyższe uczelnie”), oraz te wskazujące, kogo robotnicy FSO winią za niepokoje w Warszawie: „Literaci do pióra — studenci do nauki”, „Oczyszczyć partię z syjonistów”. Zebrani robotnicy jednogłośnie uchwalili rezolucję, w której potępiono „awantury grup studenckich” oraz konkretnych osób „znanych z politycznego rozrabiacstwa”: Adama Michnika, Henryka Szlajfera, Krzysztofa Topolskiego, Wiktora Góreckiego, Ewy Zarzyckiej, Józefa Dajczgewanda i innych. Demonstracje i protesty studentów zostały nazwane prowokacjami, jednocześnie podkreślano, że wśród studentów, którzy wzięli udział w „zajściach”, nie było dzieci robotników i chłopów — wskazywano przez to na „obcość”, „prowodyrów” i „rozrabiaczy”. Zebrani robotnicy domagali się pociągnięcia do odpowiedzialności „wichrycieli” i „warcholów”.

12 marca 1968 roku

Spokoju dla Warszawy — żądają załogi stołecznych fabryk — brzmiał tytuł na pierwszej stronie „Dziennika Polskiego” z 12 marca 1968 roku. Czytelnik czerpiący wiedzę o wydarzeniach w Polsce wyłącznie z codziennej lektury krakowskiej gazety mógł czuć się zdezorientowany. W artykule bowiem nie zamieszczono na wstępie informacji, co właściwie stało się w stolicy w dniach poprzedzających wydanie dziennika i dlaczego robotnicy tak natarczywie domagali się spokoju. Tematem artykułu było wystąpienie na warszawskim Żeraniu robotników FSO („kilkutysięcznej rzeszy”), którzy — zebrani w hali montażowej — dali wyraz niezadowoleniu z powodu bliżej nieokreślonych wypadków w Warszawie. Robotnicy mieli ze sobą transparenty, na których wypisano hasła „wielokrotnie podchwytywane i skandowane przez uczestników wiecu”. Przytoczono te najważniejsze, które zawierały konkretne postulaty społeczne („Więcej dzieci robotników i chłopów na wyższe uczelnie”), oraz te wskazujące, kogo robotnicy FSO winią za niepokoje w Warszawie: „Literaci do pióra — studenci do nauki”, „Oczyszczyć partię z syjonistów”. Zebrani robotnicy jednogłośnie uchwalili rezolucję, w której potępiono „awantury grup studenckich” oraz konkretnych osób „znanych z politycznego rozrabiacstwa”: Adama Michnika, Henryka Szlajfera, Krzysztofa Topolskiego, Wiktora Góreckiego, Ewy Zarzyckiej, Józefa Dajczgewanda i innych. Demonstracje i protesty studentów zostały nazwane prowokacjami, jednocześnie podkreślano, że wśród studentów, którzy wzięli udział w „zajściach”, nie było dzieci robotników i chłopów — wskazywano przez to na „obcość”, „prowodyrów” i „rozrabiaczy”. Zebrani robotnicy domagali się pociągnięcia do odpowiedzialności „wichrycieli” i „warcholów”.

Na drugiej stronie dziennika zamieszczono artykuł *Dalsze ekscesy w stolicy nieodpowiedzialnych elementów*, w którym relacjonowano starcia milicji, bezpieki i ORMO z demonstrującymi studentami i młodzieżą warszawską. Autor wspominał z kilkudniowym opóźnieniem i jakby mimochodem, że rozruchy rozpoczęły się 8 marca na Uniwersytecie Warszawskim. „Na Krakowskim Przedmieściu pojawiły się krzykliwe grupy, wśród których przeważali młodociami”. Bicie studentów przez bojówki partyjne i milicję przedstawiono jako obronę porządku i praworządności; wymieniono m.in. zniszczenia, których dokonali studenci.

Dalsze ekscesy w stolicy nieodpowiedzialnych elementów

WARSZAWA (PAP). W niedzielę, 10 marca, w Warszawie miały miejsce dalsze starcia milicji z demonstrującymi studentami i młodzieżą warszawską. W centrum stolicy, na Krakowskim Przedmieściu, doszło do starcia milicji z grupą demonstrujących. Milicjanci użyli siły, a demonstrujący odpowiadali kamieniami i rzucaniem butelek. Starcia miały miejsce również w innych częściach stolicy. W Warszawie trwa strajk robotników FSO („kilkutysięcznej rzeszy”), którzy — zebrani w hali montażowej — dali wyraz niezadowoleniu z powodu bliżej nieokreślonych wypadków w Warszawie. Robotnicy mieli ze sobą transparenty, na których wypisano hasła „wielokrotnie podchwytywane i skandowane przez uczestników wiecu”. Przytoczono te najważniejsze, które zawierały konkretne postulaty społeczne („Więcej dzieci robotników i chłopów na wyższe uczelnie”), oraz te wskazujące, kogo robotnicy FSO winią za niepokoje w Warszawie: „Literaci do pióra — studenci do nauki”, „Oczyszczyć partię z syjonistów”. Zebrani robotnicy jednogłośnie uchwalili rezolucję, w której potępiono „awantury grup studenckich” oraz konkretnych osób „znanych z politycznego rozrabiacstwa”: Adama Michnika, Henryka Szlajfera, Krzysztofa Topolskiego, Wiktora Góreckiego, Ewy Zarzyckiej, Józefa Dajczgewanda i innych. Demonstracje i protesty studentów zostały nazwane prowokacjami, jednocześnie podkreślano, że wśród studentów, którzy wzięli udział w „zajściach”, nie było dzieci robotników i chłopów — wskazywano przez to na „obcość”, „prowodyrów” i „rozrabiaczy”. Zebrani robotnicy domagali się pociągnięcia do odpowiedzialności „wichrycieli” i „warcholów”.

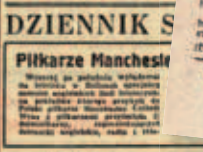
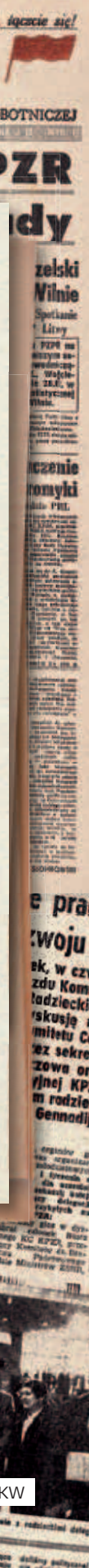
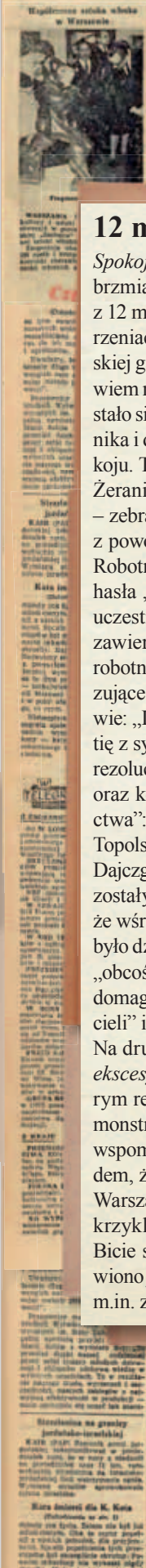
1-2 marca 1986 roku

„Będąc aktywistą partyjnym, dostrzegam potrzebę aktywne działania w walce ze złem. Dlatego też chętnie uczestniczę w kontrolach Inspekcji Robotniczo-Chłopskiej” — pisał Kazimierz Piątek, Przewodniczący Grupy IRCh w Kłodzku, na pierwszej stronie „Trybuny Ludu” z 1-2 marca 1986 roku. Te jakże głębokie wynurzenia pochodziły z kolejnego z listów nadsyłanych do organu Komitetu Centralnego PZPR przez robotniczo-chłopskich z nazwy, a w rzeczywistości partyjnych kontrolerów. Powołana w 1984 roku IRCh (popularnie zwana IRCh-ą) miała — według propagandy — walczyć ze spekulacją i nadużyciami. Tymczasem była jeszcze jednym narzędziem do walki z prywaciarzami. O nich jednak Kazimierz Piątek nie wspominał. Chwalił się natomiast wykryciem „szeregu niedociągnięć w pracy Wydziału Gospodarki Komunalnej i Mieszkaniowej. Reakcja naczelnika na ustalenia kontroli była natychmiastowa. Przystąpiono bowiem do porządkowania wielu spraw” — raportował irchowiec, nie podając jednak, czy w rezultacie osobom potrzebującym przydzielono lokale. W służbie zdrowia Piątek i jego towarzysze wykryli natomiast „złą informację dla pacjentów, nieprzestrzeganie dyscypliny pracy, niezrealizowanie w pełni wizyt domowych przez lekarzy, [...] długie oczekiwanie na usługi stomatologiczne i inne”. Złe się działo również w Oddziale Wojewódzkim Spółdzielni Ogrodniczo-Pszczelarskiej. „W trybie natychmiastowym usunięto 11 usterek” — podkreślał Piątek. Jakich? Tego się już nie dowiadujemy. Zapewniał jednocześnie, że po każdej kontroli następuje rekontrola z realizacji wniosków IRCh-y. „Kiedy widzę, że po naszej kontroli następuje poprawa, daje to mnie i moim towarzyszom dużą satysfakcję” — konkludował Piątek. „Trybuna Ludu” obiecywała tymczasem, że wszystkie uwagi zawarte w listach irchowców, nawet jeśli nie trafią na łamy, zostaną przekazane „odpowiednim organom administracyjnym i instancjom partyjnym”. Te już na pewno wiedziały, co zaradzić, i zaradziły. Wszak — jak głosił tytuł cytowanego tu artykułu — najważniejsza jest skuteczność...✿

Aktywiści IRCh piszą do „Trybuny” Najważniejsza jest skuteczność

W dalszym ciągu otrzymujemy wiele listów od robotniczo-chłopskich kontrolerów. Najbardziej interesującym jest list z Kłodzka, napisany przez Kazimierza Piąteka, Przewodniczącego Grupy IRCh w Kłodzku. Piątek pisze, że w jego grupie jest 11 członków. Wszyscy są aktywistami partyjnymi. W dalszym ciągu otrzymujemy wiele listów od robotniczo-chłopskich kontrolerów. Najbardziej interesującym jest list z Kłodzka, napisany przez Kazimierza Piąteka, Przewodniczącego Grupy IRCh w Kłodzku. Piątek pisze, że w jego grupie jest 11 członków. Wszyscy są aktywistami partyjnymi.

oprac. FG, JG, AS, KW



Upudrowana lafirynda

Krzysztof Gottesman

Nie ma chyba dziwniejszego święta w kalendarzu niż obchodzony 8 marca Dzień Kobiet. W PRL traktowany z żartobliwym dystansem, przede wszystkim jako państwowe i urzędnicze święto w miejscu pracy, w III RP zdobył uznanie i dumnie wkroczył w życie prywatne, ciągnąc za sobą cienie przeszłości.

Najpierw muszę się do czegoś przyznać. Ani w PRL, ani po 1989 roku, nigdy, naprawdę nigdy, tego dnia nie wręczyłem żadnej kobiecie kwiatów czy jakiegokolwiek innego prezentu. Ani mamie, ani siostrze, ani żonie. Koleżankom w pracy, szefowej czy podwładnej też nie. Nigdy. Nie potępiam tych, którzy mieli do 8 Marca większy dystans. Mnie się nie udało. Dlaczego? Bo są w tym święcie najczystszy fałsz i obłuda. Przede wszystkim tak było w PRL. Już w sa-

mej genezie tego święta w Polsce tkwi kłamstwo. Podobne do tego związanego z 1 Maja. I jedno, i drugie wymyśliли socjaliści, a zagarnęli komuniści. I – tak jak było ze wszystkim, czego się tknęli – zniszczyli jego sens, szlachetność, uczynili z niego narzędzie propagandy niemającej pokrycia w rzeczywistości i nadali mu swoją obłąaną estetykę. Tak było w Związku Radzieckim i we wszystkich demoludach.



Tego dnia przypominano sobie o kobietach. Na setkach sztywnych i oficjalnych akademii wychwalano je, podkreślano ich ciepło i czar, dziękowano za pracę i wychowanie dzieci. Śpiewano pieśni i piosenki, wręczano upominki – które następnego dnia trzeba było w kadrach pokwitować. W biurach w męskich gronach odbywały się sympatyczne bibki, przymykano oko, gdy pojawiał się alkohol. A późnym popołudniem i wieczorem mężczyźni zmierzali do domów chwiejnym krokiem, trzymając w rękę smętny goździk albo tulipan. Czekwały na nich umęczone kobiety. Bo w pozostałe dni w roku nikomu nie przeszkadzały stare łódzkie szwalnie, pegeerowskie pola i chlewnie, trzymianowa praca, nędza zaopatrzenia, kolejki do lekarzy, ordynarni szefowie, pijani mężowie. Tym socjalizm sowiecki się nie zajmował.

Wszystkie te problemy załatwiał hurtem jednego dnia – 8 marca.

Skłamałbym, gdybym napisał, że to teatr trafiło w całkowitą próżnię, że kobiety nie miały tego dnia trochę radości. Symboliczne kwiatki były wręczane także prywatnie. Mamom przez dzieci, dziewczynom przez chłopaków, żonom przez mężów. Mam jednak głębokie przekonanie, wynikające z wieloletnich obserwacji, że była to serdeczność przez obie strony wymuszona i dla obu stron umowna. Dowcipy o dawanych tego dnia rajstopakach, ścierkach, kawach i czekoladach krążyły po Polsce od zawsze. Śmiano się z Gomułki, Gierka i Jaruzelskiego, którzy mówili o wielkiej roli kobiety w każdej dziedzinie socjalistycznego życia, o przodownicach pracy. Szczególną melodię do świętowania 8 Marca miał generał. Z wojskowym fasonem jechał tego dnia do jakiegoś zakładu pracy, wygłaszał pełne frazesów przemówienie, w którym nie mogło zabraknąć kilku zdań o matkach żołnierzy, całował aktywistki po rękach.

Wydawało mi się, ba – byłem tego pewien, że to święto musi upaść wraz z upadkiem komunizmu. „To jasne jak słońce – myślałem – że fałsz i obłuda, z całym swoim bagażem, muszą odejść”. Przecież żadna kobieta nigdy więcej nie da się namówić na uczestnictwo w tym przedstawieniu, wyśmieje każdego, kto będzie próbował je zorganizować. I – trzeba przyznać – przez kilka pierwszych lat III Rze-

czypospolitej tak się działo. Zdawało się, że 8 Marca odchodzi do lamusa, na śmietnik historii, chciałbym powiedzieć. Ktoś gdzieś tam, nieśmiało raczej, na peryferiach życia wspominał o „naszych pięknych i drogich paniach”, ale bez odzewu. Nic więcej.

Ale po kilku latach coś się zaczęło zmieniać. 8 Marca wracał do łask. I w innej, nowocześniejszej, bogatszej formie poczuł się znakomicie. Nie było już akademii w zakładach pracy, nie było oficjalnych prezentów. Święto stawało się bardziej ludzkie, wesołe i prywatne. To wszystko prawda, ale dla wielu, dla mnie również, był to zły znak. Czuję, że coś się niedobrego dzieje w zbiorowej świadomości. I rzeczywiście, to wtedy zaczęły się rodzić, zrazu nieśmiało, peerelowskie sentymenty. I wtedy, również dzięki takim zjawiskom, do władzy w Polsce doszli postkomuniści. Kilka lat później zaczęła się moda na PRL. W kulturze, w popkulturze, we wzornictwie, w gastronomii – wszędzie tam zaczęto odwoływać się do dawnych symboli. Nie jestem szalony, nie upieram się, że Kwaśniewski z Millerem za namową Jaruzelskiego postanowili wrócić do swojego ulubionego święta. To poważniejsza sprawa. Procesy w kulturze, psychologii społecznej i polityce przebiegały – jak zawsze zresztą – równolegle, a często się przenikały.

Długo można by pisać, dlaczego się tak stało. Czy musiało się tak stać, czy było to zamierzone, kto zawinił, kto ostrzegał, a kto bagatelizował zagrożenie. Nie ma jednej odpowiedzi. Na pewno okazało się, że PRL tkwi w Polakach niezwykle mocno. Ze swoją obrzędowością również. A na tę obrzędowość składają się także te, tak kiedyś wyśmiewane i szczerze nie lubiane, święta. Z 8 Marca na czele. A jeszcze do tego na komunistyczną treść i formę została nałożona cienka warstwa współczesnej farby. Mieszanka zaiste obrzydliwa. Upudrowana lafirynda, po prostu. ❀

Krzysztof Gottesman – dziennikarz, publicysta, pracownik Wydziału Komunikacji Społecznej IPN



Podpis pod deklaracją lojalności, popularnie nazywaną lojalką, wciąż uchodzi za powód do wstydu. O ile było to zrozumiałe 30 lat temu, o tyle dzisiaj budzi – przynajmniej wśród historyków – zdziwienie.

Od strony czysto formalnej lojalka to nic nieznaczący świstek, którego podpisanie wielu osobom umożliwiło dalsze knucie przeciwko komunie. Nie można jednak zapominać, że wymuszanie podpisania tego dokumentu służyło łamaniu charakterów i rozbijaniu solidarności środowiskowej.

Pierwsze egzemplarze deklaracji lojalności przygotowano już w styczniu 1981 roku. Kolejne, w nowszej wersji, jesienią tegoż roku. Różniły się nieznacznie między sobą, ale ich sens był podobny. Najkrótsze i chyba najczęściej spotykane oświadczenie (tak zatytułowano ten dokument) składało się z jednego zdania: „Ja, niżej podpisany, oświadczam i zobowiązuję się do zaniechania wszelkiej działalności szkodliwej dla Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, w szczególności do przestrzegania obowiązującego prawa”.

W związku z wprowadzeniem stanu wojennego Służba Bezpieczeństwa przeprowadziła m.in. akcję „Klon” – funkcjonariusze Ministerstwa Spraw Wewnętrznych odbyli rozmowy ostrzegawcze z osobami podejrzanymi o „wrogą działalność”.

Nie są jasne kryteria, według których jednych opozycjonistów typowano do internowania, a innych do rozmowy ostrzegawczej. Ta ostatnia zresztą również mogła skończyć się internowaniem – szczególnie w razie odmowy podpisania deklaracji. Taka odmowa zdarzała się jednak rzadko. Według danych MSW, do 24 grudnia 1981 roku oświadczenie zobowiązujące do zaprzestania wrogiej działalności podpisało 5625 osób, a jedynie 409, czyli niespełna 7 proc., odmówiło jego sygnowania. Do końca 1982 roku rozmowy profilaktyczno-ostrzegawcze prze-

prowadzono z 32 023 osobami, spośród których lojalcki miało podpisać 23 226, czyli ponad 70 proc.

Często zresztą osoby, którym przedstawiano do podpisania deklarację lojalności, stwierdzały, że żadnej wrogiej działalności nie prowadzą, więc nie widzą sensu sygnowania tego dokumentu. W MSW postanowiono więc „przepracować oświadczenie”, gdyż miały się w nim znajdować „niepotrzebne zwroty”, zwłaszcza ten o zerwaniu „ze szkodliwą działalnością”. Pojawiły się inne wersje oświadczeń, np. o pouczeniu o przepisach obowiązujących po 13 grudnia 1981 roku.

Podpisanie lojalcki było różnie traktowane przez sygnatariuszy – od bagatelizowania tego faktu po wstydlawe przemilczanie. Zła sława deklaracji lojalności wzięła się stąd, że bywa ona mylona ze zobowiązaniem do współpracy z SB. A są to dwa różne dokumenty, chociaż lojalcka okazywała się niekiedy wstępem do werbunku przez bezpieczeństwo. Stanowiła też dla esbeków sygnał, że sygnatariusz – np. dla odzyskania wolności – jest gotów na pewne ustępstwa. Ponadto ukrywanie przed otoczeniem jej podpisania mogło dać esbekom okazję do szantażu. Zresztą byli opozycjoniści właśnie z tego powodu mają największą pretensję do tych, którzy podpisali.

Z powodu mylenia obu dokumentów przed kilkunastu laty w obronie sygnatariuszy lojalcek wystąpiła m.in. Jadwiga Chmielowska – przewodnicząca katowickiego oddziału radykalnie antykomunistycznej Solidarności Walczącej. Pytała retorycznie, czy można mieć pretensję do pracowników Huty Katowice, których po wprowadzeniu stanu wojennego najpierw zwolniono z pracy, a którym przy ponownym do niej przyjmowa-

niu przedkładano do podpisania deklarację lojalności. Niekiedy zresztą esbecy stawiali ludzi przed jeszcze trudniejszymi wyborami, np. podpis albo więzienie i skierowanie chorego, małego dziecka do domu dziecka. Trudno dzisiaj do tych zastraszonych ludzi mieć jakiegokolwiek pretensje. Chmielowska stwierdzała: „Lojalckę podpisywali też działacze podziemia na rozkaz”. W ich przypadku – jak argumentowała – podpisanie deklaracji lojalności nie miało żadnego znaczenia, a co więcej, jej niepodpisanie „czasami groziłoby zawaleniem się struktur”.

Warto w tym miejscu przytoczyć *casus* Andrzeja Urbańskiego. 14 grudnia 1981 roku nie podpisał, co prawda, standardowej lojalcki, ale własnoręcznie wypisał i podpisał oświadczenie, które prezentujemy obok. Czy taki dokument można uznać za coś wstydlawego? Deklarację sygnował po zakończeniu strajku w bibliotece, w czasie którego był przewodniczącym komitetu strajkowego.

Podpisany przez niego dokument publicysta Piotr Stasiński określił – słusznie zresztą – mianem „łże-lojalcki”. Przypomnijmy: Urbański od 1982 roku był przewodniczącym Tajnej Komisji Zakładowej w Bibliotece Narodowej, jeszcze w grudniu 1981 roku jednym z pomysłodawców, a w latach 1982–1983 współzałożycielem i redaktorem naczelnym podziemnego pisma „Wola”. To wszystko nie byłoby możliwe, gdyby nie podpisał lojalcki...

Sam Stasiński, który odmówił sygnowania standardowej deklaracji, również podpisał 30 stycznia 1982 roku nietypowy dokument, w którym oświadczył, że został „pouczony o przepisach stanu wojennego”, których naruszenie może spowodować jego osobiste zagrożenie, a także „zastosowanie obostrzonej odpowiedzialności karnej”. W druku przez niego podpisanym znalazł się również wykaz zachowań niepożądanych: samowolne oddalenie się ▶

Fot. AIPN

Deklaracja lojalności 1982

OŚWIADCZENIE

Ja, niżej podpisany oświadczam i zobowiązuję się do zaniechania wszelkiej działalności szkodliwej dla Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, w szczególności do przestrzegania obowiązującego porządku prawnego.

własnoręczny podpis

Wzrost 174 cm, data urodzenia 1954
SUSW 118797

Przy ul. Wolności
nr 04-636
III piętro

Dokładny adres zaczerpnięty przez redakcję „Pamięci.pl”

Oświadczam, że w dniu dostarczenia podjęłem dalszą pracę w Bibliotece Narodowej we swoim stanowisku, bez się podporządkowując podcenieniom straszącym przetożonych zmierzających do polaryzacji wydajności pracy, oraz przynajmniej w zaniechaniu wydajności na podstawie dekretu Rady Ministrów o stanie wojennym. Nie będę prowadził działalności wywiadowczej.

Urbański

Andrzej Urbański (ur. 1954) – pracownik Instytutu Książki i Czytelnictwa Biblioteki Narodowej (1977–1991), od 1980 roku członek NSZZ „Solidarność”, przewodniczący Komisji Zakładowej Solidarności w BN, w stanie wojennym przewodniczący tajnej Komisji Zakładowej Solidarności w BN i przewodniczący komitetu strajkowego tamże; pomysłodawca, współzałożyciel i redaktor naczelny podziemnego tygodnika „Wola” (do 1983 roku) PN BU 481/94

Fot. AIPN

OŚWIADCZENIE

Ja Piotr Stasiński s. JANA
(imię i nazwisko własnego) (tytuł, adres zamieszkania)

Piotr Stasiński (ur. 1953) – pracownik naukowy Instytutu Badań Literackich PAN w Warszawie (1976–1988), w 1980 roku współzałożyciel NSZZ Pracowników Nauki, Techniki i Oświaty w PAN, działacz Komisji Zakładowej Solidarności w IBL PAN, 15 grudnia 1981 roku organizator strajku tamże, współzałożyciel, a następnie, do 1988 roku, redaktor podziemnego tygodnika „Wola”

oświadczam, iż zostałem pouczony o przepisach stanu wojennego, których naruszenie może spowodować osobiste moje zagrożenie a także zastosowanie obostrzonej odpowiedzialności karnej.

W szczególności pouczono mnie o skutkach samowolnego oddalania się z miejsca pracy, podejmowania prób uwolnienia się z pozbawienia wolności, naruszania ładu, dyscypliny i porządku prawnego, w tym również popełnienia przestępstwa podlegającego postępowaniu doraźnemu.

Warszawa, dnia 30.01. 1982 r.
(miejscowość)

(podpis osoby pouczającej)

(podpis własny)

Fot. AIPN

z pracy, naruszanie ładu, dyscypliny i porządku prawnego czy „popelnienie przestępstwa podlegającego trybowi doraźnemu”. W przeciwieństwie do np. Urbańskiego Stasiński nie deklarował jednak przestrzegania jakichkolwiek przepisów czy zaniechania działalności opozycyjnej.

Do podpisania podobnego dokumentu namawiano również zwalnianego z internowania Lecha Wałęsę: Podsunęte mu oświadczenie było nader szczegółowe: Wymieniono w nim różne rodzaje zakazów, m.in.: organizowania strajku, rozpowszechniania „fałszywych wiadomości mogących wywołać niepokój publiczny lub [...] osłabić gotowość obronną Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej; udziału w związku, [...] którego istnienie, ustrój lub cel ma pozostać tajemnicą wobec władzy państwowej”. Przewodniczący Solidarności odmówił sygnowania tego dokumentu, stwierdzając – jak odnotowali jego rozmówcy z MSW i prokuratury – że „od czterech lat niczego nie podpisuje”. Jednocześnie jednak zadeklarował, że „będzie się starał nie wchodzić w kolizję z przepisami prawa, zaś zakazów, o których mowa w oświadczeniu, świadomie nie naruszy”.

Po ponad 30 latach traktowanie lojalności jako czegoś wstydlivego jest zwycięstwem Wojciecha Jarużelskiego, Czesława Kiszczaka i jego podwładnych z MSW. Oni to bowiem wymyślili ten „kwit” – m.in. w celu kompromitowania swoich przeciwników politycznych. Nie sposób nie zgodzić się w tej kwestii z Adamem Michnikiem, który na łamach „Tygodnika Mazowsze” pisał: „Całe potępienie musi spaść na tych, którzy te deklaracje wymuszają; tych, którzy posługują się [tą] okrutną formą poniżania ludzkiej godności”.

dr Grzegorz Majchrzak – historyk, pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN, zajmuje się m.in. badaniem dziejów aparatu represji i opozycji demokratycznej

Pascha w archiwum IPN

Anna Franaszek

Wbrew powszechnemu przekonaniu w zasobach archiwalnych Instytutu Pamięci Narodowej znajdują się nie tylko dokumenty odziedziczone po Służbie Bezpieczeństwa. Są tam również materiały dotyczące historii Polski okresu 1939–1990 pozyskane z innych źródeł, m.in. od osób prywatnych. Wśród nich można znaleźć filmy i fotografie, których nikt by się nie spodziewał w takich zbiorach jak nasze.

Do materiałów przekazanych do IPN przez osoby prywatne zalicza się kolekcja Zbigniewa Grzegorzewskiego. Jest to zbiór filmów nagranych na kasetach systemu u-matic (używanych w latach osiemdziesiątych w stacjach telewizyjnych), odnalezionych podczas remontu generalnego w Ośrodku Charytatywnym „Tylko z Darów Miłosierdzia” przy parafii pw. Miłosierdzia Bożego i św. Faustyny przy ul. Żytniej w Warszawie. Niestety, do tej pory nie udało się ustalić, kto nakręcił te filmy i w jaki sposób trafiły do miejsca, w którym je odnaleziono. Wygląda na to, że część materiałów na nich zawartych została nakręcona przez zachodnioeuropejską lub amerykańską ekipę telewizyjną. Oprócz takich wydarzeń, jak demonstracje uliczne czy rozmowy z opozycjonistami dokumentowano również wydarzenia kulturalne i religijne. Wśród nich znalazły się migawki z wieczerzy sederowej inaugurującej obchody żydowskiego święta Paschy.

Pascha to najstarsze święto Izraelitów. Wyznacza początek roku, a miesiąc, w którym wypada, w Biblii został określony jako począ-

tek miesiący. Święto to obchodzi się przez osiem dni, poczynając od piętnastego dnia żydowskiego miesiąca nisan (marzec/ kwiecień). Warto pamiętać, że chrześcijańskie święto Wielkiej Nocy wyrasta ze święta Paschy, a śmierć Jezusa miała miejsce przed nadejściem wieczoru paschalnego, opisana w Ewangeliach ostatnia wieczerza była zaś wieczerzą paschalną.

Pascha upamiętnia historię, która rozegrała się w XIII wieku p.n.e., kiedy Izraelici wydostali się z niewoli egipskiej. Sama nazwa święta, w oryginale brzmiąca *Pesach*, oznacza „przejście”. Wyjście z Egiptu – *exodus* – i późniejsze otrzymanie przykazań podczas wędrówki na pustyni to początek narodowej historii Żydów, który nadaje kierunek kształtowania się ich tożsamości, nie tylko w aspekcie religijnym. Po tym wydarzeniu z niewolników stali się wolnym narodem.

Geneza i późniejsze nakazy związane ze świętem Paschy zostały opisane w Torze (Pięcioksięgu Mojżeszowym), a szczegółowe zasady dotyczące obchodzenia tego święta można odnaleźć w Księdze Wyjścia (Druga Księga Mojżeszowa). Dotyczą one spożywania mięsa baranka wraz z niekwaszonym



chlebem i gorzkimi ziołami. Każda z potraw ma znaczenie symboliczne.

Do 70 roku n.e. (zburzenie drugiej świątyni) Pascha była jednym z trzech świąt pielgrzymkowych, tzw. *szalosz regalim* (pozostałe dwa to święto Tygodni i święto Namiotów). Jego obchodzenie wiązało się z obowiązkiem udania się do Jerozolimy, gdzie w świątyni zabijano baranka paschalnego i składano go w ofierze. Po tej dacie święto straciło charakter pielgrzymkowy. Zaprzestano także składania ofiar, ale wiele spośród obrzędów i zwyczajów pozostało niezmiennych.

Najważniejszy, pierwszy wieczór święta Paschy to spożywanie wieczerzy sederowej. Nazwa pochodzi od hebrajskiego słowa *seder* (porządek), jej przebieg jest bowiem ściśle uregulowany. Wieczór ten to w żydowskich domach najważniejsze wydarzenie w całym roku. Oprócz elementów symbolicznych równie ważne są motywy wychowawcze, dlatego ogromną wagę przywiązuje się do uczestnictwa **dzieci**. Według tradycji kultywowanej po dziś dzień to najmłodszy członek rodziny inauguruje uroczystość, zadając starszym pytanie: „Czym różni się ta noc od innych nocy?”. Każdy etap świętowania wieczoru powinien przybliżyć odpowiedź na to pytanie.

Samą ucztę zwyczajowo rozpoczyna ojciec rodziny. Powitanie święta polega na wypowiedzeniu błogosławieństwa i dziękczynienia nad winem – tzw. *kidusz*. Od czasów biblijnych znany jest zwyczaj **wypijania czterech pucharów wina**, które symbolizują cztery stopnie odkupienia.

Każdy z biesiadników ma swój własny kielich. Po chóralnym wypowiedzeniu modlitwy, każdy pije pierwszy łyk, zwany łykiem wolności. Chwilę później następuje **rytualne obmycie rąk**.

Następnie prowadzący uroczystość rozdaje każdemu z zasiadających przy stole *karpas* – pęczek zielonej pietruszki lub zieloną część selera zanurzonego w osolonej wodzie albo occie. *Karpas* to symbol żywotności Izraela, a osolona woda – łez wylewanych w niewoli.

Kolejnym etapem jest łamanie chleba – czyli **macy**. Jedną z nazw święta Paschy jest określenie: *Chag Hamacot*, czyli święto macy, ponieważ jej spożywanie jest najważniejszym przykazaniem (*micwa*) podczas świętowania.

Maca, czyli niekwaszony chleb, określony w Torze (Pięcioksięgu Mojżeszowym) jako „chleb utrapienia”, przypomina, że Żydzi opuszczali Egipt w pośpiechu – dlatego chleb nie mógł być wypieczony tradycyjnie, z użyciem zaczynu, został więc ugnieciony jedynie z wody i mąki. Taki niewyrośnięty chleb spożywa się przez osiem dni świętowania Paschy.

Nakaz spożywania wyłącznie niekwaszonego chleba podczas Paschy spowodował powstanie tradycji pozbywania się z domów (podczas porządków poprzedzających święto) wszystkiego, co zawierałoby w sobie *chamec*, czyli zakwas. Tak zwany *bedikat chamec*, czyli uroczyste usuwanie z domu wszelkich okruszków produktów, które mogły ulec fermentacji, to niezbędna procedura przeprowadzana w noc poprzedzającą uroczyste rozpoczęcie świętowania Paschy. Dawniej przy użyciu świec, dzisiaj latarek, domownicy dokładnie przeszukują wszystkie kąty, by stwierdzić, że nigdzie nie został ani okruszek zeszłorocznego *chamecu*. Dopiero wtedy można rozpocząć świętowanie.

Na półmisku sederowym oprócz macy znajduje się także *zeroa* – kostka z niewielką ilością mięsa, na pamiątkę spożywanego w przeszłości baranka. Znajdziemy tam także **gorzkie zioła** (*maror*), które mają wyciskać

łzy z oczu na pamiątkę ciężkiego losu Izraelitów w Egipcie. Dziś to najczęściej chrzan, rzodkiew oraz sałata. Według tradycji gorzkie zioła spożywa się umoczone w podobnej do czerwonej gliny słodkiej paście zrobionej ze startych jabłek z rodzynkami, migdałami z cynamonem, cukrem i czerwonym winem. Potrawa ta (*charoset*) też oczywiście ma znaczenie symboliczne: przypomina glinę, z której Izraelici wyrabiali cegły w Egipcie. Według

niektórych interpretacji słodycz ma także przypominać o pokusie trwania w niewolnictwie.

Bardzo ważną potrawą podczas święta Paschy są **jajka**, po hebrajsku *bejca*. Także w kulturze żydowskiej jajka są symbolem życia. W niektórych kręgach symbolizują również żałobę po zburzonej świątyni jerozolimskiej. Tradycyjnie jajka należy upiec lub ugotować. Osobom wychowanym w tradycji chrześcijańskiej powinno nasuwać się





oczywiste skojarzenie z najbardziej charakterystyczną potrawą spożywaną podczas Wielkiej Nocy.

Wieczorna ceremonia skupiona jest wokół **hagady** o święcie Pesach, czyli zbioru opowieści o wyjściu Izraelitów z Egiptu. Kolejny etap wieczery sederowej – recytowanie *hagady* – także wynika z nakazu zawartego w Księdze Wyjścia: „W tym dniu opowiadał będziesz synowi swemu, mówiąc: »Jest tak z powodu tego, co mi uczynił Pan, gdy wychodziłem z Egiptu«” (Wj 13, 8).

W przeszłości w diasporze, czyli rozproszeniu Żydów w wielu krajach świata, przypomnienie historii ocalenia z niewoli egipskiej miało cementować poczucie ciągłości historycznej i wspólnego losu wielu pokoleń, a także dawało nadzieję na przyszłe wybawienie. Także współcześnie w większości żydowskich domów można znaleźć zbiór opowieści paschalnych, a niektóre z tych księzek to prawdziwe dzieła sztuki, zdobione pięknymi ilustracjami i rozbudowane o wyjaśnienia i współczesne komentarze.

Tradycyjnie wieczerzę kończy uroczysty **hallel**, czyli **wspólne śpiewanie lub recytowanie psalmów**. Do najbardziej znanych pieśni należą: *Henei ma tov umanaim*, *Shevet achim gam yachad* – pieśń powstała na podstawie *Psalmu 133*, oraz *Psalm 121: Esa enaj*. Na zakończenie wypowiada się, powtarzane przez wieki zdanie: *Ba-szana ha-ba'a be Jeruszlaim!*, co znaczy: „W przyszłym roku w Jerozolimie!” – jest to wyraz tęsknoty i nadziei. Świętowanie Paschy, choć momentami przypomina o łzach niewoli i goryczy poddaństwa, ma być wydarzeniem o jednoznacznie radosnym i budującym charakterze, tworzącym wspólnotę i dającym nadzieję. 🍀

Anna Franaszek – pracownik Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN

współpraca: Robert Szcześniak

Można zejść z piedestału

O historii nie trzeba opowiadać na kolanach – mówi aktor **Jan Peszek**, odtwórca roli Tytusa Ceglarskiego w filmie *Hiszpanka*, w rozmowie z Maciejem Foksem i Grzegorzem Wołkiem

Grał Pan role w filmach, których akcja jest osadzona w najnowszej historii Polski. Które szczególnie Pan zapamiętał?

W filmie Kazimierza Kutza *Śmierć jak kromka chleba* (1994) grałem ciekawą postać wysokiego rangą oficera ludowego Wojska Polskiego, rozkraczanego pomiędzy tym, czego nie wolno mu zrobić z powodów politycznych, a tym, co z powodów ludzkich chciałby zrobić. To postać, która nie może nawet prywatnie zbyt wyraziście dawać sygnałów, bo jego funkcja w komunistycznym rządzie nie pozwala mu absolutnie na żaden wyciek psychologiczny. *Syberiada Polska* (2013) jest z kolei historią Polaków zesłanych na Sybir w czasie II wojny światowej. Mój bohater zostaje bezpodstawnie skazany na zesłanie. Zsyłki były manifestami politycznymi, by zdławić polskość. Droga, jaką przechodzą bohaterowie, uzmysławia, czym było zesłanie, czym zesłańcy wpisywali się w kontekst historyczny Polski oraz jak, reprezentując określone postawy, bronili polskości. To panorama zachowań, postaw ludzkich, które zawsze są testem na jakość człowieka, obywatela, patrioty.

Bywają takie role, przez które człowiek zagląda w głąb historii, co bez nich niekoniecznie by zrobił. Nie chodzi o to, że należy studiować szczegóły, czytać po wielokroć książkę, na podstawie której film został zrobiony.

Obsadzano Pana w rolach pozytywnych i negatywnych, choćby ubeka, którego zagrał Pan w filmie *Był jazz* (1981). Która z nich jest Panu najbliższa?

Zawód aktora nie polega na tożsamości z graną postacią. To zjawisko nie może zająć w całej rozciągłości, są natomiast rejestry postaci, którą trzeba zagrać, w które człowiek wchodzi, do których się zbliża. Istnieje teoria filozofa Georga Simmla, że – upraszczając – stan aktora to stan nieustannego ruchu i mieszanki elementów z postaci, z literatury, z elementami temperamentu, charakteru, wrażliwości aktora, który „łyka tę postać”. Jest to w gruncie rzeczy stan nieuchwytny. Raz się jest bliżej tej postaci, a raz dalej. To zawsze jest fikcja. To nie jest szukanie odpowiedzi na to, którą część z elementów tych postaci noszę w sobie. Film sprawia, że patrząc na ekran, szybciej wchodzimy w ten świat, natomiast w teatrze przerwienie przez rampę stanu wiarygodności bywa trudniejsze. Są aktorzy, którzy to robią natychmiast, i na tych często ludzie lubią chodzić, bo sprawiają, że widz w ułamku sekundy przenosi się w inny wymiar. I tak naprawdę o to chodzi – by być

najzwyczajniej w świecie skutecznym czy, mówiąc inaczej, wiarygodnym, istotnym. Nie należy oceniać postaw swojego bohatera. W przedstawieniu Grzegorza Jarzyny *Uroczystość* gram pedofila. Dla mnie jako ojca dwójki dzieci jest to zachowanie niewyobrażalne, muszę jednak zagrać w taki sposób, bym był najzwyczajniej w świecie wiarygodny. W kinie amerykańskim często wykorzystuje się metody, w których aktorzy muszą doświadczać tego samego, co jest udziałem kreowanej przez nich postaci – by zagrać wiarygodnie, trzeba np. przespać się z partnerką czy partnerem. Są to dla mnie bzdurne teorie. By zagrać pedofila, nie muszę mieć takich doświadczeń. Próbuje z reżyserem, aktorami, dojść do świata, w którym ten człowiek się obraca. Zrozumieć go. Kiedy wchodzimy w ludzkie matnie, dziwne zachowania, to zadajemy sobie trudne pytanie: „dlaczego on to zrobił?”.

Dziś aktorzy wypowiadają się na tematy dotyczące przeszłości, niekiedy niewiele o niej wiedząc. Jaka jest według Pana rola kina w budowaniu tożsamości narodowej?

Przed wszystkim powinien to być otwarty dyskurs. Istnieją filmy historyczne oparte np. na twórczości Henryka Sienkiewicza. Wywodzę się z domu ultrakatolickiego, w którym ojciec, kresowiak, był całkowicie pochłonięty lekturą Sienkiewicza. Pamiętam, że od młodzieńczych lat nakłaniał mnie do niej, a ja nie byłem w stanie przez nią przebrnąć. Być może było to spowodowane nieuświadomionym gustem. Siedem razy pod wpływem ojca zabierałem się do lektury *Trylogii*. Nie byłem w stanie przejść dalej niż pewną liczbę kartek. Literatura „ku pokrzepieniu serc” nigdy mnie nie przekonywała, natomiast kiedy ukazało się pierwsze powojenne wydanie *Ferdydurke* Witolda Gombrowicza – byłem wówczas w liceum – natychmiast się otworzyłem. Jako młody chłopak niewiele z tego rozumiałem, przerastał mnie język, ale natychmiast rejestrowałem, że jest tam jakaś bomba, niesamowity potencjał. Kreślenie wizerunku Polaka w sposób, w jaki to robi Sienkiewicz, nie jest mi bliskie, natomiast punkt widzenia Gombrowicza – owszem. Wielokrotnie grałem w rzeczach opartych na jego twórczości, również poza granicami Polski. Z drugiej strony gram Janusza Radziwiłła w spektaklu *Trylogia* w reżyserii Jana Klaty. Nie próbuję tam analizować, kim był Radziwiłł. Ten książę, wyklepty z określonego modelu myślenia o lojalności wobec Polski, mówi niesamowite rzeczy jako Polak patriota.

Jan Peszek (ur. 1944) – aktor teatralny, filmowy i telewizyjny, jest także pedagogiem i reżyserem. Rozgłos przyniosły mu role w spektaklach m.in. Mikołaja Grabowskiego, Rudolfa Zioly, Krystiana Lupy, Andrzeja Wajdy, Jerzego Grzegorzewskiego, Grzegorza Jarzyny, Jana Klaty, Michała Zadary. Jako członek awangardowego zespołu MW2 i aktor Teatru STU zasłynął interpretacjami tekstów Bogusława Schaeffera; w 2014 roku „za wybitne zasługi dla kultury polskiej” został odznaczony przez prezydenta RP Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski

To dość kontrowersyjne...

...mówi tam rzecz, pod którą się podpisuję, że powinniśmy często zmieniać utarte szlaki, którymi zwykliśmy chodzić my sami, Polacy, i nasi dziadowie, dlatego że te szlaki często prowadzą na manowce: „co się dzieje z Rzeczpospolitą, która niegdyś świata zagrażać mogła, a teraz...”. Radziwiłł mówi o czasie, w którym nasze cechy narodowe się sankcjonowały. Mówi o zastosowaniu racji wyższego rzędu. Są drogi, które są dla mnie drogami lojalności, prawości, ale przecież nawet każdy obywatel współczesny inaczej rozumie postawę lojalności.

Z drugiej strony, grany przez Pana w *Hiszpance* (2014) Tytus Ceglarski może uchodzić za wzór patrioty.

Jako aktor nigdy nie staram się wkraczać na pole analizowania historii, jej tłumaczenia, tylko na pole tego, co moja postać ma do powiedzenia i zrobienia. Dlatego tak bliski jest mi Tytus Ceglarski. Wobec śmierci jedyne go syna wypowiedział prowokacyjne zdanie: „dla mnie ta czerwień i biel to truskawki ze śmietaną”, wielokrotnie już poruszane na różnych łamach. Syn padł ofiarą przypadkowej kuli ze strony powstańców, zginął zaszczytnie – za ojczyznę. Tak z perspektywy jego śmierci powie każdy niemal Polak. Ale Łukasz Barczyk, reżyser filmu, zderza przypadkowość tej realnej śmierci z – co najmniej podejrzany – wcześniejszymi działaniami Ceglarskiego w grupie spirytystów. To bardzo ciekawe zderzenie, zupełnie nowe w polskim myśleniu o ofierze na ołtarzu ojczyzny.

W postrzeganiu historii ważne jest osobiste lub rodzinne doświadczenie.

Od 1944 roku, przez cały rozwój Polski komunistycznej, po Solidarność i upadek PRL, przez moje życie nieustannie przetaczały się burze. Jako mały chłopiec płakałem po śmierci Stalina – umarł „Soso”, „Orzeł”, który kojarzył się nam z rozdawanymi cukierkami – tymczasem w domu strzelał szampan, cieszący się. Nie byłem w stanie tego połączyć.

Ojciec w białym kitlu w jakiejś skrajnej euforii wyszedł z gabinetu, wstrzymał przyjmowanie pacjentów. Za płacz po Stalinie dostaliśmy wtedy z kolegą w tyłek od ojca.

Nie mogłem też zrozumieć, dlaczego książka Wańkowicza *Bitwa o Monte Cassino* była tak strasznie ukrywana. Widziałem ojca, jego brata i kuzyna siedzących w pracowni dentystycznej, w oparach dymu, pogrążonych w lekturze. Nagle zamknęli książkę i ukryli ją.



Fot. FilMOTEKA Narouawa

Nie rozumiałem, dlaczego idzie się za nią do kryminału i nie wolno puścić pary z ust. Za chwilę dowiadywałem się, że jest odwrotnie, niż mi mówiono. Pomijam już klasykę manipulacji w przypadku Katynia. Jako młody człowiek byłem ciągle przestawiany z kąta w kąt w pojmowaniu historii. Z tego czasu wyniosłem bezwzględne przeświadczenie, że historia jako taka jest terenem różnego rodzaju manipulacji. Staram się więc od tego trzymać z daleka.

Hiszpanka podstawowymi faktami nie manipuluje, ale jej konwencja powoduje, że trudno ją nazwać filmem historycznym.

Im jestem starszy, tym częściej mam poczucie, że ktoś z nas drwi. Los jest tak dziwnie układany, że zachowania człowieka trudno ułożyć w logiczny sens. Nieustannie jesteśmy poddawani presji, która nie pozwala nam zachować zdrowego rozsądku. Scena w *Hiszpance*, w której Fantomas bawi się jo-jo, kojarzy mi się z *Dyktatorem*, w którym Charlie Chaplin komicznie podrzucał kulę ziemską. Pokazuje, że ktoś, bez względu na to, jak tę siłę nazwiemy, z nas drwi. *Hiszpanka* zabiera się za bardzo poważny temat, jakim było Powstanie Wielkopolskie, z zupełnie innej – niż tradycyjna polska – perspektywy.

Wracając do Tytusa Ceglarskiego – nie może być oceniany wyłącznie przez pryzmat sceny z nieżyjącym synem. Ryzykuje własny majątek, jest głównym finansistą powstania, wysyła syna na szkolenie do powstańców, by walczył. Odrzuca także propozycję potężnych pieniędzy za pracę na rzecz niemieckiej armii i podejmuje ryzyko, stając po stronie powstańców...

...nie chce przejść do historii jako zdrajca.

► W filmie Kazimierza Kutza *Śmierć jak kromka chleba* Jan Peszek zagrał przedstawiciela ekipy, która wprowadziła stan wojenny

Jakiej w takim razie Polski chcą bohaterowie *Hiszpanki*, np. Tytus Ceglarski?

Przede wszystkim wolnej. Ceglarski nie mówi tego wprost, ale można to wywnioskować stąd, że nie zabrania synowi pójścia do powstańców, a nawet finansuje ich. Wątek spirytystów jest podstawowy w rozumieniu niezwykle skomplikowanej siatki wpływów, które określają później indywidualne bądź grupowe działania ludzkie. Jest w tym jakiś rodzaj aberracji, nie chcę powiedzieć – drwiny, ale dziwnego spojrzenia na powstanie. Jeżeli czytamy pamiętniki ludzi z obozów zagłady, widzimy, że są pełne zachowań nietragicznych, niewyłącznie przepełnionych patologią ludzką. Często roi się w nich od epizodów, które więźniom pozwalały przetrwać. Jeżeli ten film mnie porusza, to właściwie tym, że nie da się go monotematycznie interpretować. Scena czystego powstania, zdobycia Ławicy, zajmująca niewielką część filmu, pokazana jest „po bożemu”, jak dobra scena z filmu wojennego. W filmach o powstaniu, wojnie, walki miały jednolite, wyłącznie realistyczne tło, natomiast *Hiszpanka* wrzuca w to pole również fikcję. Ilość ukazanego w filmie powstania mi wystarcza.

Można odnieść wrażenie, że nie znosi Pan patosu.

Muszę powiedzieć, że źle znoszę pomniki. Po pierwsze, w tej liczbie, w której mamy je w Polsce, ale przede wszystkim jeżeli chodzi o ich jakość. Zostałem wychowany w przekonaniu, że człowiek powinien otaczać się dobrymi przedmiotami, w dobrej estetyce, i nie dopuszczać w swoim otoczeniu rzeczy w złym guście. W większości pomniki, które spoty-

kam na ulicy, obrażają fakty historyczne i ich bohaterów. Nie jestem przeciwny stawianiu pomników, tylko ich wątpliwej estetyce. Dla mnie pozytywnym projektem, który nie dochodzi do skutku właśnie z powodów politycznych perturbacji interweniujących w historię, jest pomnik w Katyniu, który łączy tragizm faktu z wysmakowanym i artystycznie pięknym śladem, który współcześni zostawiają następnym pokoleniom jako dowód pamięci. Prosty. Piramida Cheopsa jest prosta. Ale nie budował jej domorosły nieszczęśnik. To, co stało się po śmierci Jana Pawła II, wykwit owych strasznych „śladów”, powinno być przez kogoś badane. Wiem, że znakomita część katolików oczekuje tego typu rzeczy, że nasze kościoły, często zabytkowe, są zaśmiecone rzeczami, których nie powinno tam być. Są to kwestie ciekawe do dyskusji, ponieważ mamy również kształcić gust nowych pokoleń. *Hiszpanka* proponuje jakiś oddech, a nie tylko sztywny, obligatoryjny sposób narracji o niezwykłym fakcie zwycięskiego powstania. Mito-logizując postaci historyczne, które chcemy zachować w pamięci jako kamienie milowe, zapominamy, że to także byli ludzie, ze swoimi ułomnościami, i w tym także byli piękni. Być może czasem te ułomności pozwalały im w ogóle dokonać jakiegos wyboru. Wydaje mi się, że scena na statku, który wiezie Ignacego Paderewskiego i – kompletnie od czapy – jakąś słonice do poznańskiego zoo, która wymiotuje razem ze wszystkimi, co powoduje nieprawdopodobny smród, oraz scena walki Paderewskiego z muchą dają sygnały, że można zejść z cokołu, z którego ma się zupełnie inną perspektywę oglądu danego faktu historycznego, i przyjrzeć się temu inaczej – z perspektywy dość obcej polskiej naturze: dystansu, aberracji, poczucia humoru nie biesiadnego, nie z grilla i disco polo. W moim przekonaniu *Hiszpanka* nikogo nie obraża, nie prowokuje do ekstremalnych zachowań wobec historii.

Czy były okresy, kiedy patrzył Pan na polskich bohaterów jak na pomniki?

Jeżeli chodzi o świętości, to w moim domu mówiono o gen. Władysławie Andersie, który miał wrócić do Polski na białym koniu, i jako chłopiec tak go zapamiętałem. Niedawno przeczytałem o jego drugiej żonie, aktorce, która niemal nazajutrz po walkach o Monte Cassino zaśpiewała *Czerwone maki* – słynną, przepiękną pieśń. Ale przecież była to jednocześnie kobieta, która zrujnowała życie innej kobiecie. Pełny obraz Andersa istnieje również w tym osobistym kontekście. Nie chodzi o to, by mieć pamięć o generale, ale o to, że każdy człowiek jest wielobarwny. Jako Polacy mamy tendencję, by wymazywać to, co spowoduje, że pomnik z brązu nie będzie bez skazy. Uważam, że człowieka należy pokazywać w otoczeniu prawdy, nawet jeżeli nie spełnia oczekiwanych kryteriów moralnych.

A jednak młodzi ludzie z własnej woli przychodzą na koncerty muzyki pop poświęcone bohaterom Powstania Warszawskiego czy Żołnierzom Wyklętym.

Dla młodych ludzi Powstanie Warszawskie czy Żołnierze Wyklęci to egzotyka, która zawsze pociąga. Dobra muzyka, która komunikuje się z młodym odbiorcą, a dotyczy Powstania Warszawskiego – jak najbardziej. Jednocześnie od razu zadają sobie pytanie, w jakim stopniu ci młodzi ludzie przychodzą posłuchać muzyki. Prawdopodobnie jest wiele działań, które ciekawie odnoszą się do patriotyzmu czy określonych faktów historycznych, ale też mamy ciągle w naszym kraju spazmatyczny skurcz w odniesieniu do pewnych tematów, których nie wolno rozpatrywać inaczej, niż każe tradycja. *Hiszpanka* jest jednym z dowodów na to, że takie inne spojrzenie jest możliwe. ■

Szesnastu uprowadzonych

Piotr Stanek

W walce z Polskim Państwem Podziemnym Sowieci nie mieli żadnych skrupułów. Liczyła się skuteczność.

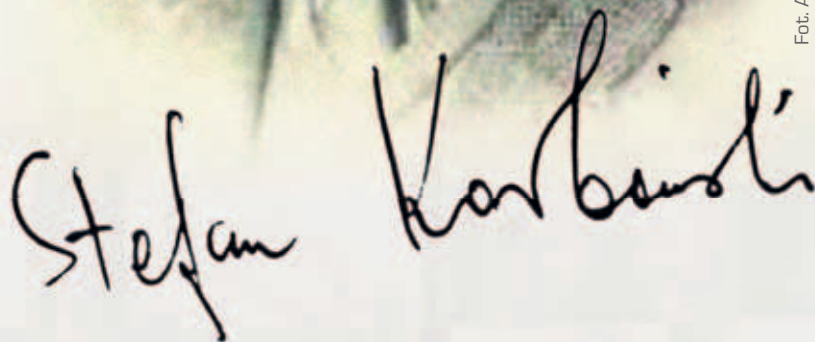
Przywódcy polskiego podziemia, którzy 27 i 28 marca 1945 roku udali się na rozmowy z „gen. Iwanowem”, „z rozmów nie wrócili i do dziś nie dali ani nam, ani rodzinom znaku życia. Prawdopodobnie wywiezieni z Pruszkowa 29 [marca] samochodami” – depeszował do Londynu Stefan Korboński „Nowak”, dyrektor Departamentu Spraw Wewnętrznych w Delegaturze Rządu na Kraj. Parę dni później BBC nadała komunikat rządu RP – zredagowany na podstawie informacji Korbońskiego – o aresztowaniu delegacji. Pod naciskiem polskiej dyplomacji ambasadorzy brytyjski i amerykański w Moskwie interweniowali na Kremlu, ale Sowieci wszystkiemu zaprzeczyli, utrzymując, że Polacy wymyślili całą tę historię. Dopiero 4 maja, na pierwszym zebraniu ONZ w San Francisco, minister spraw zagranicznych ZSRR Władimir Mołotow, indagowany przez brytyjskiego szefa dyplomacji Anthony’ego Edena, bąknął od niechcenia, że aresztowani zostali Polacy, którzy „spiskowali” przeciwko Armii Czerwonej i siali dywersję na jej tyłach...

Iwanow, czyli Sierow

Na przełomie lutego i marca 1945 roku sowiecki wywiad próbował nawiązać kontakt z władzami Polski Podziemnej. I mu się udało. Jeszcze w lutym gen. Leopold Okulicki „Niedźwiadek” – były Komendant Główny Armii Krajowej, a wówczas zwierzchnik organizacji „NIE” – 6 marca zaś Jan Stanisław Jankowski „Soból”, Delegat Rządu RP

na Kraj (status wicepremiera rządu na uchodźstwie), otrzymali list w języku rosyjskim od rzekomego płk. Pimienowa, w którym była zawarta propozycja rozmów z niejakim gen. Iwanowem z 1. Frontu Białoruskiego (*de facto*

z gen. Iwanem Sierowem z NKWD). W liście pisano, że chodzi o to, by wspólnie znaleźć rozwiązanie trudnej sytuacji, która zaistniała w wyniku zajęcia Polski przez wojsko sowieckie oraz funkcjonowania na jej terenie Polskiego Państwa



Fot. AIPN

Podziemnego. Autorzy tego listu nie dodali jedynie „drobnego” szczegółu: że mają już opracowany własny plan rozwiązania tej sytuacji, który chcą zrealizować. Nie chodziło w nim bynajmniej o rozmowy.

Na jednym ze spotkań delegat pokazał ten list Stefanowi Korbońskiemu „Nowakowi”, wówczas dyrektorowi Departamentu Spraw Wewnętrznych Delegatury (status ministra spraw wewnętrznych). Korboński nie był w stanie rozsądzić, czy propozycja ta jest pułapką, czy nie. Odradzał jednak osobiste spotkanie delegata, sugerując mu, by wyręczył się pełnomocnikiem znającym język rosyjski. Jednak warunkiem *sine qua non* propozycji sowieckiej była osobista obecność „Sobola”, „Niedźwiadka”, Kazimierza Pużaka „Bazylego” – szefa Rady Jedności Narodowej (podziemnego parlamentu) – i innych pełnomocnych reprezentantów podziemnych stronnictw, tworzących struktury Polski Podziemnej.

Jankowski poprosił zatem Korbońskiego, by poinformował o tej propozycji rząd RP w Londynie, a zwłaszcza przetelegrafował wspomniany list „Pimienowa”. Nie będąc aż tak naiwnym, by wykluczać zasadzkę, polecił Korbońskiemu, by zaprzestał codziennych z nim spotkań. Zakazał mu również jakichkol-

wiek prób kontaktowania się z innymi osobami, które miały uczestniczyć w rozmowach z przedstawicielami ZSRR. Jankowski przeznaczył „Nowaka” do innego zadania: gdyby propozycja sowiecka okazała się podstępem, miał zawiadomić o tym premiera Tomasza Arciszewskiego. Zgodnie z ustaleniami Korboński informował zatem na bieżąco rząd w Londynie o rozwoju wydarzeń.

„Nowak” odbył później podobną rozmowę z gen. Okulickim. „Niedźwiadek”, mający już negatywne sowieckie doświadczenia więzienne z roku 1941, był przekonany, że propozycja ZSRR jest podstępem. Dlatego zakomunikował „Nowakowi”, że nie pójdzie na to spotkanie, tylko wyręczy się pełnomocnikiem.

Mimo wcześniejszych bardzo złych doświadczeń nie można było tego „zaproszenia” do rozmów zignorować czy nie przyjąć, by propagandowo nie wykorzystali tego Sowieci – twierdząc przed zachodnimi aliantami i tamtejszą opinią publiczną, że Polacy odrzucają próby porozumienia – lub czyniąc z odmowy pretekst do całkowitego wyeliminowania niepodległościowo nastawionych partii z przyszłego rządu. Ziemię polskie zostały bowiem zajęte przez Armię Czerwoną, doszło do utworzenia komunistycznego Rządu Tymczasowego RP, który zaczął organizować administrację pod osłoną wojsk sowieckich, a w lutym 1945 roku na konferencji tzw. wielkiej trójki (przywódcy ZSRR, USA i Wielkiej Brytanii) w Jaltie zapadły arbitralne decyzje o dalszych losach Polski.

„Niedźwiadek” w pułapce

Na kolejnym spotkaniu „Soból” był w znacznie lepszym nastroju, gdyż – jak poinformował Korbońskiego – wstępne rozmowy się już odbyły, polscy przedstawiciele wrócili bez przeszkód, nie byli śledzeni itp. Sowieci zgodzili się nawet ze stanowiskiem podziemia, że najpierw zawiozą członków polskiej delegacji do Londynu na rozmowy z polskim rządem, a dopiero później na rozmowy ze swoimi zwierzchnikami. Rząd polski w Londynie nie zgłosił zastrzeżeń do całej akcji. W swych wspomnieniach Korboński pi-



► Kazimierz Pużak

sze, że te ustalenia go uspokoiły, w przeciwieństwie do jego żony – Zofii, która wietrzyła zasadzkę, powtarzając jak mantrę słowa: „Ale zegarka to ty, tatuściu, ze sobą nie bierz, bo ci go w tym Londynie Ruskie zabiorą”. W zestawieniu z tragedią rozmów z Sowiecami wręcz surrealistycznie brzmią gorzkie słowa Korbońskiego o tym, jak to trwały „zażarte wewnętrzne walki o udział w delegacji, przygotowywanie zawczasu mów, jakie po wizycie w Londynie zostaną wygłoszone na Kremlu, ba, nawet głośno snute wizje przyjęcia, na którym zostaną wypowiedziane!”, czy o skupieniu się na protokole obowiązującym na Kremlu, np. w kwestii noszonych... butów.

W przeddzień spotkania z Sowiecami Jankowskiego, Pużaka i Okulickiego, to znaczy 26 marca, Korboński spotkał się z „Niedźwiadkiem” w warszawskiej kawiarence przy Koszykowej. Przygnębiony Okulicki oznajmił, że jednak pod naciskiem delegata zdecydował się iść na te rozmowy, choć był przekonany, że robi źle. Na wypadek, gdyby akcja sowiecka okazała się podstępem, wyznaczył płk. Jana Rzepeckiego na swojego następcę. Nazajutrz Korboński bezskutecznie oczekiwał w umówionym miejscu na pojawienie się generała.



► Jan Stanisław Jankowski

Dzień później, 28 marca, do willi w Pruszkowie przy ul. Pęcickiej 3 udała się reszta polskich przedstawicieli, a w podziemiu zapanował nerwowy nastrój wyczekiwania. „Dziwiło wprawdzie wszystkich – wspominał Korboński – że obserwacje, przeprowadzone w Pruszkowie, stwierdzały zgodnie, że żaden z polskich uczestników konferencji ani na chwilę nie wyszedł z willi, do której wszyscy się udali, ale tłumaczono to sobie w ten sposób, że władze sowieckie z pewnością przygotowały nocleg i żywność, że lubią one bardzo stosować izolację rozmówców od świata zewnętrznego, bo to ułatwia nacisk itd., itd. W następnych dniach przyszły jednak wiadomości, że wieczorem w dniu rozmów budynki sąsiadujące z willą zostały obsadzone przez NKWD i że z podwórza willi wyjechały jakieś auta. Dawne podejrzenia odżyły na nowo i zaczęła kiełkować potworna myśl, że wstępne rozmowy miały tylko na celu uspienie czujności i zgromadzenie wszystkich razem, a przede wszystkim zwabienie nieufnego »Niedźwiadka«, i gdy to się udało, wszyscy naraz zostali aresztowani?”

Nie brakowało również opinii, że rozmowy toczą się dalej. Jednak Korboński nie mógł już więcej zwlekać i w Wielką Sobotę – 31 marca – przesłał do Londynu depeszę alarmową donoszącą o wszystkim. Jej zakończenie dowodzi, jak dalece sam jeszcze nie wiedział, co sądzić: „Podejrzewam podstępne aresztowanie lub wyjazd do Londynu lub do Moskwy, lub rozmowy w izolacji pod presją. Sami wyciągnijcie wnioski i zdecydуйте, czy już pora na interwencję u aliantów?”.

1 kwietnia 1945 roku ambasador Edward Raczyński wręczył pełny tekst tego meldunku brytyjskiemu ministrowi spraw zagranicznych Anthony’emu Edenowi z żądaniem natychmiastowej interwencji. Skutek był żaden, nie licząc nieśmiały słownych zapytań.

Gorzej niż czwarty rozbiór

Zdradzieckie aresztowanie przywódców polskiego podziemia wywołało w kraju piorunujące wrażenie. Wprawdzie wszy-

scy zdawali sobie sprawę z zasadniczych celów polityki Kremla, ale „prawie nikt nie przypuszczał, by Sowiety mogły użyć tak podłego i cynicznego podstępu – wspominał Korboński. – Wszyscy z napięciem i nadzieją oczekiwali na reakcję aliantów. Przyszła, ale jakżeż słaba i bez widoków na dobry skutek. Miejsce podniecenia i oczekiwania zaczęło zajmować rozczarowanie i bezgraniczne przynębnienie. Na tle porwania przywódców i kompromitująco bezskutecznej interwencji aliantów ludzie zaczęli się dopiero domyślać, że w Teheranie i Jalcie nie tylko dokonano czwartego rozbioru Polski, ale stało się jeszcze coś gorszego, coś, co najśmielsi i najdalej myślący ludzie bali się jeszcze definiować. [...] czyżby znów powrót niewoli rosyjskiej?”.

Udający się na rozmowy delegat Jankowski nie wyznaczył swego następcy. W tej sytuacji Korboński, uznając, że jako dyrektor najważniejszego departamentu, mający najdłuższy staż w konspiracji, jako ten, który przede wszystkim utrzymywał kontakt z rządem w Londynie i współorganizował władze konspiracyjne, powinien podjąć się zadania odtworzenia kierowniczego ośrodka, ratowania resztek podziemia. 7 kwietnia 1945 roku zorganizował w Warszawie posiedzenie przedstawicieli stronnictw wchodzących w skład quasi-parlamentu, którzy opowiedzieli się za kontynuacją działalności konspiracyjnej (nie odtworzono jedynie Krajowej Rady Ministrów, czyli podziemnego rządu). Dzień później Korboński poinformował rząd emigracyjny o zgodzie przedstawicieli stronnictw na pełnienie przez niego obowiązków delegata, by do czasu „wyjaśnienia się sytuacji załatwiał bieżące sprawy Delegatury”, na co gabinet Arciszewskiego przystał. Zatem *de facto* Korboński objął najwyższe państwowe stanowisko w kraju – p.o. Delegata Rządu RP na Kraj. Wszyscy, którzy zastąpili działaczy aresztowanych w marcu, poprzedzali swoje tytuły zastrzeżeniem „pełniący obowiązki”, gdyż ludzono się, że pomoże to aresztowanym, a także ułatwi zabiegi o ich uwolnienie. Z drugiej strony Korboński polecił rozgłosić, że

działa zastępca delegata Jankowskiego, a miejsca aresztowanych zajęli ich zastępcy, że Polskie Państwo Podziemne funkcjonuje nadal. Mimo starań przywódców, struktury Polski podziemnej oraz jej zaplecze polityczne ulegały jednak coraz większemu rozpadowi.

Korboński i podległy mu politycznie zastępca „Niedźwiadka” – płk Rzepecki – byli przekonani, że należy tonować odwetowe nastroje za podstępne aresztowanie przywódców w Pruszkowie; że zamachy na czołowe osobistości polskiej i sowieckiej partii komunistycznej nie mogą zmienić sytuacji na lepsze; a wręcz przeciwnie, mogą tylko pogorszyć los aresztowanych szesnastu i zwiększyć skalę represji. W ramach akcji samoobrony pozwolili jedynie na fizyczną likwidację, w bezspornie uzasadnionych przypadkach, szczególnie gorliwych i okrutnych funkcjonariuszy nowego systemu. Dążyli do wygaszenia akcji zbrojnych. W obliczu wzrastającego terroru stosowanego przez nową władzę komunistyczną nie było to jednak proste. Represje zmuszały ludzi do ucieczki do lasu i kontynuowania konspiracji. Wzbudzały również chęć odwetu.

Chcąc temu przeciwdziałać, 17 maja Polskie Państwo Podziemne z Korbońskim na czele wydało odezwę *Do Narodu Polskiego!* Określono w niej zasady po-



stępowania w obliczu sowietyzacji Polski. Opowiadano się za zaprzestaniem działań konspiracyjnych przeciwko władzom lubelskim – jak nazywano Rząd Tymczasowy – oraz Armii Czerwonej. Jednocześnie piętnowano samowolny rząd utworzony w Polsce przez komunistów i politykę Moskwy. Postulowano, by opór był kontynuowany przede wszystkim środkami politycznymi i propagandowymi. Odezwa ta stanowi jednocześnie przykład nadziei na prawdziwy koniec „polskiej wojny”, ponieważ – jak depreczował do Londynu Korboński – „[kapitulację III Rzeszy i] zakończenie wojny Warszawa przyjęła obojętnie. U nas niczego to nie zmienia”.

Podjęto także decyzję m.in. o częściowej demobilizacji oddziałów poakowskich. 27 maja Korboński wspólnie z Rzepeckim wydali odezwę adresowaną do „żołnierzy Polskich Oddziałów Leśnych”. Przekonywali w niej, że „nie jest dziś czas na walkę zbrojną”, a legalny rząd emigracyjny nie tylko wyraż-

nie nakazał rozwiązanie AK, lecz także „walki zbrojnej przeciw obecnej okupacji nie zarządził i nie zalecił, oceniając ją jako szkodliwą”. Apelowali o powrót do normalnego życia, o włączenie się do odbudowy kraju, poza pracą w administracji politycznej, w propagandzie i aparacie bezpieczeństwa. Dalsza konspiracja mogła grozić całkowitym wyniszczeniem. Nie oznaczało to jednak kapitulacji przed władzą komunistyczną, ponieważ kierowano apel do społeczeństwa o wytrwanie w oporze wobec nowego systemu. Apel ten nie przyniósł jednak zamierzonych efektów.

Na krakowskim posiedzeniu kierowniczego ośrodka podziemia 27 i 28 czerwca Korboński złożył sprawozdanie ze swej działalności po aresztowaniu delegata Jankowskiego. Ze względu na wejście przedstawicieli ludowców w skład Tymczasowego Rządu Jedności Narodowej (złożonego z komunistów i polityków przybyłych z Londynu, ze Stanisławem Mikołajczykiem na czele), drugiego dnia (tj. 28 czerwca) złożył swój urząd. Tak jak inni działacze delegatury był przekonany, że podziemie należy zlikwidować, by przejść do jawnej działalności politycznej. W nocy z 28 na 29 czerwca

► Leopold Okulicki
podczas procesu moskiewskiego

wraz z żoną został aresztowany przez komunistyczny aparat bezpieczeństwa.

1 lipca 1945 roku doszło do ostatniego posiedzenia Komisji Głównej RJN, która w wydanej odezwie zawarła następujący *passus*: „Przed sądem w Moskwie stanęli najlepsi synowie Polski, którzy przez pięć lat z największym poświęceniem, z bohaterskim narażaniem życia kierowali nieugiętą walką Narodu przeciwko hitleryzmowi”. Tego samego dnia Polskie Państwo Podziemne przestało istnieć.

Rozmowy w cieniu procesu

W tym samym czasie, kiedy były emigracyjny premier Stanisław Mikołajczyk prowadził w Moskwie pertraktacje z komunistami w sprawie powołania wspólnego rządu, podstępnie aresztowani przywódcy polskiego podziemia (w tym były Komendant Główny AK, Delegat Rządu RP na Kraj, trzej podlegli mu ministrowie oraz przewodniczący Rady Jedności Narodowej – podziemnego parlamentu) stanęli – również w Moskwie – przed sowieckim trybunałem (17–21 czerwca 1945 roku). Zostali oskarżeni m.in. o przynależność do nielegalnej organizacji, o współpracę z Niemcami (z którymi przecież walczyli całą wojnę), a także o prowadzenie działalności dywersyjnej, szpiegowskiej i terrorystycznej, wymierzonej przeciwko ZSRR. Wszystko przy milczącej postawie zachodnich sojuszników Polski. Bezprawny i pokazowy proces polityczny, tzw. proces szesnastu (tj. piętnastu plus tłumacz), przeprowadzony po trzymiesięcznym intensywnym przesłuchiwaniu i „przygotowywaniu” oskarżonych w więzieniu NKWD na Łubiance, toczył się przy kompromitującej milczącej aprobacie zachodniego świata. W trybie ekspresowym zapadły wyroki skazujące dwunastu z piętnastu oskarżonych (szesnasty oskarżony, Antoni Pajdak, został skazany w osobnym, tajnym procesie). Niektórzy z sowieckiego więzienia już nie wyszli. 📖

dr Piotr Stanek – kierownik Działu Naukowego Centralnego Muzeum Jeńców Wojennych w Łambinowicach-Dopolu, autor m.in. biografii *Stefan Korboński (1901–1989). Działalność polityczna i społeczna* (2014)



Wyrok wydał sąd pod przewodnictwem mjr. Adama Gajewskiego 3 sierpnia 1946 roku. Był zgodny z wnioskiem prokuratora Wojskowej Prokuratury Rejonowej, chor. Wacława Krzyżanowskiego. Sędziowie potrzebowali zaledwie półgodzinnej narady, by zadecydować o rozstrzelaniu niepełnoletniej sanitariuszki. Zarzucono jej przynależność do organizacji, „która miała na celu usunięcie przemocą ustanowionych organów władzy zwierzchniej narodu i zmianę przemocą istniejącego demokratycznego ustroju państwa polskiego, przy czym udział jej przejawiał się w uczestniczeniu wraz z bandą w charakterze sanitariuszki w akcjach”, oraz to, że jako członek oddziału „dopuszczała się wielokrotnie zamachów na funkcjonariuszy UB i MO, SOK i żołnierzy Armii Czerwonej, członków organizacji politycznej”. Obrońca z urzędu, Jan Chmielowski, skierował

Sanitariuszka Wykleta

Marzena Kruk

Dwukrotna kara śmierci, 15 lat więzienia, utrata praw publicznych i obywatelskich praw honorowych na zawsze oraz przepadek mienia na rzecz Skarbu Państwa – tak brzmiał wyrok Wojskowego Sądu Rejonowego w Gdańsku. Podsydłą była niespełna osiemnastoletnia Danuta Siedzikówna „Inka”, sanitariuszka Armii Krajowej.

do prezydenta Krajowej Rady Narodowej, Bolesława Bieruta, prośbę o ułaskawienie...

Pod zmienionym nazwiskiem

„Inka” była sanitariuszką w 5. Wileńskiej Brygadzie Armii Krajowej, dowodzonej przez Zygmunta Szendzielarza „Łupaszkę”. Wprawdzie już w 1944 roku złożyła przysięgę i pomagała lokalnym strukturom AK w swoich rodzinnych stronach, ale dopiero w 1945 roku trafiła pod jego rozkazy. W dużej mierze zdecydował o tym przypadek. Siedzikówna pracowała wówczas w nadleśnictwie w Narewce. W czerwcu 1945 roku funkcjonariusze NKWD i Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego aresztowali wszystkich pracowników nadleśnictwa pod zarzutem współpracy z podziemiem niepodległościowym. W pobliżu Hajnówki partyzanci Szendzielarza, dowodzeni przez Stanisława Wołonceja, odbili partyzantów z konwoju. Siedzikówna, przyjmawszy pseudonim „Inka”, postanowiła zostać w lesie z akowcami.

13 lipca 1946 roku na rozkaz zastępującego dowódcę szwadronu Olgerda Christy „Leszka” „Inka” pojechała do Malborka, Olsztyna i Gdańska, gdzie miała zdobyć opatrunki medyczne i lekarstwa, a przede wszystkim ustalić, co się dzieje z dowódcą szwadronu Zdzisławem Badochą „Żelaznym”, który nie wrócił do oddziału po rekonwalescencji w gospodarstwie pod Malborkiem. Przed wyjazdem zamieniła wojskowy strój sanitariuszki na cywilne ubrania: „W pożyczonej od gospodyni sukience wyglądała



Fot. ze zbiorów siostrzenicy „Inki”

► U góry – szkolne zdjęcie Danuty Siedzikówny; u dołu – Danuta (stoi w białej sukience) z rodziną: mamą Eugenią (stoi), ciocią Jadwigą, babcią Anielą, tatą Wacławem i siostrami: Ireną (z kokardą) i Wiesławą; leśniczówka w Olchówce k. Narewki, lato 1939 roku

bardziej dziewczęco niż zazwyczaj. Na co dzień chodziła, jak wszystkie »siostry«, w spodniach i długich butach, nigdy w spódnicy” – wspominał Christa.

W podróży towarzyszył jej Henryk Kazimierczak „Czajka”. W Malborku przy ul. Rodziewiczówny 9 mieścił się jeden z lokali konspiracyjnych „Łupaszki”, prowadzony przez Helenę Tarasiewicz. To tutaj Danka miała się dowiedzieć, co się dzieje z rannym „Żelaznym”, który wracał do zdrowia w pobliskim Czerninie, w majątku zarządzanym przez Ottomara Zielkego. Za-

nim jednak dotarła pod wskazany adres, spotkała syna właścicielki mieszkania, Zbigniewa Tarasiewicza, który przekazał jej wiadomość o zastrzeleniu Badochy przez ubowców. Chcąc potwierdzić te informacje, „Inka” pojechała do Olsztyna, do kolejnego punktu kontaktowego, a 19 lipca przyjechała do Gdańska, gdzie „Czajka” odprowadził ją do sióstr Jadwigi i Haliny Mikołajewskich. Ich dom przy ul. Wróblewskiego 7 w Gdańsku-Wrzeszczu także był punktem kontaktowym. Danuta Siedzikówna dotarła tam wieczorem, a rano zamierzała się udać w drogę powrotną do oddziału.

Dom Mikołajewskich od jakiegoś czasu znajdował się pod stałą obserwacją funkcjonariuszy WUBP, którzy listę lokali

Danuta Siedzikówna „Inka” urodziła się 3 września 1928 roku w Guszczewinie na Podlasiu. Gdy miała 12 lat, jej ojca, Wacława, Sowieci wywieźli do łagru, a trzy lata później, we wrześniu 1943 roku, Niemcy zamordowali matkę, Eugenię. Piętnastoletnia Danuta wstąpiła do Armii Krajowej, gdzie odbyła szkolenie medyczne. W czerwcu 1945 roku została zatrzymana przez oddział NKWD/UB. Z konwoju uwolnił ją patrol 5. Wileńskiej Brygady AK. W brygadzie przyjęła pseudonim „Inka” i służyła jako sanitariuszka. Po raz drugi aresztowano ją w Gdańsku-Wrzeszczu 20 lipca 1946 roku. W czasie śledztwa była torturowana i poniżana, ale nikogo nie wydała. Chociaż nigdy nie walczyła z bronią w ręku, została skazana na karę śmierci i rozstrzelana 28 sierpnia 1946 roku w więzieniu przy ul. Kurkowej w Gdańsku.





► Koncentracja 5. Wileńskiej Brygady AK w gajówce Stoczek; „Inka” stoi trzecia od lewej; wrzesień 1945 roku

5. Wileńska Brygada Armii Krajowej

została utworzona w 1943 roku i była oddziałem partyzanckim Okręgu Wilno AK. Oddział ten, dowodzony przez mjr. Zygmunta Szendzielarza „Łupaszkę”, nazywano też Brygadą Śmierci. Na Wileńszczyźnie, w okresie okupacji niemieckiej, walczył on z Niemcami, Litwinami i partyzantami sowieckimi. W lipcu 1944 roku część żołnierzy „Łupaszki” przekroczyła Bug, by kontynuować działalność na Białostocczyźnie (w 1945 roku), Mazurach i Pomorzu (w 1946 roku) i na Podlasiu (w latach 1946–1949; nieliczni żołnierze walczyli do 1952 roku). Brygada była jedną z najważniejszych i najskuteczniejszych polskich jednostek bojowych walczących z sowieckim NKWD oraz z oddziałami Urzędu Bezpieczeństwa, Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego i Milicji Obywatelskiej. Wykonała ponad 230 akcji, głównie w Borach Tucholskich. „Łupaszka” został aresztowany 30 czerwca 1948 i stracony 8 lutego 1951 roku w warszawskim więzieniu na Mokotowie.

kontaktowych zdobyli od naklonionej do współpracy łączniczki 5. Wileńskiej Brygady AK, Reginy Mordas [historię tej konfidentki opisała Magdalena Semczyszyn w „Pamięci.pl” nr 10/2014]. Nad ranem 20 lipca funkcjonariusze WUBP wtargnęli do domu. Siedzikówna miała fałszywe dokumenty na nazwisko Ina Zalewska, jednak ubowcy i tak byli przekonani, że jest żołnierzem oddziału nienawidzonego przez nich „Łupaszki”. Co ciekawe, po siostry Mikołajewskie funkcjonariusze wrócili później, dzięki czemu miały one czas na zniszczenie części konspiracyjnych dokumentów. Niedługo potem zostały zwolnione z aresztu. Prokurator Wojskowej Prokuratury Rejonowej w Gdańsku, kpt. Adolf

Fot. AIPN



► Żołnierze 4. szwadronu 5. Wileńskiej Brygady AK, „Inka” pierwsza z lewej; Białostocczyzna, lato 1945 roku

Brunicki, w postanowieniu o zastosowaniu środka zapobiegawczego z dnia zatrzymania „Inki” przewidział areszt tymczasowy do 31 sierpnia 1946 roku. Warto dodać, że w wyniku informacji uzyskanych od Reginy Mordas niespełna dwa tygodnie wcześniej, 8 lipca 1946 roku, aresztowano Feliksa Selmanowicza „Zagończyka”. To właśnie chęć chronienia „Reginy” (taki pseudonim przyjęła Mordas) jako ważnego źródła wpłynęła na przyśpieszenie terminu egzekucji „Inki” i „Zagończyka”.

Proces po okiem UB

Nie wiadomo, w jakich okolicznościach doszło do ustalenia prawdziwego nazwiska „Inki”. Z dokumen-

tów wynika, że już 31 lipca śledczy je znali. Nad całością postępowania przeciwko „Ince”, i to zarówno w prokuraturze, jak i w sądzie, „czuwali” funkcjonariusze Wydziału Śledczego WUBP w Gdańsku, a dokładnie naczelnik Józef Bik i oficer śledczy Andrzej Stawicki. Ten drugi zaledwie jedenaście dni po aresztowaniu Danuty Siedzikówny sporządził akt oskarżenia i postulował zasądzenie jej najwyższego wymiaru kary. Naczelnik Józef Bik, przekazując akta sprawy „Inki” do prokuratury wojskowej 2 sierpnia, pisał: „Jednocześnie proszę o uzgodnienie z Prezesem Sądu terminu wyznaczenia rozprawy na dzień 03.08.1946 r. w związku z tym, iż świadkowie zostali wezwani za pomocą telefonogramów na powyższą datę”. Telefonogramy rozesłano również

2 sierpnia, zanim jeszcze akta sprawy trafiły do prokuratora i sądu.

Przed procesem Dankę poddano brutalnemu śledztwu. Jak wynika z relacji osób, które zetknęły się z „Inką” w areszcie, zastraszano ją, poniżano i torturowano. Funkcjonariusze WUBP chcieli się dowiedzieć wszystkiego o zaplanowanych działaniach oddziałów podporządkowanych „Łupaszce”. Żądano informacji na temat poszczególnych partyzantów oraz osób z nimi współpracujących. Być może liczone na to, że Siedzikówna poda kolejne miejsca koncentracji, postojów czy choćby adresy punktów kontaktowych, co pozwoliłoby nie tylko rozbić leśnych, lecz przede wszystkim schwytać samego Zygmunta Szendzielarza. Mimo tortur „Inka” nikogo nie wydała.

W akcie oskarżenia sporządzonym 31 lipca 1946 roku przez oficera śledczego Andrzeja Stawickiego Danucie Siedzikównie postawiono cztery zarzuty: „czynny udział w oddziale leśnym mjr. »Łupaszki«, który to oddział miał na celu usunięcie przemocą ustanowionych Organów Władzy Zwierzchniej Narodu Polskiego”, „udział w napaściach na funkcjonariuszy UB i MO, na posterunki MO, SOK oraz pociągi osobowe i dnia 24 maja 1946 r. we wsi Podjazy pow. Kartuzy dopuściła się gwałtownego zamachu na pracownika MO ob. Ratajczyka Longina, strzelając do niego z pistoletu, raniąc go, poczym [pisownia oryginalna] grożąc mu bronią, odebrała rannemu pas i magazyn z amunicją. Następnie dnia 10-tego czerwca 1946 r. we wsi Tulice pow. Sztum wydała rozkaz współtowarzyszom swej bandy rozstrzelania dwóch pracowników UB ze Sztumu Kantorskiego Maksymiliana i Baczyńskiego Kazimierza, co też zostało wykonane”, nawoływanie do popełnienia zbrodni (zdarzenie z Tulic) i nielegalne posiadanie broni.

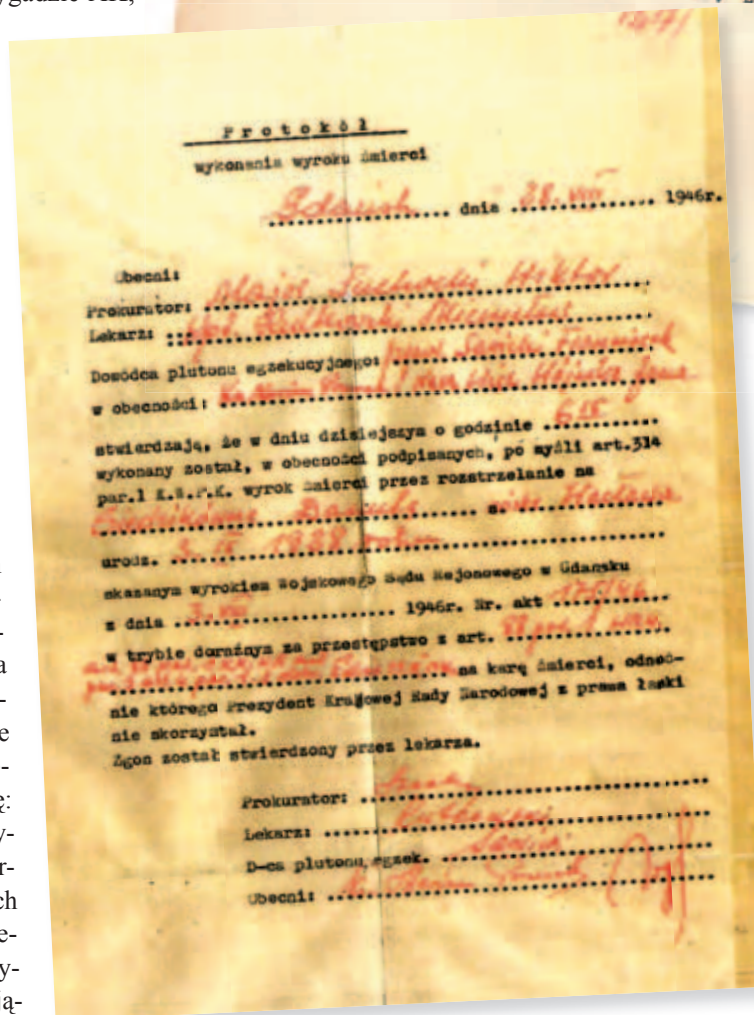
Wbrew wszelkim standardom prawnym, a nawet obowiązującym wówczas przepisom, „Inka” usłyszała stawiane jej zarzuty dopiero na rozprawie. Przyznała, że należała do oddziału zbrojnego ▶



Fot. AIPN

i od maja 1946 roku miała broń: „Raz jeden strzelałam z tego pistoletu w leśnie dla wypróbowania”. Janina Smoleńska „Jachna”, również sanitariuszka w 5. Wileńskiej Brygadzie AK, w swoich wspomnieniach podkreślała, że w tym okresie wszystkie sanitariuszki na rozkaz mjr. „Łupaszk” miały broń do obrony. Danka zaprzeczyła absurdalnym oskarżeniom o postrzelenie w potyczce w Podjazach funkcjonariusza MO Longina Ratajczyka i wydaniu rozkazu rozstrzelania w Tulicach dwóch funkcjonariuszy UB.

Na świadków zarzucanych „Ince” rzekomych zbrodni wezwano wyłącznie dziesięciu funkcjonariuszy MO i UB. Na rozprawę, która rozpoczęła się o 16:00, zgodnie z życzeniem UB, 3 sierpnia 1946 roku stawili się: Longin Ratajczyk, Mieczysław Mazur, Edmund Borkowski, Franciszek Bablich i Eugeniusz Adamski, zeznania pozostałych odczytano. Najbardziej obciążają-



widział, aby używała broni. Mazur dodał nawet, że na rozkaz swojego dowódcy rzuciła rannym funkcjonariuszom bandaż.

„...zachowałam się, jak trzeba...”

Tak zeznawali funkcjonariusze Komendy Powiatowej MO w Kartuzach w lipcu i sierpniu 1946 roku. Kiedy przesłuchiwa- no ich 12 czerwca, żaden nie wspomniał o strzelającej do nich kobiecie. W wyjaś-

nieniach Ratajczyka poja-

wia się za to informacja o otrzymaniu bandażu od sanitariuszki z oddziału partyzanckiego. Inny funkcjonariusz, Edwin Cieszyński, uzupełnił wówczas opis tego zdarzenia: „Zwróciłem się do dowódcy, aby nam zostawiono trochę bandażu, żebym mógł dać pomoc rannym kolegom. Rzucono nam dwa bandaże, później jedna z kobiet znajdujących się na samochodzie ucięła jeszcze jakieś bandaże”.

Podobnie przedstawia się kwestia zarzutu o wydanie rozkazu rozstrzelania schwytanych w Tulicach funkcjonariuszy UB. Szwadron dowodzony przez ppor. Badochę „Żelaznego” wchodził w skład 5. Wileńskiej Brygady AK mjr. Zygmunta Szendziela-

Podporucznik Feliks Selmanowicz „Zagończyk”

urodził się w Wilnie 6 czerwca 1904 roku. Jako kilkunastoletni ochotnik brał udział w wojnie z bolszewikami. W 1939 roku uczestniczył w walkach obronnych przeciwko Armii Czerwonej. Później wstąpił do Armii Krajowej i walczył z Niemcami. Był dwukrotnie ranny. W 1945 roku wyjechał z Wilna na Pomorze, gdzie nawiązał kontakt z mjr. Zygmuntem Szendzielarzem „Łupaszką”. Został dowódcą samodzielnego patrolu bojowo-dywersyjnego, który przeprowadził wiele akcji, m.in. w Gdańsku, Sopocie, Olsztynie i Tczewie. Aresztowano go w Sopocie 8 lipca 1946 roku. Został skazany na karę śmierci i stracony razem z „Inką”.

ca Danutę zeznania złożyli Ratajczyk i Adamski.

Ratajczyk przed sądem powiedział: „Rozpoznaję oskarżoną jaką tę, która brała udział w potyczce [...]. Oskarżona zabrała mi pas i magazyn z nabojami. Widziałem również, gdy jeszcze siedziałem w aucie, jak oskarżona biegła w naszą stronę z pistoletem w rękę. W tym czasie padł strzał i ja zostałem ranny w plecy. Po wyjęciu pocisku z rany, który w tej chwili przedkładam Sądowi, okazało się, iż był to pocisk z pistoletu, z tego wnioskuje, że to oskarżona do mnie strzelała”. Borkowski i Mazur potwierdzili, że „Inka” była w oddziale, z którym walczyli nieopodal Sulęczyna, ale żaden z nich nie

rza „Łupaszki”, stanowiącej element Polskich Sił Zbrojnych w Kraju. Formacja ta od początku swojej działalności w ramach Wileńskiego Okręgu AK odznaczała się dużą dyscypliną i karnością. Był to świetnie wyszkolony oddział wojskowy, w którym rozkazy wydawał dowódca – a nie sanitariuszka! – Olgierd Christa, który objął dowództwo nad szwadronem w czasie akcji pod Tulicami, powiedział po latach: „»Inka« miała mały pistolet, ale nigdy go nie używała. Nie brała czynnego udziału w akcjach. Była sanitariuszką i wykonywała zadania związane z zabezpieczeniem medycznym szwadronu. [...] Nasi przeciwnicy poddali się po krótkiej wymianie strzałów. Ja poleciłem rozstrzelać dwóch z nich – byli to funkcjonariusze urzędu bezpieczeństwa. »Inka« w tym czasie zajęta była udzielaniem pomocy »Żelaznemu«, który miał postrzał płuc. Nie wypowiedziała się na temat, iż kogokolwiek rozpoznaje jako funkcjonariuszy UB, ani nie mówiła, aby ich rozstrzelać”.

Zarzucanie sanitariuszce działania tak diametralnie sprzecznego z jej powołaniem i funkcją na polu walki było wyjątkowo perfidne i stanowiło element kreowania czarnej legendy żołnierzy „Łupaszki” jako zwykłych bandytów. A to, że taką wersję zdarzenia przedstawili ludzie, którym „Inka” udzieliła pomocy, wymownie świadczy o ich moralności.

Obróńca z urzędu, Jan Chmielowski, wysłał do prezydenta KRN prośbę o łaskę, powołując się m.in. na niepełnoletniość skazanej i na to, że była sierotą. Pod petycją nie było jednak podpisu Danuty Siedzikówny, lecz jedynie jej adwokata. Bolesław Bierut 19 sierpnia odmówił Siedzikównie prawa do życia. Wyrok miał zostać wykonany 28 sierpnia 1946 roku, na trzy dni przed upływem wyznaczonego w dniu aresztowania „środka zapobiegawczego”.

Przed plutonem egzekucyjnym razem stanęli Danuta Siedzikówna „Inka” i Feliks Salmanowicz „Zagończyk”. Przy egzekucji był obecny ks. Marian Prusak, który wcześniej wypowiedział skazanych. Po latach wspominał: „W końcu poprowadzono mnie schodami, jakby do piwnicy. Oni już tam byli. Zdaje się w kajdankach, albo z zawiązanymi rękami. Sala była niewielka, jak dwa pokoje. Miałem krzyż, dałem go do pocałowania. Chciano im zawiązać oczy, nie pozwolili. Obok czekała zgryza ludzi, tak że było dosyć ciasno.

Był wojskowy prokurator i pełno jakichś młodych ubowców. Ustawiono nieszczęśników pod słupkami. W rogu był stolik, skąd prokurator odczytywał wyrok i skąd dał rozkaz wykonania egzekucji. Była taka jakby wnęka, chyba czerwona nie otynkowana cegła, były słupki do połowy wysokości człowieka. Postawiono ich przy nich [...]. Prokurator odczytał uzasadnienie wyroku i poinformował, że nie było ułaskawienia. Jego ostatnie słowa brzmiały: »Po zdrajcach narodu polskiego, ognia!«. W tym momencie skazani krzyknęli, jakby się wcześniej umówili: »Niech żyje Polska!«. Potem salwa i osunęli się na ziemię”. Dowódca plutonu dobił ich strzałami z pistoletu.

Już po egzekucji do rodziny „Inki” dotarł jej więzienny gryps, w którym napisała: „Jest mi smutno, że muszę umierać. Powiedzcie mojej babci, że zachowałam się, jak trzeba...”.

Marzena Kruk – historyk, naczelnik Oddziałowego Biura Udośćępniania i Archiwizacji Dokumentów IPN w Gdańsku



Aż do ofiary życia

Marcin Zwolski

W roku 1945 nie wszyscy mogli znów poczuć się bezpiecznie. W pierwszych latach powojennych wielu Polaków nadal ryzykowało życie – swoje, a czasem też swoich bliskich.

Już w czasie II wojny światowej nie brakowało postaw ryzykownych. Pomoc ukrywającym się Żydom, przekazywanie żywności jeńcom wojennym, pośredniczenie w kontaktach z więźniami, opór wobec zarządzeń władz – wszystko to, choć chwalebne, było igraniem z własnym życiem. Osobną kategorią były związki z konspiracją zbrojną i polityczną, czasem bardzo luźne, polegające na udzieleniu schronienia, przekazaniu żywności członkom podziemia, a nawet okazaniu sympatii ich działaniom. Z ofiarą krwi stale musieli się liczyć aktywni konspiratorzy, przede wszystkim żołnierze oddziałów zbrojnych.

Po pierwsze: wolność

Obecnie jedynie nieliczni ryzykują czasem życie dla dobra innych – wynika to zwykle z wykonywanego przez nich za-

wodu (m.in. żołnierze, policjanci, strażacy). Pozostali obywatele nie muszą tego robić i różnie podchodzą do takiej ofiary. Znana artystka Maria Peszek stwierdziła w wywiadzie: „Życie jest ważniejsze niż jakakolwiek idea, dlatego nie oddałabym ani jednej kropli krwi za ojczyznę”. Na pytanie, kto ma walczyć i ginąć za Polskę, odpowiedziała: „Jeżeli ktoś ma taką potrzebę, to bardzo proszę. Zawsze byli ludzie, którzy takie potrzeby mieli, i tacy, którzy ich nie mieli”. Wypowiedź ta, choć z pewnością dla wielu kontrowersyjna, wcale nie musi dyskredyto-

Przysięgam być wiernym Ojczyźnie mej, Rzeczypospolitej Polskiej, stać nieugięte na straży Jej honoru i o wyzwolenie Jej z niewoli walczyć ze wszystkich sił, aż do ofiary mego życia.

(fragment przysięgi Armii Krajowej)

wać artystki – ma ona prawo mieć takie poglądy. Może je mieć, bo żyje w wolnym kraju. Pytanie brzmi, czy mogłaby je swobodnie głosić, gdyby ktoś tej wolności nie wywalczył. Bo, jak napisał jeden z tych, którzy oddali życie w walce o wolną ojczyznę – żołnierz podziemia antykomunistycznego Zdzisław Broński „Uskok”: „Życie poświęcić warto jest tylko dla jednej idei, idei wolności! Jeśli



► Major Hieronim Dekutowski „Zapora” oddał życie za ojczyznę 7 marca 1949 roku

walczyliśmy i ponosimy ofiary, to dlatego, że chcemy właśnie żyć, ale żyć jako ludzie wolni, w wolnej ojczyźnie”.

Aby zrozumieć postawy dużej części społeczeństwa, która była gotowa ryzykować własny dobytek, szczęście, zdrowie, a nawet życie dla dobra ojczyzny, należy cofnąć się do czasów międzywojennych i przyjrzeć się ówczesnej dumie z odzyskania wolności i niepodległości. W Polsce lat dwudziestych i trzydziestych kultywowano etos własnego, niezależnego państwa i pamięć o wieloletniej walce o nie. Mundur żołnierski jako symbol walki o niepodległość był niemal przedmiotem kultu, a noszący go cieszyli się powszechnym szacunkiem. Wszyscy bowiem pamiętali niewolę.

Uwielbienie wolności i docenienie walczących o nią ludzi przekładały się na wychowanie młodzieży – zarówno w szkole, jak i w domach. Młodzi wyrostali w duchu patriotyzmu i poświęcenia ojczyźnie. Później, w latach wojny, niektórzy wielokrotnie ocierali się o śmierć, walcząc przeciwko okupantom. Nawet ci, którzy – z racji wieku – nie mogli jeszcze nosić broni, byli świadkami okrucieństw okresu okupacji, to zaś zahartowało ich psychikę i znieczuliło wrażliwość. Swoje znaczenie miało też to, że mało która rodzina nie poniosła strat wojennych – prawie każdy pożegnał brata, ojca, krewnych lub kolegów. To czyniło twarym. Ci, którzy u schyłku II wojny światowej uznali, że walkę należy kontynuować – tym razem przeciwko komunistom – byli przygotowani psychicznie na to ryzyko.

Śmierć jako ryzyko oporu

Jest oczywiste, że żołnierz na polu walki ryzykuje życie. Specyfika sytuacji członków podziemia niepodległościowego w Polsce w latach 1944–1956 polegała na tym, że nie wszyscy oni walczyli z bronią w ręku, a zagrożenie śmiercią nie wiązało się w ich przypadku jedynie z walką zbrojną – była nim obciążona właściwie każda forma działalności opozycyjnej, która mogła doprowadzić do aresztowania, a następnie śmierci – w wyniku tortur stosowanych podczas śledztw albo wyroku orzeczonego przez sąd. Każdy zatem rozpoczynający działalność przeciwko władzy komunistycznej musiał się liczyć ze śmiercią. Osobną kwestią jest to, czy rzeczywiście zdawał sobie sprawę z tego ryzyka i czy był psychicznie gotowy na taką ofiarę.

Partyzanci i uzbrojeni członkowie podziemia wielokrotnie deklarowali gotowość do oddania życia za idee, o które walczyli. Widać to choćby w tekstach śpiewanych przez nich piosenek, na przykład w tych najbardziej popularnych: *Dziś do Ciebie przyjść nie mogę* („Gdy nie wrócę, niechaj wiosną moją rolę sieje brat, kości moje mchem porosną i użyźnią ziemi szmat”) i *Rozszumiały się wierzby płaczące* („Do tańca grają nam granaty,

wisów szczęk, śmierć kosi niby łan, lecz my nie wiemy, co to lęk”). Leśni rozumieli zawarte w nich przesłanie. „Uskok”, który ukrywał się przed funkcjonariuszami Urzędu Bezpieczeństwa, pisał: „Czy nam, partyzantom, kiedykolwiek coś się opłacało? I czy się opłaci? Dla nas? – Ty giniesz, by naród mógł żyć! – mówi partyzancka piosenka i zamyka wszelkie komentarze”. Gotowość na śmierć była często przywoływana w pamiętnikach uczestników oporu antykomunistycznego, w ich wspomnieniach oraz listach do bliskich. Sygnalizowali ją zarówno walczący z bronią w ręku, jak i uczestnicy konspiracyjnych struktur cywilnych.

Deklaracja gotowości do oddania życia za ojczyznę była w szeregach podziemia antykomunistycznego czymś oczywistym, wynikającym chociażby z roty składanej przysięgi konspiracyjnej. Można wręcz stwierdzić, że osoba, która odmówiłaby złożenia takiej deklaracji, nie mogłaby należeć do organizacji. Deklaracja „nie poddam się, raczej zginę” czy „prędzej zginę, niż zdradzę współpracowników i nasze tajemnice” była potrzebna do utrzymania wzajemnego zaufania i podniesienia morale. Tylko z osobą, która złożyła taką przysięgę, można było iść razem w bój albo powierzyć jej konspiracyjną pocztę czy wiedzę o tajnych strukturach. Czy jednak te deklaracje nie były tylko słowami wypowiedzianymi, bo tego oczekiwali inni? Czy były składane do końca świadomie i – przede wszystkim – czy przysięgi były dotrzymywane?

Samo wstąpienie w szeregi konspiracji było już pewną formą weryfikacji tych deklaracji. Nawet jeśli ktoś robił to wiedziony impulsem czy młodzieńczą fantazją, to doskonale przecież zdawał sobie sprawę z tego, że ryzyko utraty życia jest w organizacji o wiele większe, niż gdyby się w nią nie angażował.

Paradoksalnie, udział w walce zbrojnej raczej nie dowodził gotowości na śmierć, bo walczone jednak o życie, a jeśli ktoś ginął, to z ręki wroga, nie godząc się na to. Wyjątkiem byli oczywiście ci żołnierze podziemia, którzy ranni lub otoczeni, nie widząc nadziei na ucieczkę, z obawy ▶



Fot. AIPN

przed torturami albo po prostu uważając, że tak trzeba, sami odbierali sobie życie, dając najmocniejszy dowód na to, że złożone przysięgi traktowali poważnie. W literaturze zostały opisane liczne przykłady takich zachowań. Samobójstwo, które miało uniemożliwić aresztowanie przez UB, było postrzegane w środowisku leśnych jako czyn bohaterski: „Wszyscy z dumą wspominamy tych poległych kolegów, którzy wobec podlego i nikczemnego wroga okazały pogardę życia posuniętą do odbierania sobie tegoż życia własnoręcznie” – pisał „Uskok”. Poza wymiarem symbolicznym miało to też praktyczną przyczynę – zatrzymany mógł nie wytrzymać tortur i wsypać towarzyszy, a od zmarłego Urząd Bezpieczeństwa nie mógł się już niczego dowiedzieć.

Śmierć w katowniach UB

Najtrudniejsza próba charakteru czekała tych, którzy trafili w ręce UB. Mieli oni bowiem czas na analizę swojej sytuacji. Zazwyczaj doskonale wiedzieli, co mogą zrobić, aby ratować swoje życie. Stało to jednak w sprzeczności z wyznawanymi przez nich ideałami oraz ze złożoną przysięgą. Decyzje, które podejmowali pod wpływem brutalnych metod śledczych UB i pod presją śmierci, były różne. Wielu nie wytrzymało i zdradzało śledczym interesujące ich fakty, co i tak nie zawsze ich ratowało. Najdrastyczniejsze tortury przechodzili jednak ci, którzy trwali w oporze.

Osoby niegodzące się na współpracę z UB i składanie zeznań obciążających towarzyszy ryzykowały utratę życia w wyniku tortur, celowego mordu dokonanego przez funkcjonariuszy bądź egzekucji wykonywanej na mocy orzeczonego wyroku śmierci. Zdarzało się, że wybierały czwartą drogę i popełniały samobójstwo w celi lub nawet w pokoju przesłuchań. Była to zwykle forma ucieczki przed cierpieniami zadawanymi przez funkcjonariuszy, ale czyn taki mógł też być rezultatem obawy o własną postawę – czy wytrzymam dalsze śledztwo, czy się nie załamie i nie zdradzę organizacji.

Nie jest możliwe określenie, jak wielu aresztowanych członków konspiracji antykomunistycznej zostało w czasie śledztw złamanych. Nie ma też chyba sensu rozpatrywać tego w kategoriach liczbowych, bo i tak nikt nie ma moralnego prawa oceniać tych, którzy nie wytrzymali tortur. Literatura przedmiotu, ze zrozumiałych względów, skupia się zwykle na prezentowaniu postaw heroicznych, których było naprawdę dużo. Większość z tych, którzy nie chcieli dostarczyć bezpiecze interesujących ją informacji, starała się podać dane mało istotne lub fałszywe, aby z jednej strony nie zaszkodzić swoim towarzyszom, a z drugiej – choć na chwilę przerwać swoje męki. Byli jednak i tacy, którzy demonstracyjnie odmawiali jakichkolwiek zeznań, tak jak Zygmunt Truskowski „Wilczak”, który na żądania śledczego, aby przyznał się do zarzucanych czynów i podał innych ich sprawców, odpowiedział: „Wszystko jedno, czy przyznam się, czy się nie przyznam, to wiem, że dostanę karę śmierci”. Został stracony w więzieniu w Białymstoku w 1946 roku. O tym, że niektórzy konspiratorzy zginą, a nie pomogą w żaden sposób UB, byli przekonani ich towarzysze, a nawet rodzina. Matka zabitego przez bezpiekę w 1946 roku Stanisława Ciołka „Lwa” na wieść o jego śmierci stwierdziła: „Zginął, bo nie chciał im nic powiedzieć. Wiedziałam, że nie powie! Był dobrym Polakiem i zginął za Polskę”.

Chociaż tortury stosowane przez bezpiekę nieraz doprowadzały do śmierci przesłuchiwanym, nie miały one na celu fizycznej eliminacji, lecz wymuszenie przyznania się do zarzutów i uzyskanie informacji obciążających inne osoby. Znane są jednak liczne przypadki, kiedy funkcjonariusze wpadali w szal, np. będąc pod wpływem alkoholu, i umyślnie zabijali aresztantów, a nawet decydowali się na ich likwidację „na chłodno”, zwykle po wywiezieniu w odludne miejsce. Fakty te były znane już wówczas, więc więźniowie mieli uzasadnione obawy, że ich także może spotkać taki los. Dlatego też, gdy funkcjonariusze oznajmiali przesłuchiwanemu, który nie chciał zeznawać

tak, jak oni sobie życzyli, że jeśli nie zmieni swojej postawy, to wywożą go i zabiją, ten traktował to z reguły poważnie. Szczególnie wtedy, gdy pakowano go w nocy w samochód, wywożono do lasu i kazano kopać własny grób. Zazwyczaj była to jednak tylko kolejna próba złamania więźnia, kończona wycofaniem wycelowanej broni albo suchym trzaskiem iglicy w pustej komorze naboju i stwierdzeniem: „Jeszcze nie dzisiaj”. Niektórzy przeszli przez tę psychiczną torturę kilkukrotnie, zastanawiając się za każdym razem, czy teraz już rzeczywiście nastąpi ich koniec. Nawet wtedy wielu się nie ugięło, wybierając śmierć, a nie zdradę.

Śmierć z wyroku

Gdy kończyło się śledztwo, zmaltretowany fizycznie i psychicznie więzień stawał przed sądem, który ferował surowe wyroki opatrzone nagłówkiem: „W imieniu Rzeczypospolitej” (od 1952 roku: Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej). Proces, podczas którego sędzia, prokurator, a czasem nawet i obrońca dbali o taki jego przebieg, aby do końca upodlić oskarżonego i nie pozostawić nikomu wątpliwości, że oto stoi przed nimi najgorszy zbrodniarz, był kolejnym etapem represji. Postawy przyjmowane przed sądem przez tych oskarżonych członków podziemia antykomunistycznego, którym groziła kara śmierci, były różne. Ci, którzy zostali złamani w śledztwie, potwierdzali zeznania ustalone ze śledczymi. Ci, którzy się nie poddali, przyjmowali zazwyczaj jedną z dwóch postaw – negowali swoją winę i odmawiali składania wyjaśnień, wychodząc z założenia, że cały proces jest farsą, z finałem ustalonym z góry; albo podejmowali próbę obrony nie tyle siebie, ile swoich ideałów.

Tę ostatnią drogę wybrał m.in. ks. Władysław Gurgacz, kapelan organizacji niepodległościowych, sądzony w 1949 roku w Krakowie razem z innymi członkami konspiracji. Podczas procesu powiedział: „Ci młodzi ludzie, których tutaj sądzicie, to nie bandyci, jak ich oszczerczo nazywacie, ale obrońcy ojczyzny! Nie żałuję tego, co czyniłem. Moje czyny były

zgodne z tym, o czym myślą miliony Polaków, tych Polaków, o których obecnym losie zdecydowały bagnety NKWD. Na śmierć pójść chętnie. Cóż to jest zresztą śmierć?... Wierzę, że każda kropla krwi niewinnie przelanej zrodzi tysiące przeciwników i obróci się wam na zgubę”. Ksiądz Gurgacz został skazany i stracony jeszcze w tym samym roku. Wypowiadając taką mowę obrońcą, z pewnością wiedział, że traci w ten sposób szansę na ulaskawienie.

Skazani różnie reagowali na ogłoszenie wyroku, ale przeważał szok. Chociaż przygotowywali się psychicznie na taką decyzję sądu, w większości przyznawali później, że po tym, co usłyszeli, czuli się ogłuszeni, nie zdawali sobie do końca sprawy z tego, co się dzieje. Szczególną reakcją, też czasem odnotowywaną, była pewnego rodzaju satysfakcja. Niektórzy, uważając komunistów za nowych okupantów, orzeczony przez nich wyrok śmierci uznawali za wyraz docenienia swojej walki, swego rodzaju świadectwo, że godnie walczyli, że byli dla okupanta groźni. Janina Kruk „Laryssa”, skazana na śmierć w Warszawie w 1949 roku, stwierdziła: „Karę śmierci, może to śmieszne, ale przyjąłem jako coś, co mi się należy. Jako coś, na co sobie godnie zapracowałam. Nie prosiłam o wybaczenie. Powiedziałam, że jestem dumna z tego, wypełniałam obowiązek wobec ojczyzny, broniąc jej przed okupacją komunistów”. Mieczysław Chojnacki „Młodzik” napisał wprost: „Sądząc po długotrwałym śledztwie i wyrokach otrzymanych przez czwartą komendę WiN, można uważać, że wróg docenił wartość polskiego przeciwnika” (w procesie IV Zarządu Głównego Zrzeszenia „Wolność i Niezawisłość” zapadło siedem wyroków śmierci). Przejawem przekonania, że kara śmierci jest pewnego rodzaju wyróżnieniem, mogło być też to, że niektórzy skazani odmawiali pisania podań o ulaskawienie.

Przedsiónek śmierci

Z orzeczonym wyrokiem śmierci, zwanym w gwarze więziennej kaesem lub pestką, skazaniec trafiał ponownie do więzienia. Czasem siedział nadal razem

z innymi osadzonymi, ale najczęściej była to tzw. cela śmierci – pojedyncza, ewentualnie zbiorowa, w której większość bądź wszyscy byli skazani na taki wyrok. Pobyt w takiej celi i bierność czekanie na wykonanie wyroku, bez znajomości jego terminu, były ogromnym obciążeniem psychicznym. Wszyscy, którzy przeżyli lub pozostawili jakieś świadectwo, zgadzali się, że nie śmierć jest najgorsza, lecz oczekiwanie na nią.

Niektórzy od razu pogodzili się z wyrokiem i nie mieli nadziei na ulaskawienie. Aleksander Rybnik „Jerzy” zaraz po rozprawie napisał gryps do żony i synka: „Dziś słyszałem, że jestem skazany na śmierć. Słyszałem, jak mówili »ma wyrok śmierci«. Kochani moi, trudno, taka widocznie jest wola Boża, ażeby moje życie skończyło się nagle [...]. Dziś lub jutro zamelduję się u św. Piotra i poproszę o przyjęcie mnie do raportu, a św. Piotr otworzy bramę”. Inni do końca wierzyli, że zostaną ulaskawieni, wydawało im się bowiem nierealne, że taka może być zapłata za ich oddanie dla ojczyzny.

Czas spędzony w celi śmierci wykorzystywali, myśląc o swoim życiu i rozliczając się z nim. W listach do najbliższych najczęściej nie wycofywali się ze swoich przekonań, wręcz przeciwnie. Ostatni prezes WiN, Łukasz Ciepłiński „Pług”, pisał przed egzekucją do żony i syna: „Odbiorą mi tylko życie. A to nie najważniejsze. Cieszę się, że będę zamordowany jako katolik za wiarę świętą, jako Polak za Polskę niepodległą i szczęśliwą”.

Skazańcy przygotowywali się też na spotkanie z katem. „Rzecz polega na tym, aby czerwonym katom nie dać satysfakcji, okazując w tym krótkim czasie strach przed śmiercią z ich rąk” – pisał Chojnacki „Młodzik”. Antoni Heda „Szary” wspominał: „Zależało mi tylko na tym, żeby zdążyć przed śmiercią wykrzyknąć: Jeszcze Polska nie zginęła”. Godne pójście na śmierć uważali za honor i swój obowiązek – jakby dalszą, ostatnią część ich walki i ostateczny sprawdzian gotowości oddania życia za Ojczyznę. Pomagała wiara w Boga i życie pozagrobowe. Wszyscy dużo się modlili.

Godnie zginąć z ręki kata

Nieprawdą byłoby stwierdzenie, że wszyscy skazani żołnierze podziemia antykomunistycznego szli na śmierć spokojnie. Niektórzy bronili się rozpaczliwie i krzyczeli. Jednak bezpośredni świadkowie twierdzą, że tych ostatnich było zdecydowanie mniej. Wywołany na wykonanie wyroku Zygmunt Szendzielarz „Lupaszka” według współwięźnia „podszedł spokojnie do drzwi, następnie zatrzymał się przez chwilę, odwracając bokiem do pozostających w celi i pożegnał słowami: »z Bogiem, panowie«. Odpowiedział mu chór głosów: »z Bogiem«”. Podobnie na śmierć szli jego żołnierze z brygad wileńskich Armii Krajowej. Pod wrażeniem postawy członków konspiracji w obliczu nieuchronnej śmierci byli też nieraz przedstawiciele władz komunistycznych, a nawet kaci. Prokurator Witold Gatner, który nadzorował wykonanie wyroku śmierci na Augustynie Fieldorfie „Nilu”, zeznał po latach: „Mężczyzna nie opierał się, szedł spokojnie i całkowicie o własnych siłach. [...] patrzył mi cały czas w oczy. Stał wyprostowany. Nikt go nie podtrzymywał”.

Szczególnie wiele relacji o zachowaniu skazańców zostawił ks. Hieronim Lewandowski, w latach 1945–1952 kapelan w więzieniu karno-śledczym przy ulicy Młyńskiej w Poznaniu. Jeden z nich stwierdził ponoć przed egzekucją: „Ofiaruję swoje życie za wolną Polskę”. Inny modlił się: „Dziękuję Ci, Panie Jezu, za wszystkie łaski dnia dzisiejszego. Jak ja się cieszę, że idę do Ciebie”, a gdy zapytano go, czy ma ostatnie życzenie, po wojskowemu stuknął obcasami i powiedział: „Do widzenia. Dokąd ja idę, wy też pójdziecie”. Ksiądz Marian Prusak był świadkiem egzekucji Danuty Siedzikówny „Inki” i Feliksa Selmanowicza „Zagończyka” w Gdańsku w 1946 roku. Oboje nie pozwolili zawiązać sobie oczu, a w momencie wypowiedzenia komendy „Ognia” krzyknęły wspólnie: „Niech żyje Polska!”.

Tekst na podstawie referatu wygłoszonego na konferencji „Życiodajna śmierć” w Białymstoku, 23–26 maja 2013 roku.

dr Marcin Zwolski – pracownik Oddziałowego Biura Edukacji Publicznej IPN w Białymstoku

Towarzysz na plaży

Wojciech Fulek

W pierwszych latach powojennych czołowi polscy komuniści upodobili sobie Sopot jako letnią rezydencję. Regularnie gościł tu zwłaszcza Bolesław Bierut.

Na nieoficjalnym, prywatnym zdjęciu z rodzinnego archiwum – nieupozowanym i nieretuszowanym – uśmiechnięty Bolesław Bierut, stojąc na sopockiej plaży, wyciąga przed siebie rękę, wskazuje morze i coś wyjaśnia swojej córce Oleńce. Obok stoi pierworodny syn Jan z małżeństwa z Janiną Górzyńską. Sam Bierut jest

wyraźnie rozluźniony, w wakacyjnym nastroju, w płaszczu kąpielowym w paski, z podwiniętymi rękawami i związanym w pasie sznurem. Córka, dziecko Bieruta i partyjnej towarzyszki Małgorzaty Fornalskiej, wychowana w kominternowskim *dietdomu* w Moskwie – w kwiecistej, letniej sukience, z dwoma

warkoczami przyozdobionymi misternie związanymi kokardami. Syn, który – za radą ojca – w roku 1945 zmienił nazwisko na Chyliński, też w jasnym płaszczu kąpielowym (taka była ówczesna plażowa moda) – wpatrzony w daleki morski horyzont. W tle – sopockie moło i samotna rybacka łódka na brzegu.

Nie wiemy, co dokładnie pokazywał swoim dzieciom ówczesny władca Polski Ludowej, kto robił to zdjęcie i w którym roku. Wiemy natomiast gdzie. Możemy dziś zlokalizować to miejsce na sopockiej plaży, która przez lata niewiele



się zmieniła. Brzeg morza, który wyznacza początek lub koniec plażowej dominacji, wciąż bowiem tkwi w tym samym miejscu, ciągle agresywnie zaczepiany przez „spienione fale”, te same, które kiedyś – jak w słowach popularnej piosenki – „gonił zachodni wiatr”.

Sentyment towarzysza „Tomasza”

Bierut spędzał z rodziną letnie wakacje najczęściej właśnie tu – w sopockim ośrodku rządowym, zorganizowanym w kompleksie kilku przedwojennych willi nad samym morzem. Część plaży i nadmorskiej promenady, sąsiadująca z tymi willami, została wydzielona i ogrodzona. Trafiła pod „troskliwą opiekę” specjalnego oddziału wojsk Korpusu Bezpieczeństwa Wewnętrznego. Teren od strony północnej chroniły wartownia oraz szlaban. Obok wartowni postawiono wysoką wieżyczkę strażni-



Fot. ze zbiorów autora

▶ Bolesław Bierut z marsz. Michałem Rola-Żymierskim, Gdańsk-Oliwa, 1946 rok

czą, w której z nabitą bronią przez całą dobę dyżurowali żołnierze. Mieszkańcy miasta omijali ten obszar, aby nie narażać się strażnikom, zresztą dostęp został wtedy znacznie ograniczony. Czasem spoglądano tylko z zaciekawieniem przez wysoki płot na rządowe limuzyny i kolejnych gości, dowożonych tu na letnie „wywczasy”, tak odmienne od tych, które proponowano „pracującym masom robotniczo-chłopskim”. Ekskluzywny, przedwojenny Kasino-Hotel, który we wrześniu 1939 roku gościł Adolfa Hitlera, przemianowany teraz na Grand Hotel, dorobił się np. w tym samym czasie – zgodnie z nowym duchem Funduszu Wczasów Pracowniczych – wielkiej zbiorowej sali turystycznej, w której sypiało jednorazowo nawet do stu osób.

Pierwszy polityczny, propagandowy wiec z udziałem Bolesława Bieruta, który pełnił wtedy funkcję przewodniczącego Krajowej Rady Narodowej, odbył się w zniszczonym Gdańsku 8 kwietnia 1945 roku. Bierut, wraz z premierem Edwardem Osóbką-Morawskim, gościł też wkrótce w Sopocie – 2 września tego samego roku, na uroczystym koncercie w otwartej właśnie Filharmonii Bałtyckiej. Obaj byli inicjatorami przekazania dwóch sopockich kamienic na mieszkania

dla muzyków oraz przyznania im specjalnych przydziałów żywności i ubrań. Najprawdopodobniej już wtedy towarzysz „Tomasz” – jak w kręgach partyjnych nazywano Bieruta – upodobał sobie Sopot jako przyszłą nadmorską siedzibę, być może również z powodu dawnych, przedwojennych jeszcze, sentymentów partyjnych. Otóż odwiedził on to miasto po raz pierwszy w roku 1927 – jeszcze jako działacz Komunistycznej Partii Polski. Przez kilka letnich i jesiennych miesięcy – zanim skierowano go do Międzynarodowej Szkoły Leninowskiej w Moskwie – był rezydentem w Wolnym Mieście Gdańsku, które miało status niezależnego terytorium. W II RP groziły mu wtedy – jako działaczowi nielegalnej partii – aresztowanie i proces sądowy. „Dlatego Komitet Centralny KPP – wspominał syn Bieruta – zdecydował, że powinien opuścić Polskę. Wyjechał do Sopotu, gdzie mógł korzystać z prawa azylu. Brał udział w pracach kierownictwa partii, które z tych samych przyczyn miało tam swoją siedzibę”. Rzeczywiście, na terytorium Wolnego Miasta Gdańska inwigilacja działaczy KPP przez polską policję była zdecydowanie utrudniona, sopocka lokalizacja tajnych partyjnych struktur była zatem doskonałym rozwiązaniem. W małej, istniejącej do dziś ▶





Fot. ze zbiorów Ryszarda Ziembkiewicza

kamienicze przy ul. Jana Winieckiego 23 (wówczas Benzlerstraße, nazwanej tak dla upamiętnienia długoletniego lekarza uzdrowiska, Hermanna Benzlera) zorganizowano w latach 1926–1929 m.in. centralną partyjną redakcję oraz sekretariat Biura Politycznego KPP. Zapewne Bierut spał w tym samym miejscu ze względu na dość znaczne koszty zakwaterowania w popularnym kurorcie. Do plaży miał stamtąd zaledwie kilka minut spacerem, z pewnością poznał więc wszystkie uroki nadmorskiej okolicy, podziwiał piaszczyste plaże i soczystą zielen parkowych drzew, egzotycznych krzewów i kwiatów,

z których zawsze sływał Park Północny, pamiętający jeszcze czasy doktora Jana Jerzego Haffnera. Nic więc dziwnego, że Bierut darzył Sopot szczególną sympatią i powracał tu wyjątkowo często.

Na powojenną sopocką rezydencję upatrzył sobie jedną z piękniejszych nadmorskich willi, należącą niegdyś do bogatego niemieckiego kupca, Ernsta Claaszena. Tuż po wojnie przez jakiś czas mieszkał w tym budynku z rodziną Eugeniusz Kwiatkowski, budowniczy morskiej legendy Gdyni i wicepremier II Rzeczypospolitej. Bierut ściągnął go do Sopotu z wojennej emigracji, oferując stanowisko szefa – powołanej we wrześniu 1945 roku – Delegatury Rządu do

spraw Wybrzeża i obiecując dużą samodzielność. Na tym początkowym etapie Kwiatkowski – doskonały fachowiec – był dla nowych władz nabytkiem wręcz bezcennym, nic więc dziwnego, że zyskał on – mimo sanacyjnej przeszłości – osobiste wsparcie Bieruta. Kwiatkowski był nie tylko teoretykiem i wizjonerem, lecz także doskonałym organizatorem, zarażającym swoim entuzjazmem wszystkich współpracowników. W listopadzie 1947 roku napisał w przedmowie do poematu *Sen o morskiej potędze* autorstwa sopockiej literatki Stanisławy Fleszarowej-Muskat: „Ziarno morskie w glebie polskiej kielkowało. »Trzeba więc poczekać, aż naród poszum morza w swym sercu usłyszy« [tak pisała Fleszarowa-Muskat]. Spadkobiercą tej chwili dziejowej stało się nasze pokolenie. Ono usłyszało. *Sen o morskiej potędze* staje się rzeczywistą osnową na warstwie dziejowym Polski współczesnej”.

Swój sopocki sen w powojennej Polsce Eugeniusz Kwiatkowski śnił, niestety, dość krótko. Ówczesny premier Józef Cyrankiewicz (skądinąd wraz z żoną, znaną aktorką Niną Andrycz, stały bywalec rządowego ośrodka) niebawem odwołał go z nadmorskiej placówki, a książkę błyskawicznie wycofano z księgarń z zakazem kolportażu. Socjalistyczna Polska nie mogła przecieć odrodzenia polskiego wybrzeża zawdzięczać politykowi przedwojnemu. Delegaturę Rządu ds. Wybrzeża rozwiązano ostatecznie na osobiste polecenie Bieruta w roku 1948, a Kwiatkowskiego zesłano na drugi koniec Polski z administracyjnym zakazem pobytu na Wy-



Fot. ze zbiorów autora

brzeżu i w Warszawie. Osiedlił się w rodzinnym Krakowie, gdzie zajął się pracą naukową w dziedzinach chemii, ekonomii i historii.

Sopocki sąd nad Gomułką

W tym samym roku, w sierpniu, Bierut wypoczywał wraz z rodziną w Sopocie, gdzie oddano już do jego dyspozycji całą willę Claaszenna. Pozostali członkowie Biura Politycznego (m.in. Jakub Berman i Marian Spychalski) spędzali letnie urlopy również nad morzem, ale w Juracie i Jastrzębiej Górze. Ponieważ Bierut przygotowywał się już wtedy do ostatecznej rozprawy z niewygodnym dla niego Władysławem Gomułką, który wciąż pełnił prestiżową funkcję sekretarza generalnego Polskiej Partii Robotniczej, łącząc ją ze stanowiskiem ministra ds. ziem odzyskanych, zaprosił do swojej sopockiej willi zaufanych towarzyszy partyjnych. Wspominał syn Bieruta: „10 sierpnia przyjechali wszyscy do Sopotu i uznali za niezbędne przeprowadzenie z Wiesławem [to partyjny pseudonim Gomułki] rozstrzygającej rozmowy”. Możemy zatem przyjąć, że ostateczne decyzje w sprawie odsunięcia od władzy i późniejszego aresztowania Władysława Gomułki zapadły właśnie wtedy – podczas nieformalnego spotkania Biura Politycznego w sopockiej willi Bieruta. Rozmowa z towarzyszem „Wiesławem” niczego już nie zmieniła. Postanowiono postawić Gomułce zarzuty związane z jego „odchyleniem prawnicowo-nacjonalistycznym” i uzyskać osobistą aprobatę Józefa Stalina dla tych działań. W związku z tym Bierut miał zamiar ustąpić z funkcji prezydenta (którą pełnił od 1947 roku) i oddać się wyłącznie sprawom partii, przejmując jej przywództwo. „Ojciec mój na propozycję Stalina, przekazaną mu telefonicznie jeszcze w Sopocie, pozostał na stanowisku Prezydenta RP” – relacjonował wiele lat później syn Bieruta.

Towarzysz „Wiesław” stracił najpierw swoją funkcję partyjną, później ministerialną, by w końcu doczekać się aresztowania i usunięcia z partii. Od kiedy



Fot. ze zbiorów autora

► Święto Morza w Gdyni: Bolesław Bierut i marsz. Konstanty Rokossowski ocieplają swój wizerunek

w glorii powrócił w końcu na partyjne salony w roku 1956, zdarzało mu się bywać w sopockiej willi, widywano go tam zwłaszcza w drugiej połowie lat sześćdziesiątych. Korzystał z niej jednak dosyć rzadko, bo nie przepadał za urlopami nad morzem, a w dodatku dom napiętnowany był sensacyjnymi zeznaniami zbiegłego na Zachód w roku 1953 wysokiego funkcjonariusza bezpieczeństwa, Józefa Światły. To on osobiście aresztował Władysława Gomułkę i jego żonę, Zofię, oraz zajmował się przygotowaniem pokazowego procesu Gomułki, do którego ostatecznie nie doszło. W swoich słynnych audycjach na antenie Radia Wolna Europa „Za kulisami partii i bezpieczeństwa” Światły m.in. demaskował wystawny tryb życia partyjnych prominentów (który sam zresztą prowadził), opisując ich luksusowe rezydencje wypoczynkowe m.in. w Natolinie, Konstancinie, Krynicy, Juracie czy ekskluzywną willę w Sopocie.

Aleja prominentów

Tuż obok willi Bieruta stały inne budynki, które na swoje letnie rezydencje wybrali m.in. Edward Osóbka-Morawski, Michał Rola-Żymierski, Józef Cyrankiewicz i „marszałek dwóch narodów” Konstanty Rokossowski. Temu ostatniemu, podobnie jak Bierutowi, uroczystie nadano tytuł honorowego

obywatela miasta Gdańska. Do Sopotu, dawnego ekskluzywnego „siedliska burżuazyjnej rozpusty”, co roku na letnie urlopy chętnie przybywali nowi władcy Polski, dlatego nadmorską trasę spacerową miejscowi sarkastycznie nazywali „aleją prominentów”. Krążyły też wśród sopocian słuchy o dziwnym zamachu na marszałka Rolę-Żymierskiego (skądinąd w tamtym czasie już honorowego obywatela Sopotu), do którego ponoć oddano kilka strzałów, kiedy pewnego ranka wraz z adiutantem galopował konno po plaży. Wypoczynkowy Ośrodek Rządowy, bo taką nazwę nieco później otrzymał kompleks willi i budynków zaplecza, działał w tej formie do roku 1956, później zaś stał się Wojskowym Domem Wypoczynkowym, w którym nadal chętnie bywali prominenty. Podobno na początku stanu wojennego pojawił się tam ►



Fot. ze zbiorów Ryszarda Zienkiewicza

też gen. Wojciech Jaruzelski z całym swoim wojskowym sztabem, aby osobiście nadzorować pacyfikację Wybrzeża.

W pobliżu mieściła się prymitywna rybacka przystań – kilka łodzi wyciągniętych na brzeg, drewniane mance, na których suszono sieci, i drewniane, rozpadające się boksy, w których trzymano narzędzia, sieci, sprzęt i skrzynki. Ostra woń ryb unosiła się w powietrzu, przenoszona morską bryzą w stronę wydmy i alejki.

Kiedy się urodziłem, w moim mieście o istnieniu Bolesława Bieruta przypominała już tylko nazwa jednej z ulic, choć w rozmowach rodziców czasami powracał ponury cień towarzysza „Tomasza” i czasów stalinowskich. Ojciec nazywał Bieruta Nikodemem Dyzmą PRL. Kiedy kilka lat później zobaczyłem zdjęcie starszego, łysawego mężczyzny, wyglądającego jak skromny urzędnik lub księgowy, byłem chyba rozczarowany. Nie tak wyobrażałem sobie kogoś, kto twardą ręką (choć niezbyt samodzielnie) rządził nieprzerwanie Polską blisko dwanaście lat. To od tego niepozornego człowieczka zależały losy tak wielu ludzi i mojej ojczyzny?

Dzisiejsza ul. Haffnera – kilka miesięcy po wojnie nosząca imię Stefana Batorego – wciąż jest nazywana przez wielu starszych sopocian ul. Bieruta. Rodzice odwiedzali czasami, zlokalizowaną przy ul. Bieruta 7, małą herbaciarnię pani Piaskowskiej pod uroczą nazwą „Moja Maleńka”, słynącą z doskonałej herbaty. Naprzeciwko mieszkała rodzina Herbertów, a młodziutki Zbigniew Herbert pisywał tam swoje pierwsze teksty.

„Miasto pasożytnicze”

Niechciany już dziś, z oczywistych powodów, patron ulicy ma jednak, o dziwo, w najnowszej historii Sopotu zapisaną również pozytywną kartę. Jeden z pierwszych powojennych prezydentów miasta, Antoni Turek, jeszcze w roku 1946 udał się bezpośrednio do Bieruta, aby – podczas jednego z jego licznych pobytów nad morzem – uzyskać zgodę na wprowadzenie biletów wstępu na molo. „Obiekty użyteczności publicznej, tego rodzaju jak molo, muszą być udostępnia-

ne ludności bezpłatnie” – odpowiedział towarzysz „Tomasz”. Nie był jednak chyba dość stanowczy, skoro już następnego lata wprowadzono płatne bilety i specjalne karty wstępu na najsłynniejszą sopocką atrakcję turystyczną. Mało jednak brakowało, aby drewniane molo, wymagające co roku napraw i rekonstrukcji, w ogóle zniknęło z mapy kurortu. Po udanym sezonie letnim roku 1947 jesienne sztormy całkowicie zniszczyły mola w Jelitkowie, w Brzeźnie i Orłowie. Ostatecznie dwa pierwsze w ogóle zlikwidowano, a molo orłowskie znacznie skrócono. Silne sztormy nadwerżyły również drewnianą konstrukcję sopockiego mola i władze wojewódzkie planowały jego rozbiórkę. Taka decyzja wpisywała się w ówczesną politykę, uznawano bowiem poniemiecki kurort z jego kapitalistyczną otoczką i kłopotliwym wielokulturowym dziedzictwem za miasto „pasożytnicze, nieprodukujące żadnych dóbr materialnych i posiadające samowystarczalność koniunkturalną”, czyli stanowiące niebezpieczny balast w nowym ustroju powszechnej szczęśliwości. Cokolwiek miało to znaczyć w partyjnej nowomowie – brzmiało jednak wyjątkowo groźnie i złowieszczo. Ba, planowano nawet przyłączenie Sopotu do Gdańska jako jego dzielnicy mieszkaniowej.

Tym zamiarom sprzeciwił się ówczesny kierownik Miejskich Zakładów Uzdrowiskowo-Kąpielowych, Mieczysław Cislak, któremu administracyjnie podlegały wówczas m.in. plaże, zakład balneologiczny oraz właśnie molo. Korzystający z zabiegów uzdrowiskowych marsz. Żymierski obiecał mu osobiste wstawiennictwo u najwyższych władz. Wiosną 1948 roku udało się ostatecznie zorganizować w Sopocie spotkanie z Bierutem, który zapoznał się ze zniszczeniami i obiecał rządową pomoc. Wkrótce też cofnięto decyzję o rozbiórce sopockiego mola oraz zagwarantowano – w wyniku osobistej interwencji towarzysza „Tomasza” – przekazanie przez Państwową Komisję Planowania Gospodarczego pokaźnej kwoty 35 mln złotych na niezbędne pra-

ce remontowe. Molo zostało uratowane, a Sopot odbywał swoją kolejną nadmorską wędrówkę, nie ruszając się z miejsca – z pozycji miasta „pasożytniczego” do statusu letniej stolicy Polski i perły Bałtyku. Z pewnością sympatia Bieruta do sopockiego kurortu oraz niewątpliwa atrakcyjność jego nadmorskiej rezydencji z plażą w tle odegrały w tej historii niebagatelną rolę. Choć z drugiej strony czasami trudno było nadażyć za niektórymi decyzjami towarzysza „Tomasza” związanymi z Sopotem. W roku 1949 na osobisty wniosek Bieruta dokonano np. wpłaty kwoty 100 tys. złotych na rzecz... Obywatelskiego Komitetu Budowy Kościoła pw. św. Michała w Sopocie. Był to oczywiście z jednej strony wyłącznie propagandowy, pusty gest, z drugiej wzbudzał on z pewnością konsternację wśród niezorientowanych mas partyjnych. Stwarzał jednak – podobnie jak prezydencka przysięga Bieruta, składana spektakularnie z ręką na Biblii – polityczną zasłonę dymną, za którą posuwano się do licznych aresztowań, represji i tortur.

Swojego socrealistycznego patrona sopocka ulica zmieniła dopiero w roku 1989. Bierut towarzyszył zatem sopocianom i wczasowiczom aż do samego końca PRL. Działo się tak (nie tylko zresztą w Sopocie – imię Bolesława Bieruta aż do 1989 roku nosił m.in. Uniwersytet Wrocławski), mimo że już wówczas było powszechnie wiadomo, co miała na sumieniu ta marionetka Stalina, znana z bezpardonowej walki o władzę na szczytach PPR. Jeden z najbliższych współpracowników towarzysza „Tomasza” w latach czterdziestych, premier Edward Osóbka-Morawski, tak opisywał jego osobowość: „Bieruta znałem jako skromnego, pracowitego człowieka, ale także jako cynika, który bez zająknięcia czarne nazywał białym i odwrotnie. Był to człowiek małostkowy i podły”.

Wojciech Fulek – rodowity sopocianin, radny miejski, publicysta, scenarzysta i pisarz, współautor książki *Kurort w cieniu PRL-u. Sopot 1949–1989* (2007), autor m.in. monografii *Opery Leśnej Od huzarów śmierci do Eltona Johna* (2009) i sopockiego mola *Krótką historia nieskończoności* (2009)

Jedwabne pończochy dla świata pracy

Jan Oleński

Na początku lat pięćdziesiątych propaganda często podkreślała, jak wspaniale się żyje obywatelom powojennej Polski w porównaniu z krajami „zgnitego kapitalizmu”. Na przykład w 1951 roku prasa pisała o niskich – w porównaniu z naszymi – normach żywieniowych w bogatej Wielkiej Brytanii. Widocznie jednak władze uznały, że „nie samym chlebem żyje człowiek”, i postanowiły dać obywatelom możliwość kupienia czegoś kojarzącego się z luksusem, czego nawet bogaci Brytyjczycy mogliby nam pozazdrościć. Wybór padł na pończochy.

Brak tej części damskiej garderoby dość mocno odczuwano na rynku, a przyczyną tego stanu rzeczy miała być oczywiście „działalność wrogich elementów spekulacyjnych”. Nakazano więc... wstrzymać sprzedaż pończoch, aby handel mógł zgromadzić dostateczną ilość tego artykułu i w wyznaczonym dniu uszczęśliwić potrzebujące kobiety, dając im sposobność dokonania zakupu. W czwartym kwartale 1951 roku wstrzymano sprzedaż pończoch na miesiąc i 9 listopada „Życie Warszawy” z dumą obwieściło, że „uspołecznione sklepy z konfekcją MHD [Miejskiego Handlu Detalicznego], WSS [Warszawskiej Spółdzielni Spożyców] oraz PDT [Państwowych Domów Towarowych] rozpoczęły sprzedaż pończoch jedwabnych na talony dla kobiet pracujących”.

Bawełna tylko dla robotnic

Z tych ostatnich słów wynika, że przydział otrzymały wszystkie kobiety pracujące zawodowo. W rzeczywistości talony przysługiwały tylko paniom pracującym w instytucjach i przedsiębiorstwach państwowych. Oprócz zwykłych talonów oznaczo-



Fot. ze zbiorów autora

nych literą J na pończochy jedwabne, pracownikom fizycznym państwowych zakładów przemysłowych przyznano dodatkowo talony B na pończochy bawełniane, zapewne po to, by nie nosiły cennych, jedwabnych pończoch do ciężkiej pracy fizycznej. O tym, które kobiety z racji swego zawodu zasługiwały na pończochy bawełniane, miały decydo-

wać okręgowe rady związków zawodowych. Talony były zaopatrzone w kupony rejestracyjne (każdy talon musiał zostać zarejestrowany do 15 listopada w wybranym sklepie). Stosowne zarządzenie Ministerstwa Handlu Wewnętrznego informowało, że „system gwarantujący jednorazowe zaopatrzenie kobiet pracujących” został wprowadzony tylko na okres przejściowy, do 1 grudnia. Talony te były ważne do 10 grudnia, co świadczyłoby o tym, że sprzedaży wolnorynkowej jednak nie wznowiono. Jeszcze w tym samym miesiącu (czyżby wskutek interwencji niepracujących małżonek urzędników, które nie miały prawa do zakupu pończoch?) wydano drugą serię talonów na pończochy jedwabne – tym razem przeznaczoną dla mężczyzn, których żony nie pracowały zawodowo. Tak więc panowie, którzy mieli szczęście zrealizować talony przed świętami, mogli ofiarować swoim małżonkom pod choinkę niezwykle cenny prezent. Przy okazji talony na pończochy otrzymały także pracownice zakładów „nieuspołecznionych” (czyli spółdzielczych i prywatnych). ▶

Talony serii II miały być ważne do końca stycznia 1952 roku.

W lutym 1952 roku, w trzeciej już edycji, przyszła kolej na kobiety pominięte przy rozdziale talonów serii I i II. Talony przypadły więc pominiętym kobietom pracującym, pominiętym żonom oraz „osobom płci żeńskiej powyżej 15. roku życia pozostającym na utrzymaniu osób pracujących”, a także emerytkom, inwalidkom, wdowom po inwalidach, sierotom pod opieką społeczną i studentkom stypendystkom. Talony te realizowano do 15 marca.

„Władza ludowa”, zachęcona powodzeniem akcji pończosznicych, postanowiła w następnym miesiącu rozdysponować wśród kobiet świata pracy kolejną, IV już, serię talonów na pończochy jedwabne. Otrzymały je, jak podczas pierwszej akcji, wyłącznie kobiety pracujące w instytucjach i przedsiębiorstwach państwowych. Zakłady pracy mogły odbierać talony od 1 do 15 kwietnia 1952 roku, panie zaś, po zarejestrowaniu tych talonów w sklepach, mogły kupować pończochy od 15 kwietnia do 25 maja. Tym razem nie przydzielano talonów na pończochy bawełniane.

Potrzeby klasy robotniczej zostały docenione należycie w ostatniej, V edycji talonów na pończochy. We wrześniu, tak jak w poprzednim roku, pojawiły się znów talony dwóch rodzajów: na pończochy jedwabne i bawełniane. Beneficjentkami tej akcji były wszystkie kobiety mające ponad 14 lat, które otrzymywały kartki na mięso i tłuszcz, zwane w tym czasie oficjalnie bonami. Warto przypomnieć, że takie bony przysługiwały prawie wyłącznie osobom zatrudnionym i członkom ich rodzin. Talony na pończochy przyznano także paniom „żywionym staraniem zakładu pracy, które z tego tytułu pozbawione są bonów”, jak również żywionym w burdach i internatach przy uczelniach.

Bony na pończochy bawełniane V serii, oznaczane skrótem P.B.V., przysługiwały „pracownikom fizycznym zatrudnionym w zakładach przemysłu państwowego i spółdzielczego i pracującym w warunkach wymagających specjalnego traktowania”. O tym, które panie wymagały specjalnego traktowania, decydowały, podobnie jak w przypadku serii I, okręgowe rady



Fot. ze zbiorów autora

związków zawodowych. Pozostałym kobietom (spełniającym kryteria wiekowe i „mięso-tłuszczowe”) należały się bony P.J.V., czyli talony na pończochy jedwabne. Jednej osobie przysługiwał tylko jeden talon, a więc panie, które otrzymały talony na pończochy bawełniane, nie mogły już kupić sobie pończoch jedwabnych. Wydanie talonów właśnie we wrześniu z pewnością miało wykazać troskę władz o potrzeby kobiet w obliczu przypadających 26 października wyborów do sejmiku PRL (od 22 lipca 1952 roku obowiązywała nowa konstytucja i nowa nazwa państwa – Polska Rzeczpospolita Ludowa). Talony można było realizować od 15 września do 31 grudnia 1952

roku, oczywiście po zarejestrowaniu ich w sklepach. Następną serię już nie było, 3 stycznia 1953 roku zniesiono bowiem reglamentację podstawowych dóbr powszechnego użytku i wprowadzono nowe, wyższe ceny na artykuły spożywcze i przemysłowe.

Talonów na pończochy nie wydawano pracownikom wojska i resortu bezpieczeństwa, którzy byli na bieżąco zaopatrywani przez właściwe centrale handlowe, tj. Wojskową

Centralę Handlową i Konsumy Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, na ogólnie obowiązujących tam zasadach. Talonów nie otrzymywały też kobiety związane z rolnictwem, które teoretycznie miały możliwość kupna pończoch na wolnym rynku, czyli w sklepach Centrali Rolniczej Spółdzielni „Samopomoc Chłopska”, gdzie sprzedawano wyroby spółdzielni i firm prywatnych.

Wolnorynkowa reglamentacja

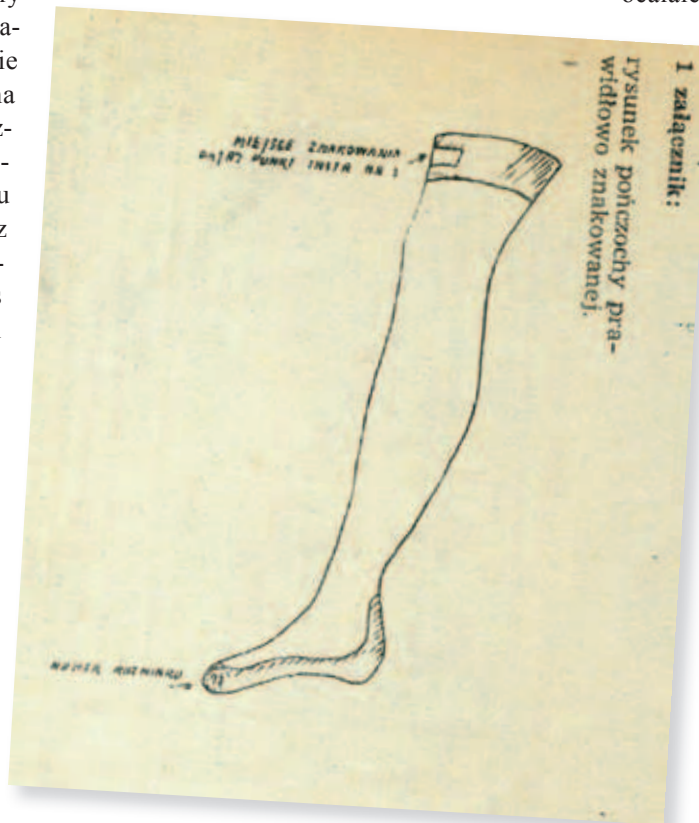
W czasie ponadrocznego okresu sprzedaży pończoch na talony władze podjęły próbę umożliwienia kobietom nabycia po jednej parze pończoch „beztalonowych”, stylonowych. Warto dodać, że zapasy tych pończoch uzupełniano jeszcze od października poprzedniego roku, kiedy to, w związku z wprowadzeniem pierwszej serii talonów, zakazano ich sprzedaży. Wznowienie po tak długiej przerwie sprzedaży pończoch stylonowych miało być atrakcją Dnia Kobiet, który w PRL każdego roku obchodzono hucznie 8 marca. W tym dniu (a była to sobota) o 14.00 miała się rozpocząć tzw. sprzedaż wolnorynkowa, o ile można tak nazwać sprzedaż z ograniczeniem do jednej pary na osobę. Zaplanowano sprzedaż w ten sposób połowę z 750 tys. par przeznaczonych przez Ministerstwo Handlu Wewnętrznego do tego rodzaju „wolnej sprzedaży”, co nie było jakąś zawrotną liczbą wobec dwudziestopięciomilionowego społeczeństwa.

Pończochy, które jeszcze zostały w magazynach po Dniu Kobiet, miały zostać sprzedane w następnym tygodniu: połowa 11 marca, a reszta – 14 marca. Oczywiście z powodu ograniczonej ilości poszukiwanego towaru, którym dysponowały sklepy, niewiele pań mogło sobie pozwolić na zakup pary pończoch, dlatego akcję zawężono tylko do większych miast. Niestety, prasa niewiele pisała o jej powodzeniu, zwłaszcza o tym, jakiej długości kolejki ustawiły się do stoisk z pończochami. Podobne kampanie sprzedaży pończoch, na które przeznaczono łącznie 400 tys. par, przeprowadzono w środku kwietnia (9, 11 i 12) oraz pod koniec tego miesiąca (25, 29 i 30). Podczas wszystkich tych akcji polecono sklepom wystawiać duże ilości pończoch w witrynach, by stworzyć wrażenie, że trudności z kupnem tej części garderoby już minęły. Trudno było jednak o tym przekonać społeczeństwo, skoro w marcu sprzedawano jeszcze pończochy na talony III serii, a od 1 do 15 kwietnia trwało już wydawanie talonów serii IV.

Szklane nogi w „domach kobiety”

Ciekawym dokumentem jest instrukcja Ministerstwa Handlu Wewnętrznego z 16 lipca 1952 roku, dotycząca zasad sprzedaży pończoch. Jest w niej mowa o pończochach jedwabnych i stylonowych. Czytamy w niej: „Demonstrowanie pończoch stylonowych i jedwabnych winno odbywać się na życzenie klienta: a) na specjalnej, sporządzonej ze szkła mlecznego formie w kształcie nogi, oświetlonej od wewnątrz za-

rówką”, co obowiązywało „w domach odzieżowych, domach kobiety [sic!], powszechnych domach towarowych zaliczonych do kategorii I, sklepach wzorcowych Centrali Odzieżowej oraz we wszystkich dużych sklepach Miejskiego Handlu Detalicznego – posiadających działy pończosznicze” oraz „b) przez wciągnięcie na rękę, zaopatrzoną w rękawiczkę (gumową) koloru cielistego”, co miano czynić w pozostałych sklepach.



W wymienionej instrukcji, opisującej niezwykle wyszukane metody prezentacji pończoch, a także w dokumentach o sprzedaży pończoch w Dniu Kobiet, pojawia się nowe słowo „stylon”. Pochodzi ono od nazwy zakładów chemicznych „Stilon” w Gorzowie Wielkopolskim. Przed rokiem 1945 fabryka ta należała do niemieckiego giganta chemicznego IG Farben – firmy, której zarząd był sądzony i w dużej części został skazany w szóstym procesie norymberskim o zbrodni wojenne i zbrodni

przeciwko ludzkości. Do koncernu należały m.in. zakłady chemiczne w Oświęcimiu, gdzie zatrudniano robotników przymusowych oraz więźniów obozu koncentracyjnego Auschwitz. Fabryka gorzowska wytwarzała włókno syntetyczne, używane do produkcji spadochronów, opracowane w 1938 roku, a będące zamiennikiem amerykańskiego nylonu. Zakład został zniszczony podczas działań wojennych, a wszelkie ocalałe urządzenia produkcyjne zostały wywiezione przez Armię Czerwoną jako „zdobycz wojenna”, dlatego technologię produkcji włókien sztucznych trzeba było opracować od nowa. Wytwarzanie włókna syntetycznego pod nazwą stylon (lub steelon) udało się uruchomić w fabryce chemicznej w Jeleniej Górze już w grudniu 1946 roku, jednak produkcję na skalę przemysłową rozpoczęto w odbudowanej fabryce gorzowskiej dopiero 7 lipca 1951 roku, co było w tym czasie sporym osiągnięciem technicznym. Jak czytamy w okolicznościowej broszurze wydanej z okazji dwudziestolecia uruchomienia zakładów „Stilon” o pierwszych pończochach produkowanych w grudniu 1946 roku

w Jeleniej Górze, „pończochy ze stylonu odznaczały się wtedy widoczną z daleka »zebrowatością« i sprzedawane były jako III gatunek. Mimo to były rozchwytywane. Powód? – Nosiły się 10-krotnie dłużej niż jedwabne”. Z pewnością trwałość stylonów była także w czasie obowiązywania talonów doceniana przez panie, które chętnie kupowałyby ich więcej, gdyby tylko były w sprzedaży. 📌

Jan Oleński – kolekcjoner dokumentów reglamentacji, autor m.in. katalogu *Ogólnopolskie kartki zaopatrzeniowe z lat 1976–1989* (2010)

Nie jesteście sami, Generale Moczar!

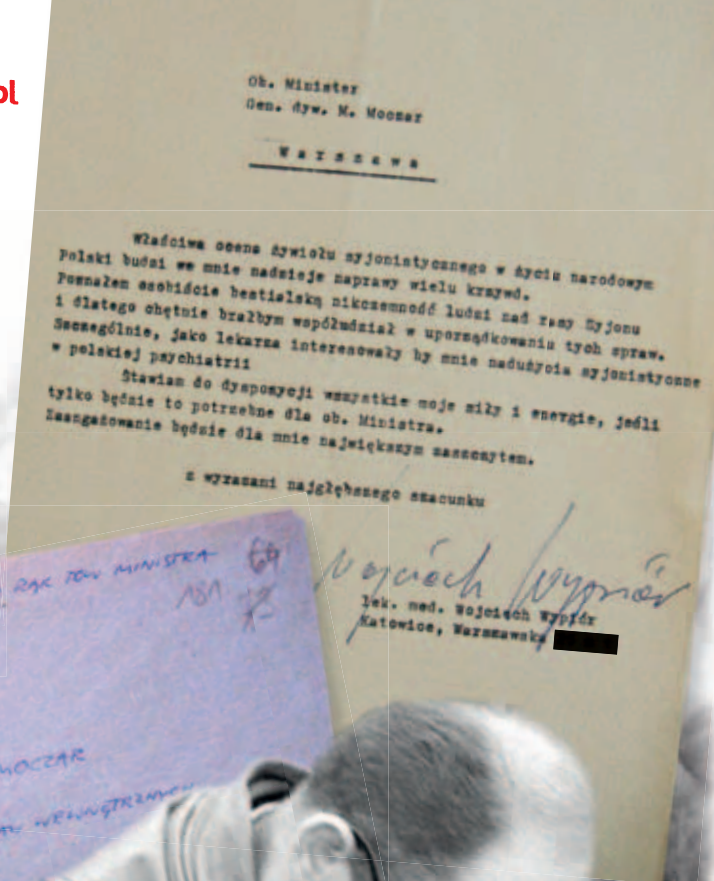
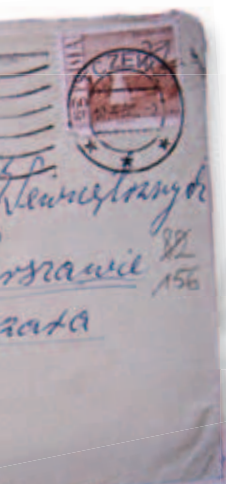
Jakub Szumski

W ogniu propagandowej kampanii Marca '68 Polacy wysyłali do władz tysiące listów, także z wyrazami poparcia dla akcji „antysyjonistycznej”. Niektóre z nich były adresowane do samego szefa MSW, Mieczysława Moczara.

47 lat temu, 11 marca 1968 roku, trzy dni po brutalnie stłumionym wiecu studenckim na Uniwersytecie Warszawskim, w polskiej prasie zaroilo się od artykułów prezentujących uczestników manifestacji jako osoby pochodzenia żydowskiego, dzieci możnych rodziców, dążące do wywołania niepokojów i przejęcia władzy. Pierwsza fala kampanii „antysyjonistycznej” zaczęła się w czerwcu 1967 roku wraz z wydarzeniami na Bliskim Wschodzie. W trakcie wojny zwanej sześciodniową Izrael dokonał wyprzedzającego uderzenia przeciwko swoim arabskim sąsiadom, rozbił ich wojska i dzięki temu na kilka lat ochronił swoje granice. Jako że blok socjalistyczny był głównym dostawcą sprzętu wojskowego i uzbrojenia dla krajów arabskich, zgodnie z logiką zimnej wojny musiał opowiedzieć się po ich stronie. Z Izraelem zerwano stosunki dyplomatyczne, zaczęły się prasowe ataki na państwo żydowskie i na tych, którzy mieli w kraju popierać zwycięzców. W marcu dano sygnał do nowej ofensywy. Akcja się rozszerzyła: atakowani byli organizujący wiece działacze studenccy, solidaryzujący się z nimi naukowcy i pisarze, mający stać za plecami studentów byli i ówczesni działacze partyjni. Nagonka miała charakter antysemitki, maskowany hasłem „antysyjonizmu”, i antyinteligencji. Wielu obywateli sądziło, że w wyniku zapowiadanej czystki będzie można zająć miejsce usuniętych. Obraz wroga był



► Mieczysław Moczar (z lewej) rozdaje autografy, 1967 rok



jednak na tyle niejasny, że każdy mógł znaleźć się w kręgu podejrzeń – i o to właśnie chodziło.

Uważnie rejestrujący te wydarzenia literaturoznawca Michał Głowiński opisywał mające miejsce w marcu 1968 roku spotkanie z dawno niewidzianym kolegą ze studiów. „Dostrzegłem – notował – że jego twarz promienieje radością, pierwszy raz w życiu robił na mnie wrażenie człowieka szczęśliwego. Nie tał entuzjazmu dla tego, co się dzieje. Nareszcie, nareszcie!”. Reakcja kolegi Głowińskiego nie była odosobniona. Nie wszyscy Polacy zareagowali na marcową nagonkę oburzeniem. Spora część społeczeństwa próbowała odnaleźć w jej ramach jakieś dla siebie miejsce.

Wacek pozdrawia Mietka

Władze za wszelką cenę chciały wytworzyć wrażenie, że całe społeczeństwo popiera nagonkę antysemitką. W wielu zakładach pracy ludzie zamiast na przerwę śniadaniową musieli udać się na masówkę: słuchać powtarzanych wielokrotnie sloganów, trzymać przygotowany w partyjnym Komitecie transparent. Nie brakowało jednak autentycznych aktów zaangażowania w kampanię. Faktem jest także skokowy, szczególnie w wielkich miastach, napływ nowych członków do Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Aprobata dla nagonki prasowej, usuwania z pracy ludzi oskarżanych o „syjonizm” niektórzy wyrażali w formie listu do władz. Zbiory centralnych i regionalnych instytucji czy Polskiego Radia i Telewizji Polskiej są pełne takich wyrazów poparcia. Niektórzy zdecydowali się zaadresować swój list na ulicę Rakowiecką w Warszawie, gdzie mieściła się siedziba Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Były one skierowane do jego szefa, gen. Mieczysława Moczara. Co ciekawsze z nich były mu przekazywane i znalazły się w jego archiwum. Dlaczego pisano właśnie do niego?

Dziś nieomal z pewnością wiemy, że Moczar i kierowany przez niego resort byli odpowiedzialni za rozpętanie histerii antyżydowskiej. Abstrahując od dzisiejszych ustaleń historyków, w dynamicznie

zmieniającej się sytuacji roku 1968 piszący do generała ludzie nie mieli co do tego żadnych wątpliwości. To on był organizatorem kampanii i z tego też powodu chcieli przekazać mu wyrazy poparcia. „Ślemy wam, towarzyszu Mietek, serdeczne pozdrowienia i najwyższe uznanie za Waszą niezłomną postawę, jaką zajęliście w dniach marcowych przeciwko wrogim elementom naszej partii i socjalizmu!” – pisali w kwietniu 1968 roku pracownicy Huty Stalowa Wola.

Od początku lat sześćdziesiątych „Mietek” i skupione wokół niego środowisko „partyzantów” starali się wpływać na opinię publiczną, obsadzać swoimi ludźmi redakcje gazet i czasopism. Kreowano w ten sposób obraz nieugiętego dowódcy partyzanckiego, bojownika z niemieckim okupantem... Książka Moczara *Barwy walki* – powieść w heroicznym stylu opisująca dzieje jego oddziału – była drukowana w masowych nakładach, trafiła na listę lektur szkolnych, a w 1964 roku doczekała się ekranizacji. Otaczał się naukowcami, pisarzami i ludźmi kultury. Kierowana przez niego monopolistyczna organizacja kombatancka, Związek Bojowników o Wolność i Demokrację, akcentowała „braterstwo krwi” przelanej za ojczyznę. Także krwi żołnierzy Armii Krajowej, którym przywracał pamięć po latach przesładowań.

Generał umiał jednocześnie skracać dystans; nie cechowała go charakterystyczna dla komunistycznych aparatczyków kostyczność. Osobista sympatia dla Moczara często więc powodowała poparcie dla akcji antysemickiej. „Przesyłam Wam serdeczne pozdrowienia oraz wyrazy szczerego szacunku – pisał do generała Wacek ze Skarżyska. „Proszę Was bardzo i przestrzegam, ażebyście dbali o swoje zdrowie fizyczne, gdyż tacy ludzie jak Wy są niezbędni do dalszego umacniania Władzy Ludowej” – tak można było przecież odnosić się tylko do kogoś bliskiego.

Wprost wyrażał to inżynier z Warszawy. Powodowany „oburzeniem na skutek wydarzeń marcowych” pisał: „Proszę wybaczyć, że zabieram Wam czas – zaczynał grzecznie – ale czuję wewnętrzną potrze-

bę wypowiedzenia się, wręcz zamanifestowania komuś, komu ufam i kogo cenię. Chcę się, jak to się mówi, wygadać. Krąży opinia, że Wy jesteście Tym, który najbardziej broni władzy ludowej, dlatego piszę, żeby dać wyraz, że nie jesteście sami”. Nadawcy intuicyjnie chyba wyczuwali, że do Moczara można było zwracać się po ludzku: „Przy okazji zbliżających się Świąt – głosił list z Pomorza – życząc Panu i Pańskiej Rodzinie tak po prostu wiele szczęścia, zadowolenia z pracy i w życiu osobistym!”. W listach znalazło się i takie wyznanie: „Od tej chwili – wspominał spotkanie z Moczarem z lat czterdziestych były funkcjonariusz UB ze Szczecina – zostaliście w moim sercu, pokochałem Was jak własnego ojca”.

„Zdaję sobie sprawę, że inni zawiniли, a Pan, Panie Ministrze, musi to naprawić” – pisał fotografik z Darłowa. Liczono na to, że Marzec będzie dobrą okazją, aby Moczara zajął właściwe mu miejsce we władzach partyjnych. „Pokolenie, do którego ja należę – pisał inżynier z Warszawy – powitałoby entuzjazmem podzielanym przez większość społeczeństwa wybór Twój choćby na członka Biura Politycznego KC PZPR”.

„Dobry komunista” Moczara przeciwstawiany był złemu kierownictwu partyjnemu, co do którego – zapewne pod wpływem ataków prasowych, które w aluzyjnej formie dotyczyły także władz PZPR – piszący zaczęli mieć coraz większe wątpliwości. Członkowie ZBoWiD-u deklarowali: „Oburza nas fakt ujawnionych pospolitych świństw i zdrady przez ludzi, którzy w hierarchii partyjnej zajmowali i zajmują poważne stanowiska”. „Śledząc uważnie postępowanie niektórych członków Biura Politycznego KC PZPR i rządu, którzy dotychczas nie określili swego stanowiska, mamy prawo

domagać się ich określenia i wyciągnięcia od nich właściwych wniosków” – pisali byli partyzanci Armii Ludowej. Skompromitowani działacze partyjni – jak podejrzewano – musieli być pochodzenia żydowskiego. „Nie jesteśmy antysemitami, ale tylko taka jest droga prawdziwa i słuszna” – stawiali kropkę nad i autorzy. Spotykały się w ten sposób dwa główne wątki Marca: antyelitarny i antysemicki.

„Nikczemnicy z rasy Syjonu”

Perfidia władz w 1968 roku objawiała się między innymi tym, że udało się zaangażować do swoich celów społeczeństwo. Udało się znaleźć współpracowników nagonki – wielu poczuło się w obowiązku, aby samodzielnie wskazywać kolejne ofiary rozliczeń personalnych. Na porządku dziennym było wpisywanie osobistych wrogów w wymagania propagandowe: nielubiany kolega z pracy, przez lata blokujący dostęp do awansu, okazywał się popierającym Izrael „syjonistą”. Donosy takiej treści wysyłano do komitetów partyjnych i urzędów państwowych. W przekazanych Moczarowi listach nie znajdziemy personalnych denuncjacji. Nie padają żadne nazwiska. Mechanizm pozostawał jednak ten sam.

Lekarz z Katowic pisał: „Właściwa ocena żywiołu syjonistycznego w życiu narodowym Polski budzi we mnie nadzieje naprawy wielu krzywd”. I dalej: „Poznałem osobiście bestialską nikczemność ludzi z rasy Syjonu i dlatego chętnie brałbym współdziałal w uporządkowaniu tych spraw. Szczególnie, jako lekarza, interesowałyby mnie nadużycia syjonistyczne w polskiej psychiatrii. Stawiam do dyspozycji wszystkie moje siły i energię, jeżeli tylko będzie to potrzebne dla obywatela Ministra. Zaangażowanie będzie dla mnie największym zaszczytem”



– deklarował. Emocja antyżydowska nie była zatem zarezerwowana dla robotników i słabo wykształconych aparatczyków partyjnych. Służba Bezpieczeństwa już w 1967 roku zauważała, że także część inteligencji może być podatna na antysemicką propagandę.

Z niektórych listów, zwłaszcza tych, których autorzy podpisywali się jako byli partyzanci Armii Ludowej, przebijała nadzieja, że fala czystek pozwoli na dopełnienie się dziejowej sprawiedliwości i przywrócenie należnego im miejsca w hierarchii. „Dlaczego zostali odsunięci od zajmowanych stanowisk uczciwi patrioci, towarzysze walk partyzanckich, ludzie bez żadnej skazy praktycznej, ludzie, którym leży na sercu rozkwit kraju?” – wracał do niedawnej przeszłości „towarzysz walk partyzanckich”. Następnie przeszedł do różnicy między uprzywilejowanymi „syjonistami” a zepchniętymi na margines „patriotami”: „Proszę sobie wyobrazić, że taki syjonista mieszka super wygodnie [tak w oryginale] i zajmuje się handlem na czarnym rynku. A nasz gorący patriota i towarzysz nie może otrzymać mieszkania!”. Na koniec zaapelował do ministra: „Pragnąłbym, aby po latach nareszcie Partia sama wzięła się za to, aby skończyć z syjonistami i Żydami na stanowiskach, a dać je w odpowiednie ręce uczciwych Polskich ludzi, braci partyzanckiej!”.

Syjonści, rewizjoniści, imperialiści...

Ze słowami „syjonista” i „syjonizm” osławiano Polaków od początku kampanii prasowej, od czerwca 1967 roku, kiedy to służyły one do napiętnowania – jak pisano – „imperialistycznej agre-

sji Izraela na kraje arabskie”. Dziewięć miesięcy później, w marcu następnego roku, okazywało się, że podobni, a nawet jeszcze gorsi wrogowie działają także w kraju. Istnienie „piątej kolumny” zasugerował sam I sekretarz KC PZPR Władysław Gomułka. Ci, którzy już wcześniej byli zainteresowani czystką antyżydowską, oraz ci, którzy chcieli ją dla siebie wykorzystać, wyciągnęli z tych głosów logiczne wnioski.

Propagandyści prasowi stwarzali poczucie zagrożenia: pisali o niejasnej, zakonspirowanej grupie w obozie władzy, która, działając w imieniu „światowego syjonizmu”, przez wywołanie zamieszek ulicznych miała doprowadzić do zamachu stanu. Echo przekonania o zagrożeniu ze strony wroga wewnętrznego widać także w listach do Moczara. „Wewnętrzni wrogowie są jednak bardziej niebezpieczni od reakcji zewnętrznej” – twierdził jeden z autorów.

Cel wroga był jasny: „manipulacja światem i ludzkością, kosztem każdej innej wartości utrzymanie i jeżeli się uda, poszerzenie pozycji syjonistów i różnej maści kosmopolitów w kręgu naszej cywilizacji” – Zdzisław, architekt ze Szczecina, wchodził na wyższy poziom analizy. Cytowany już nadawca ze Skarżyska

solidaryzował się z Mieczysławem Moczarem „w gorących dniach walki i przeciwstawiania się warcholstwu i wszelkiej maści wichrzycielom w obronie naszego socjalistycznego dorobku”.

Za prasą powtarzano nawet najbardziej karkołomne interpretacje. „Życzę maksymalnego powodzenia – czytamy w liście z Warszawy – w prowadzeniu trudnej i ciężkiej walki z międzynarodowym syjonizmem i wszelką agenturą amerykańską i zachodnioniemiecką”. „Kiedy rewizjonizm i syjonizm będący na usługach imperializmu USA i NRF wyciąga swe parazytyczne ręce w celu opanowania władzy politycznej i gospodarczej w naszym kraju, potrafcie zdecydowanie i bezkompromisowo zadać im wszystkim raz na zawsze miążdzący cios” – głosił inny. Bezkrytycznie akceptowano tezę o sojuszu Żydów z Niemcami Zachodnimi (zwanymi wtedy NRF-em), czyli niedawnej ofiary z niedawnym katem. ▶

Sjonistom
droga wolna
do IZRAELA

„Żydzi w wojskowych mundurach”

Antysemityzm – *leitmotiv* listów – był lepiej lub gorzej maskowany. „Nie jesteśmy wrogo ustosunkowani do tych wszystkich obywateli Polski Ludowej pochodzenia żydowskiego, którzy razem z nami bili się o naszą Ojczyznę – zastrzegali członkowie ZBoWiD-u z Grudziądza – ale oburza nas fakt, że wielu z nich zapomniało o tym, że mają Polskę Ludową dużo do zawdzięczenia, i swoim postępowaniem nie zasługują na miano Polaka”. Nadawca z Tczewa przywoływał dawno zapomniane stereotypy: „Większość z nich jest wyciętych z dobrodziejstwa sumienia, oni widzą tylko interes, a nie człowieka, na którym nam bardzo zależy”.

Aleksander z Warszawy relacjonował: „Obywatelu Ministrze, w dniu 10 marca byłem naocznym świadkiem niezwykłego zdarzenia, które miało miejsce w okolicy Placu Zamkowego na Starym Mieście. Był wieczór, godz. 19–20, tłum rozwydrzonych wyrostków obrzucał kamieniami milicję i ORMÓ, fala napastników cofała się w kierunku ruchomych schodów. Stałem oparty o jeden z filarów i ze ściśniętym sercem obserwowałem następujące po sobie wypadki”. Historia podążyła w niespodziewanym kierunku: „W pewnym momencie wysiadł z pobliskiego samochodu krępy mężczyzna po pięćdziesiątce i zagaił ze mną rozmowę z silnym akcentem żydowskim na temat tego, co działo się przed nami: niedaleko stała grupka przechodniów komentujących wydarzenie. W pewnym momencie mój rozmówca nabrał niebywałej energii, doskoczył do owej grupki, porwał za ramię starego człowieka i krzycząc »Ty stary prowokator, będziesz namawiał tych młodych, chodź ze mną!«. I wprowadził starszego człowieka w kierunku milicjantów, następnie wsiał do żółtej syrenki i natychmiast odjechał”. Ważna była puenta: „Dopiero później, będąc w domu, zrozumiałem cel jego działania. Oddając starszego człowieka w ręce milicji, chciał tym sposobem udowodnić, że w zamieszkach biorą

udział nie tylko młodzi, ale i dorośli”. Wyraźnie widać, jak zalew antysemityzmu w mediach wpłynął na percepcję rzeczywistości. Zwyczajne wydarzenie zaczynało być elementem szerszego „syjonistycznego” spisku.

Weteran spod Jabłonnej w liście do ministra spaw wewnętrznych reinterpretował własną przeszłość: „Inni przeoczyli fakt dawania na stanowiska innych niż rdzennych Polaków z pochodzenia. Ludzie zwykli szeregowi to widzieli, ale nie śmieli o tym mówić, a co dopiero pisać”. Przedstawił się jako skazany w stalinowskim procesie politycznym. „Też niesłusznie byłem sądzony. Sędziami byli Żydzi, choć w wojskowych mundurach. Wtedy nie mogłem zrozumieć wielu spraw. Dziś zdaję sobie sprawę, że robili to z premedytacją, aby zożydzić Ustrój i Władzę”. Inny nadawca na nowo pisał historię pierwszych powojennych lat: „Żydzi opanowali cały handel, pozajmowali korzystne stanowiska i śrubowali ceny. A Polacy w swoim własnym kraju zdani byli na ich łaskę i niełaskę. Już wtedy przeważająca z nich część była z przekonania syjonistami”.

„Niech Polska będzie Polską”

Społeczna historia Marca to także wybuch – źle rozumianych – uczuć narodowych. W jednym z listów przeczytać można wielokrotnie wtedy powtarzane hasło: „Niech Polska będzie Polską dla Polaków i rządzoną przez Polaków”. Autor deklarował się jako komunista.

Moczar dla wielu był najlepszym wyrazicielem tych emocji. Nawet niechętnym systemowi dawał nadzieję, że komunizm w jego wydaniu będzie trochę bardziej polski. Widziano w nim człowieka, który sprawi, że „piękne słowa o umiłowaniu Ojczyzny, Honoru i Wolności nabiorą właściwego znaczenia”. Oficer ludowego wojska z Gliwic komentował telewizyjne wystąpienie Moczara: „Przed chwilą wysłuchałem w dzienniku telewizyjnym wyjątków z deklaracji obywatela Ministra. Nie mogę powstrzymać się od dania wyrazu uczuciom, jakie w mojej myśli i sercu wywołały. Obywatel Generał złożył w niej hołd pięknym tra-

dycjom Narodu Polskiego, wszystkim żołnierzom i cywilom, którzy za słuszną sprawę oddali życie”.

Szef MSW miał być obrońcą wartości; podejmować walkę ze wszystkim tym, co wynarodowione, kosmopolityczne, zapatrzone w Zachód i niewynikające z ciężkiej pracy. Chwalono generała za to, że zwalcza pisarzy „nierozumiejących historii i tradycji narodu, zadufanych w swojej rzekomą mądrość, moc pieniądza i wrodzony jakoby spryt”. „Wartości te [narodowe] były obce twórcom wszystkich obrzydliwych tak zwanych polskich filmów i sztuk nowoczesnych – komentował autor jednego z listów – albowiem nic ich z naszą ziemią i narodem, tradycją i historią nie łączyło oprócz nieokielzanej nienawiści i pogardy”.

Pamiętajmy, że obraz, który wylania się z listów do Mieczysława Moczara, jest jednostronny. Nie brakowało tymczasem głosów sprzeciwu – także zresztą w formie epistolarnej. Już od początków kampanii medialnej, czyli od połowy 1967 roku, piszący do radia i telewizji narzekali na obowiązkowy charakter „spontanicznych” wieców i masówek, na nachalność propagandy, niektórzy wprost deklarowali sympatię do Izraela. Po Marcu, narażając się na przeróżne konsekwencje, ludzie podpisani imieniem i nazwiskiem wysyłali listy z protestami przeciwko biciu studentów, z poparciem dla ruchu na uczelniach, stawiali w obronie prześladowanych. Prawdopodobnie nigdy nie uda nam się dokładnie poznać proporcji między poparciem marcowej nagonki a oporem wobec niej.

Latem 1968 roku kampanię „antysyjonistyczną” wyhamowano. Władysław Gomułka wydał jasne polecenie: „syjoniści” i towarzyszący im agresywny język mają zniknąć z mediów. Przeraziła go jej skala oraz związane z nią ambicje polityczne Mieczysława Moczara. Ciekawe, jak przyjęli to autorzy listów do generała... ■

Korzystałem z materiałów z Archiwum Akt Nowych oraz książek Jerzego Eislera, Piotra Osęki i Dariusza Stoli.

Jakub Szumski – historyk, doktorant w Instytucie Historii Polskiej Akademii Nauk

Marzec atomowego inżyniera

Jakub Gołębiewski



Niewiele jest materiałów źródłowych, w których wydarzenia marcowe 1968 roku są przedstawione z perspektywy osób biorących udział w pacyfikacji protestów studenckich: milicjantów, funkcjonariuszy aparatu bezpieczeństwa lub działaczy partyjnych. Jeden z wyjątków to dokumenty z teczki „Krzysztofa” – kontaktu obywatelskiego SB i szeregowego członka PZPR.





Fot. AIPN

Zamieszki 1968 roku rozpoczęły się 8 marca od protestu studentów Uniwersytetu Warszawskiego w obronie kolegów relegowanych z uczelni i wolności kulturalnej w PRL. Demonstracje studentów i młodzieży w stolicy zostały brutalnie rozbite przez oddziały milicji, Ochotniczej Rezerwy Milicji Obywatelskiej oraz zmobilizowane przez władze uzbrojone grupy członków PZPR – tzw. aktyw robotniczy. Protesty miały również miejsce m.in. w Gdańsku, Krakowie, Radomiu, Łodzi i Poznaniu. Manifestacje stały się pretekstem do wywołania przez komunistyczne władze „państwowej” kampanii antysemitkiej, skierowanej przeciwko osobom pochodzenia żydowskiego, głównie inteligencji i członkom PZPR. W wyniku nagonki z Polski do 1972 roku wyjechało od 15 do 20 tys. osób.

Byla niedziela 28 kwietnia 1968 roku. Podporucznik Franciszek Paradziński, oficer Wydziału II (kontrwywiadowczego) stołecznej Komendy Wojewódzkiej MO, nie miał tego dnia wolnego. Przygotowywał bowiem raport dla dowódcy Służby Bezpieczeństwa w Warszawie. Raport dotyczył postawy Krzysztofa Żarnowieckiego, według zachowanych materiałów informatora Służby Bezpieczeństwa, w marcu 1968 roku. Żarnowiecki, inżynier w Instytucie Badań Jądrowych w podwarszawskim Świerku, od 1961 roku miał kontakt z funkcjonariuszami bezpieki. Jako członek Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej nie mógł zostać zarejestrowany jako tajny współpracownik (werbunek członków partii był formalnie zakazany przez ministra spraw wewnętrznych), nadano mu więc status kontaktu obywatelskiego, czyli informatora współpracującego z SB nieformalnie. Nadano mu pseudonim „Krzysztof”.

W teczce KO „Krzysztofa” znajduje się wiele dokumentów, które nie pozostawiają wątpliwości co do identyfikacji osoby kryjącej się pod

tym pseudonimem. Są to m.in. wspomniany raport oficera prowadzącego, ankieta personalna Żarnowieckiego oraz notatki dotyczące spotkań in-



Fot. AIPN

formatora z funkcjonariuszami SB. Od 1948 roku „Krzysztof” był członkiem PZPR, a od 1955 roku pracował w IBJ, gdzie w 1968 roku zajmował stanowisko kierownika Zakładu Ochrony przed Promieniowaniem.

Powodem powstania raportu ppor. Paradzińskiego był incydent z wydarzeń marcowych. 8 marca 1968 roku – w dniu, w którym na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego odbył się wiec studentów – „Krzysztof” przebywał służbowo we Francji, nie znał zatem przebiegu zajść i nie wiedział o interwencji milicji i aktywności partyjnego przeciwko protestującym. 11 marca, po powrocie do kraju, uczestniczył w zebraniu partyjnym w IBJ, dotyczącym zamieszek. Członkowie PZPR pracujący w instytucji mieli wziąć udział w akcji przeciwko „chuliganom” – jak propaganda komunistyczna nazywała protestujących

studentów. Żarnowiecki został wybrany do grupy pracowników, która miała tłumić zamieszki i bić protestujących. Według raportu ppor. Paradzińskiego, w trakcie zebrania inżynier zażądał wyjaśnień od prowadzącego odprawę. Wystąpienie to – zdaniem oficera prowadzącego w pełni uzasadnione – zostało odebrane przez obecnych jako „chęć zdemobilizowania aktywu oraz postawa niegodna członka partii”. Żarnowiecki został skrytykowany i zwolniony z udziału w planowanej akcji przeciwko studentom, co było dopiero początkiem jego kłopotów.

Już następnego dnia, 12 marca, odbyło się zebranie Komitetu Zakładowego PZPR w IBJ, na którym zajęto się „wybrykiem tow. Żarnowieckiego”. Sprawa została skierowana do Komisji Kontroli Partyjnej, a ta 19 marca 1968 roku przyjęła uchwałę o usunięciu inżyniera szeregów

PZPR. Za „niepartyjną postawę”. Stwierdzono, że Żarnowiecki uchylił się od udziału w akcji i świadomie próbował zdemobilizować grupę kolegów wytypowanych do wyjazdu na Uniwersytet Warszawski. Inżynier miał 11 marca demonstracyjnie opuścić zebranie partyjne, mówiąc, że nie zamierza brać udziału w biciu i sam nie chce zostać pobity.

Żarnowiecki został nie tylko usunięty z partii, lecz także zwolniony ze sprawowanej funkcji kierownika zakładu. Napiętnowano go na łamach „Życia Warszawy”, a dalszymi konsekwencjami były odsunięcie od pracy w atomistyce i odebranie praw samodzielnego pracownika naukowego.

Prawdziwy Polak i komunista

Zdaniem Paradzińskiego, decyzja władz partyjnych była dla Żarnowieckiego krzywdząca i powinna zostać ➤





Fot. AIPN

► Okolice Uniwersytetu Warszawskiego – ulice Krakowskie Przedmieście i Nowy Świat – stały się główną areną zamieszek; na zdjęciu demonstranci pokazują legitymacje studenckie

zmieniona. Przekonywał przełożonych, że wyrzucenie KO „Krzysztofa” z PZPR będzie miało negatywne skutki dla wizerunku partii i SB w środowisku pracowników IBJ. Powtarzano bowiem, że Żarnowiecki został usunięty z partii i z IBJ za to, że „nie przyjął pałki”. Podporucznik Paradziński pisał także o szkodach operacyjnych dla bezpieczeństwa, które mogłyby nastąpić w wyniku zwolnienia inżyniera. „Krzysztof” tra-

cił bowiem możliwość wyjazdów zagranicznych, a więc także swoje międzynarodowe kontakty. Celem raportu Paradzińskiego było odwrócenie konsekwencji całej sprawy i zrehabilitowanie Żarnowieckiego. „Krzysztof” został opisany przez swojego oficera prowadzącego jako wzorowy informator, zasługujący na zaufanie SB odpowiedzialny współpracownik oraz „prawomyślny członek PZPR”.

Paradziński starał się wykazać, że zachowanie „Krzysztofa” wynikało z nieporozumienia, że ma on poglądy tożsame z tzw. linią partii i nie ma pochodzenia żydowskiego – dlatego w raporcie pojawiły się zapewnienia, że informator SB jest „prawdziwym Polakiem”. Zdaniem oficera prowadzącego, „Krzysztof” podjął współpracę świadomie i dobrowolnie, wykazał także zaangażowanie. Jednym z zadań „Krzysztofa” zleconych przez SB było dostarczanie relacji z jego wyjazdów zagranicznych. Według notatek funkcjonariuszy bezpieczeństwa, współpraca z Żarnowieckim dotyczyła takich zagadnień, jak „struktura organizacyjna ośrodków naukowych państw kapitalistycznych”, ocena naukowców zatrudnionych w tych placówkach badawczych, a także pracowników naukowych zatrudnionych w IBJ. Takie materiały nie zachowały się jednak w teczce „Krzysztofa”.

Raport Paradzińskiego trafił do kierownictwa kontrwywiadu SB, gdzie gruntownie przeanalizowano teczkę. Szefostwo warszawskiej SB podjęło decyzję, by nie interweniować u władz partyjnych w sprawie Żarnowieckiego. Ponadto po przeprowadzonej kontroli wyszła na jaw nieudolność ppor. Paradzińskiego. Uznano, że SB nie uzyska-





Fot. AIPN

► Przed gazami łzawiącymi i palującymi milicjantami studenci chronili się w kościele św. Krzyża

ła od „Krzysztofa” żadnych informacji istotnych dla kontrwywiadu. Funkcjonariusze nie sprawdzali jego prawdopodobności. Współpraca z inż. Żarnowieckim była właściwie współpracą pozorowaną. Ponieważ dodatkowym problemem była przynależność Żarnowieckiego do PZPR, współpracę z KO „Krzysztofem” szybko zakończono. Paradziński już wcześniej nie cieszył się dobrą opinią przełożonych.

W 1967 roku udzielono mu nagany za lekceważący stosunek do pracy i niewywiązywanie się z poleceń służbowych. Mijanie się z prawdą w sprawie Żarnowieckiego, czyli podkreślanie nieprawdziwych zasług informatora, przecenienie znaczenia jego współpracy, miało decydujący wpływ na karierę Paradzińskiego w SB – we wrześniu 1968 roku został dyscyplinarnie zwolniony ze służby.



Dlaczego my mamy bić?

W teczce „Krzysztofa” znajduje się oświadczenie Żarnowieckiego z 16 kwietnia 1968 roku, w którym przedstawia on własną wersję wydarzeń na zebraniu pracowników IBJ 11 marca. Tego dnia – wraz z trzydziestoosobową grupą zasłużonych członków partii – został przewieziony ze Świerka do Warszawy, do siedziby IBJ na Żeraniu. Początkowo czuł się wyróżniony. Dopiero na miejscu dowiedział się, że zadaniem jego grupy będzie udział w wiecu na Uniwersytecie Warszawskim i przeciwdziałanie „ewentualnym antypaństwowym wypowiedziom”.

Dalsza relacja inżyniera tłumaczy jego gwałtowny protest na zebraniu partyjnym, a oprócz tego pokazuje, w jaki sposób władze organizowały bojkotki partyjne. Żarnowiecki podał w oświadczeniu, że po przejeździe grupy z IBJ na Żerań przedstawiono krótką informację o zadaniach. Partyjniacy z IBJ mieli pełnić dyżur na mieście przez cały dzień, powierzono im blokowanie ulic i tłumienie demonstracji studentów. Inżynier pisał, że zaskoczyły go fragmenty przemówienia jednego z towarzyszy, takie jak: „w razie potrzeby dostaniemy pałki lub paski”, „studenci uzbili się w rurki”, „nie należy bić kobiet”, „żadnego picia alkoholu”, „działać całą grupą, bo możemy oberwać”. Relacja Żarnowieckiego pokazuje przygotowania do rozprawy ze studentami, mobilizację aktywów partyjnego przeciwko protestującym.

W dalszej części oświadczenia inżynier przedstawił motywy swojego protestu: „Miałem wtedy znikomą rozeznanie co do sytuacji politycznej, oparte praktycznie na relacji członków rodziny. Nie sądziłem również, że czynne wystąpienie przeciw grupom studenckim będącym czyimś ślepym narzędziem jest bezwzględnie konieczne, nawet jeżeli uwzględnimy jego uboczny, antypropagandowy wydźwięk. Wydawało mi się również, że w razie takiej konieczności organy bezpieczeństwa odpowiednio wyszkolone, a równie świadome politycznie, ►



Fot. AIPN

potrafią doskonale opanować sytuację bez uciekania się do walki wręcz między partyjnymi pracownikami naukowymi a studentami. W takiej sytuacji, spodziewając się dokładniejszego wprowadzenia w sytuację, zadałem pytanie: Kto i dlaczego ma nas bić i kogo i dlaczego my mamy bić?”

Fachowiec, obywatel, nie-Żyd
Krzysztof Żarnowiecki nie uczestniczył w zebraniu partyjnym w IBJ, na którym skierowano jego sprawę do Komisji Kontroli Partyjnej. 12 marca, kiedy wyrzucono go z partii i zdegradowano, przebywał na zwolnieniu. Nie wiedział o toczącym się postępowaniu, złożył jednak odwołanie od decyzji usunięcia z partii. W oświadczeniu zwrócił uwagę na to, że w związku ze swoją odmową i jej konsekwencjami zyskał sympatię ludzi pochodzenia żydowskiego, „którzy być może przypuszczają, że jako napiętnowany mam negatywny stosunek do wszystkich przemian, jakie rozpoczęły się ostatnio w Polsce”, co – jak stwierdził – było dla niego irytujące. Pisał, że został niesłusznie i niesprawiedliwie napiętnowany, że ukarano go w następstwie nieporozumienia, że stawia się go w jednym szeregu z aferyzystami – Żydami usuniętymi z IBJ (chodzi o grupę osób wyrzu-

conych z instytutu na fali kampanii „antysyjonistycznej”). Zakończył swoją obronę dramatycznym wyznaniem, które pokazuje jego stosunek do kryzysu Marca '68: „Nie miałem nigdy nic wspólnego z Żydami ani reakcjonistami. Jestem od lat aktywnym członkiem partii. Fakt, że pracownik naukowy nazajutrz po powrocie z zagranicy prosi o wyjaśnienie motywów narzuconego sobie postępowania, nie może moim zdaniem dyskwalifikować go ani jako członka partii, ani tym bardziej jako fachowca i obywatela”.

Żarnowiecki nie był wrogiem systemu, ale członkiem partyjnej nomenklatury, który został wplątany w wydarzenia marcowe i „nie chciał wziąć udziału w bijatyce”. Jeszcze w 1968 roku został przywrócony do pracy w IBJ (w następnym roku obronił doktorat). W latach osiemdziesiątych pełnił funkcję kierownika Zakładu Bezpieczeństwa Jądrowego w Centralnym Laboratorium Ochrony Radiologicznej. W 1986 roku, po katastrofie w Czarnobylu, został ekspertem komisji rządowej, a dwa lata później opracował raport na temat skażenia terytorium Polski. Władze partyjne najwyraźniej uznały, że wyrzucenie go w marcu 1968 roku było nieporozumieniem. ❄

Jakub Gołębiowski – historyk,
redaktor miesięcznika „Pamięć.pl”



Fot. AIPN

Na stracenie szli spokojnie

Odbiorą mi tylko życie

(fragment grypsu Łukasza Cieplińskiego pisanego z celi śmierci)

Na początku 1944 roku, kiedy Armia Czerwona przekraczała granice Polski, Józef Stalin miał sprecyzowany plan zwasalizowania Rzeczypospolitej, który od dawna realizował. Chodziło mu o złamanie społeczeństwa oraz eksterminację najbardziej niepokornej części starych elit i inteligencji. Ponurym wyrazem tych starań były aresztowania osób związanych z podziemiem niepodległościowym, którego struktury zwróciły się przeciwko „czerwonym wyzwolicielom”. Brutalne śledztwa, pokazowe procesy, wykonywanie wyroków śmierci, wreszcie bezimienne grzebanie skazanych osób należących do organizacji niepodległościowych – to wszystko mroczny obraz podporządkowywania sobie Polski przez Moskwę.

Warto i należy pamiętać o poświęceniu tych, którzy zdecydowali się na walkę w obronie wolności ojczyzny. Jednym z uczestników tych niepodległościowych starań był Mieczysław Chojnacki – żołnierz AK i Ruchu Oporu Armii Krajowej.

Nazywam się Mieczysław Chojnacki i mój pseudonim to „Młodzik”. To jest stopień harcerski, następny po szeregowcu. [...] W związku z moją przynależnością do AK i do ROAK-u zostałem zatrzymany koło Wrocławia. Stało się to w marcu 1950 roku w miejscowości Długoleka, gdzie pracowałem jako pomocnik geodety. Przewieziono mnie do [siedziby] Informacji [Wojskowej] przy ul. Sztabowej we Wrocławiu. Tam miałem śledztwo, przez cztery miesiące, do lipca 1950 roku. Potem przekazano mnie do Warszawy i przez tydzień przebywałem w Informacji przy ul. Chałubińskiego. Stamtąd przewieźli mnie na ulicę Sierakowskiego i znów mnie przetrzymywali przez około tydzień lub dwa. Po tym czasie przyjechali po mnie ▶



Mieczysław Chojnacki „Młodzik” (ur. 1924) – żołnierz AK, wszedł w skład powstałego w połowie 1945 roku Obwodu „Mewa” Ruchu Oporu Armii Krajowej. Dowodził I rejonem, który obejmował Sierpc – jego rodzinne miasto. Pełnił funkcję dowódcy plutonu specjalnego stanowiącego osobistą ochronę Komendanta Okręgu – Józefa Marcinkowskiego „Łysego”. Nie ujawnił się w czasie amnestii w roku 1947. Został aresztowany 17 marca 1950 roku. Skazano go na karę śmierci, którą zamieniono na 15 lat więzienia.

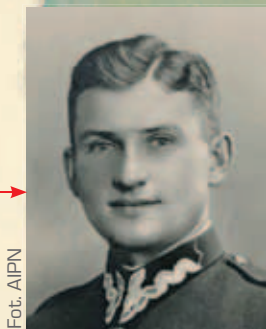
funkcjonariusze UB w Sierpcu i – jak się wyrazili – „zabierają mnie do mamy”. Przewieźli mnie do Sierpca i tam od lipca do listopada [1950 roku] przechodziłem śledztwo, które nie było już dokuczliwe. Można powiedzieć, że nawet na mnie nie powiedzieli nic złego, ponieważ w śledztwo z Informacji wierzyli tak, jak katolicy chyba nie wierzą w Pismo Święte, tam każda litera dla nich była ważna. [...] Miałem pokazać sprawę w Sierpcu. Odbyła się 22 grudnia [1950 roku], parę dni przed Wigilią. Wypytywano mnie o akcje [...] [ROAK] na terenie powiatu sierpeckiego, płońskiego.

Powołano kilku świadków, którzy zasadniczo nic do sprawy nowego nie wnosili. Była jedna osoba z mojej sekcji dywersyjnej, „Lew” – Mazurowski Zenon, który właściwie mnie jeszcze usiłował bronić, chociaż mówił cały czas prawdę. Potem zeznawał dowódca oddziału ROAK-u, w którym się ukrywałem po wyspie, „Lis”, [...] Ziółkowski Leon. To był z 1920 roku wachmistrz kawalerii. Już miał wtedy 50 lat i jeszcze konspirował za Niemców. I potem był w ROAK-u w obwodzie „Mewa”. Tak że ludzi tam było niewielu na sali rozpraw. Później sąsiadka mi mówiła, że przyszła ze swoją synową i płakały. Więc ktoś jednak na tej sali żałował.

W celi śmierci

Po wyroku [...] nie pozwolili mi porozmawiać z matką, tylko otoczyli mnie ubecy i odprowadzili do aresztu UB. Tam przebywałem około dwóch dni i przewieźli mnie do warszawskiego więzienia na Mokotowie. Tam właśnie znalazłem się w celi śmierci, na piętrze w skrzydle zachodnim lub północno-zachodnim. Była to druga sala po wejściu na korytarz. Wszedłem do niej oszołomiony, ponieważ znajdowało się tam około osiemdziesięciu osób, w tym przeszło połowa z wyrokami śmierci. Wśród więzionych można było wyróżnić kilka grup towarzysko-koleżeńskich. Najbardziej liczna była IV Komenda WiN. Składała się z kilku osób:

Ciepliński, Lazarowicz, Kawalec, Błażej,



Fot. AIPN

Pułkownik Łukasz Ciepliński „Pług” (1913–1951) – oficer 62 pp, odznaczony Orderem Virtuti Militari, brał udział w wojnie 1939 roku. Po zakończeniu działań wojennych przedostał się na Węgry, z których wrócił, aby nadal walczyć. Został schwytyany i osadzony w więzieniu w Sanoku, skąd uciekł. Następnie działał w konspiracji, był szefem Inspektoratu Rejonowego ZWZ/AK. W Zrzeszeniu WiN, po aresztowaniu członków II i III Zarządu Głównego, stanął na czele IV Zarządu. W listopadzie 1947 roku został zatrzymany przez funkcjonariuszy UB. Po trzyletnim śledztwie, w czasie którego był torturowany, został skazany na pięciokrotną karę śmierci. Wyrok wykonano 1 marca 1951 roku.



Fot. AIPN

Podpułkownik dypl. Antoni Olechnowicz „Krzysztof”, „Pohorecki” (1905–1951) – brał udział w wojnie 1939 roku. Następnie organizował konspirację niepodległościową w Wilnie, był komendantem tego miasta jako przedstawiciel ZWZ/AK. Dowodził także I Zgrupowaniem AK podczas operacji „Ostra Brama”. Został aresztowany przez bezpiekę 26 czerwca 1948 roku. Skazany przez stołeczny Wojskowy Sąd Rejonowy na karę śmierci. Wyrok wykonano 8 lutego 1951 roku w Warszawie. Szczątki ppłk. Olechnowicza odnaleziono wiosną 2013 roku w kwaterze „Ł” Cmentarza Wojskowego na stołecznych Powązkach.



Fot. AIPN

Major Adam Lazarowicz „Klamra”, „Pomorski”, „Kleszcz”, „Zygmunt” (1902–1951) – brał udział w wojnie z bolszewikami w 1920 oraz wojnie w 1939 roku. Jeszcze w 1939 roku rozpoczął działalność konspiracyjną. W latach 1940–1944 był komendantem Obwodu Dębica ZWZ/AK. Następnie działał w organizacji „Nie” oraz Zrzeszeniu WiN, w którym od stycznia 1947 roku pełnił funkcję wiceprezesa IV Zarządu Głównego. Został aresztowany 5 grudnia tego samego roku. Wyrok śmierci wykonano na nim 1 marca 1951 roku w Warszawie.



Fot. AIPN

Major Mieczysław Kawalec „Iza”, „Psarski” (1916–1951) – uczestnik wojny 1939 roku, od 1940 działał w ZWZ/AK, następnie w organizacji „Nie”, DSZ oraz w Zrzeszeniu WiN, w którym od stycznia 1947 roku pełnił funkcję kierownika wydziału Informacji i Propagandy w IV Zarządzie Głównym. Został aresztowany 1 lutego 1948 roku i skazany na karę śmierci. Wyrok wykonano 1 marca 1951 roku.



Fot. AIPN

Kapitan Franciszek Błażej „Roman”, „Tadeusz”, „Bogusław” (1907–1951) – oficer Wojska Polskiego, członek Armii Krajowej oraz IV Zarządu Głównego Zrzeszenia WiN, w którym sprawował funkcję prezesa Obszaru Południowego, współredaktor „Orla Białego”. Aresztowany 2 września 1947 roku. Zamordowany 1 marca 1951 roku.

Batory, Chmiel, no i ten ostatni, powiedzmy, taki zbyt zamknięty w sobie, bo mówili, że przechodził pewne załamanie psychiczne... Józef Rzepka. [...] Wszyscy byli skazani na karę śmierci, nieraz podwójną lub potrójną. Najwięcej tych wyroków, chyba cztery [w rzeczywistości: pięć], miał Ciepliński. Otóż oni trzymali się bardzo razem, przy jednym stole. Tam jeszcze był kpt. Gracjan Kludiusz Fróg – dowódca 3. Brygady Wileńskiej kiedyś. Następna grupa, która trzymała się razem, to był Wileński Okręg eksterytorialny. Był tam płk Antoni Olechnowicz, następnie mjr Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka”, Borowski „Trzmiel” oraz por. Lucjan Minkiewicz „Wiktor”. [...] Z nimi trzymał się jeszcze Maciej Jeleń. Też wszyscy otrzymali wyroki śmierci.

Na początku 1951 roku, zamiast spać na betonie, na barłogu i na sieniach, wstawiono nam trzypiętrowe łóżka. Ja spałem z brzegu, bliżej tego niemiłego miejsca, jak to się nazywało – kibel, ale koniecznego, no i umywalki. Łóżka były zestawiane po dwa, tak że jeszcze za moimi plecami był kolega. Ale w czasie takich historii jak prowadzenie na śmierć to zawsze ktoś się wciskał między nas.

[...] Wszyscy zachowywali się spokojnie, kiedy przyszła chwila wykonania wyroku. Ja nie widziałem tam ludzi, którzy wychodzili na stracenie i mieli dziki wzrok, oni byli spokojni. Nie widziałem, żeby w ich oczach był strach, był żal. Zupełnie spokojnie zabrano dwunastu oficerów i nie było żadnych spazmów ani żadnej awantury.

Milknące tupanie drewniaków

Pierwszych stracili czterech wilniaków: Olechnowicza, Szendzielarza, Lucjana Minkiewicza i Borowskiego. Zabierano ich, po kolei wywołując z celi. Pierwszy wyszedł Olechnowicz, słyszeliśmy, że wyprowadzają go na korytarz, bo krata strzeliła i słychać było charakterystyczny odgłos drewnianych trepów – schodził na dół. I po około 10 minutach wywołali następnego – Szendzielarza. On zatrzymał się przy



Fot. AIPN

Kapitan Józef Batory „Orkan”, „Argus”, „Wojtek”, „August” (1914–1951) – brał udział w wojnie 1939 roku, działał w AK, a następnie od 1945 roku w organizacji „Nie”, DSZ oraz w IV Zarządzie Głównym WiN, w którym był kierownikiem łączności wewnętrznej. Aresztowany 2 grudnia 1947 roku. Skazany na karę śmierci i stracony 1 marca 1951 roku.

Porucznik Karol Chmiel „Zygmunt”, „Polański” (1911–1951) – prawnik, od 1940 roku w ZWZ/AK. Od 1945 roku działał w PSL oraz w IV Zarządzie Głównym Zrzeszenia WiN, w którym pełnił funkcję doradcy politycznego. Aresztowany 12 grudnia 1947 roku. Został skazany na karę śmierci i zamordowany 1 marca 1951 roku.



Fot. AIPN

Kapitan Gracjan Kludiusz Fróg „Szczurbić” (1911–1951) – zawodowy żołnierz Wojska Polskiego, uczestnik wojny 1939 roku. Następnie, po udanych ucieczkach kolejno z niewoli niemieckiej i sowieckiej, związał się z AK. Utworzony przez niego oddział nosił nazwę 3. Wileńskiej Brygady AK. Brał także udział w operacji „Ostra Brama” w ramach akcji „Burza”. 10 lipca 1948 roku został zatrzymany przez funkcjonariuszy UB i po brutalnym śledztwie skazany na śmierć. Wyrok wykonano 11 maja 1951 roku.



Fot. AIPN

Major Zygmunt Szendzielarz „Łupaszka” (1910–1951) – uczestnik wojny 1939 roku. Został odznaczony Krzyżem Virtuti Militari. Od 1940 roku działał w konspiracji. W 1943 roku utworzył V Brygadę Wileńską Armii Krajowej. W roku 1946 dołączył do VI Wileńskiej Brygady AK. Został aresztowany 30 czerwca 1948 roku i skazany na karę śmierci. Wyrok Wojskowego Sądu Rejonowego w Warszawie wykonano 8 lutego 1951 roku. Szczątki mjr. Szendzielarza odnaleziono wiosną 2013 roku w pobliżu kwatery „Ł” Cmentarza Wojskowego na stołecznych Powązkach.



Fot. AIPN

Porucznik Henryk Borowy-Borowski „Trzmiel” (1913–1951) – brał udział w wojnie 1939 roku. Oficer Komendy Okręgu Wileńskiego Armii Krajowej. Za uczestnictwo w wyzwoleniu Wilna w 1944 roku został odznaczony Krzyżem Walecznych. Aresztowany 28 czerwca 1948 roku. Wyrokiem Wojskowego Sądu Rejonowego w Warszawie został skazany na karę śmierci i stracony 8 lutego 1951 roku w Warszawie. Szczątki Henryka Borowego-Borowskiego odnaleziono wiosną 2013 roku w pobliżu kwatery „Ł” Cmentarza Wojskowego na stołecznych Powązkach.



Fot. AIPN

Podporucznik Lucjan Minkiewicz „Wiktor” (1918–1951) – żołnierz w wojnie 1939 roku. Od 1945 roku służył w odtworzonej V Brygadzie Wileńskiej, a następnie, do 19 października 1946 roku, był dowódcą VI Brygady Wileńskiej AK. Zatrzymany przez UB latem 1948 roku. Skazany na karę śmierci i zamordowany 8 lutego 1951 roku.



Podporucznik Lidia Lwow-Eberle „Ewa”, „Lala” (ur. 1920) – służyła od sierpnia 1943 roku jako sanitariuszka w oddziale Armii Krajowej por. Antoniego Burzyńskiego „Kmicica”, a następnie w składzie V Brygady Wileńskiej pod dowództwem mjr. „Łupaszk”. Została aresztowana przez funkcjonariuszy bezpieki 30 czerwca 1948 roku i skazana przez Wojskowy Sąd Rejonowy w Warszawie na dożywotnie więzienie. W 1956 roku wyszła na wolność.



Fot. AIPN

Fot. AIPN

drzwiach, wykonał półobróć i powiedział do nas: „z Bogiem, panowie”. A myśmy odpowiedzieli mu: „z Bogiem, panie majorze”. I wyszedł. To samo tupanie drewniaków i potem zanik kroków. Następnie wywołali „Trzmiela” Borowskiego, oficera. Podobnie odszedł, bardzo spokojnie. Otrzymałem od niego pamiątkę – nie miałem chusteczki i on podarował mi swoją. Po dłuższej przerwie zabrali „Wiktora”, tzn. Minkiewicza. Sądziłem, że może go ulaskawią nawet, ale jednak go zabrali.

[...] Jeśli chodzi o śledztwo, to na przykład „Łupaszk” był z nami tylko 40 dni. Ale w czasie śledztwa trzymali go podobno trzy miesiące w „karcu”. Kiedy wszedł na naszą celę śmierci, podpierał się ścian. Ułożono go na ławie i tak na kocach przeleżał kilka dni, aż wreszcie doszedł do siebie.

[...] Przypomniła mi się jeszcze taka wzruszająca historia. Tam na skrzydle, gdzie był oddział żeński, przebywała pani [Lidia Lwow-Eberle] [narzeczona „Łupaszk”] i żona Minkiewicza. Z grupą swoich koleżanek szły z łaźni i ktoś zaalarmował wilniuków. Wtedy stworzyliśmy taką grupę, która dyskutowała o byle czym, a wtedy „Łupaszk” miał możliwość wyjść wyżej, pokazać się w oknie i tam gestami pożegnać się z panią Lwow – bo ona pochodziła z tej rosyjskiej rodziny Lwowów. I to takie było wzruszające pożegnanie.

[...] Co się tyczy egzekucji, to widziałem, jak prowadzono ich na [...] śmierć. Obserwowałem przez okno, tam było takie wyjście na drukarnię i prowadzili ich wzdłuż magazynu mundurowego. Między magazynem mundurowym

a łaźnią była brama i tam ich prowadzono. Tego już nie widziałem. Po około 15–20 sekundach było słychać wyraźnie strzał. Czasem były to dwa strzały, powiedzmy po kilku minutach. Skazańca, który miał skrępowane do tyłu ręce, prowadziło trzech funkcjonariuszy. Jeden z nich szedł z tyłu i niósł jakieś zawiniątko. Sądziłem, że to może worek na zwłoki. W każdym razie to była jakaś płachta. No i ten orszak niknął i po kilku minutach wracał po następnego. Cała parada, moment i człowieka nie ma.

Na kilkanaście minut przed egzekucją naczelnik [Alojzy] Grabicki – ubek [naczelnik więzienia przy ul. Rakowieckiej w Warszawie w latach 1945–1954], lekarz i ewentualnie jeszcze ktoś udawali się w tym kierunku około godziny, powiedzmy, dwudziestej, już jak było ciemno. Kilka osób ze straży więziennej, uzbrojonych, obstawiało plac. Prawdopodobnie, gdzieś poza moim wzrokiem, za magazynem i łaźnią też stał ktoś uzbrojony. Musieli mieć broń, kat na pewno miał.

[...] 1 marca [straceni] zostali winowcy, już inaczej ich wyprowadzali. Mianowicie utworzyli pięć grup do wyjazdu. Inni ludzie już nie wrócili do naszej celi, prawdopodobnie wywieźli ich do jakichś więzień. A i ci skazani na KS [karę śmierci] nie wrócili, tylko wiedzieliśmy, że ich rozstrzelali. Uchyliły się drzwi i stanął oddziałowy i jeszcze ktoś ze służby więziennej. Wyczytali sześć nazwisk, a między nimi dwóch czy trzech winowców, kazali im się spakować. Pierwsza grupa wyszła. Trudno mi określić, w jakim porządku ich wyprowadzali, bo w sumie wyczytano dziesięciu kaesowców,

nieulaskawionych. I cały ten orszak ruszył. Sądzę, że pierwszego poprowadzili Cieplińskiego, a któryś już z kolei szedł Lazarowicz.

Poznałem jeszcze Mieczysława Kawalca. To był typowy oficer, wysoki mężczyzna, wyróżniał się. Ukończył prawo na Uniwersytecie Lwowskim. Był jednym z zastępców Cieplińskiego. Jego jednak nie prowadzili, nie trzymali go pod ręce. Szedł tak jak na defiladzie – wyprostowany, energiczny. Dalej było już tylko słychać strzał. Bardzo poruszyło nas natomiast zachowanie Chmiela, którego dało się rozpoznać dzięki jego białej, długiej kurtce. Kiedy zbliżał się do przestrzeni za magazynem, wyrwał się eskortcie, rzucił się na ziemię i zaczął głośno krzyczyć: mordują! Został szybko pochwycony i poprowadzony na stracenie. Naliczyliśmy siedem osób. Przez kilka dni zastanawialiśmy się, co stało się z pozostałą trójką, tj. z Pętrowskim, Grzybowskiem i Eugeniuszem Zacheją. Pewnego dnia otwarto drzwi i oni weszli. Zaczęli opowiadać, co się stało. Zamknięto ich w celi obok. Słyszeli kroki wyprowadzanych na egzekucję, zatrzymywano się przy ich drzwiach. Zdążyli się nawet pożegnać, sadząc, że i po nich przyjdą. I przyszli. Wyczytali po kolei nazwiska, zmierzili ich wszystkich wzrokiem i na odchodne padło słowo: dobranoc.

Później był jeszcze jeden dramat z Frógiem – „Szczerbcem”. Ja w tym czasie już byłem ulaskawiony. Karę śmierci darowano także wysokiemu rangą esesmanowi. Był on bodajże szefem kancelarii Greisera [Arthur Greiser – namiestnik Rzeszy w Kraju Warty].

Wojewo niemieckiego, ostatnio zatrudnionego Urząd Wojewódzki Wrocław, wyd. III Pomiarow, na stanowisku kieszalnemu topografa, b, partyjnego, ze słow nie karzonego, ostatnie zamieszkałego wias Długoleka, Nr. 123 pow. Ulesnica.

U S T A N I A

ze CHOJNACKI Mieczysław s. Mieczysława w roku 1946 był członkiem nielegalnej organizacji ROAK, działającej na terenie powiatu Sierpc, będący w organizacji brał udział w szeregu napadach na urzędy państwowe, w roku 1948: będąc nałaj wrogo ustosunkowany do ustroju ludowego w io łoga poleca bratu swemu CHOJNACKIMU Bogdanowi stworzyć na terenie nie osz. Nr. 1 nielegalna grupa podejrzanych.

Na podstawie powyższego na zasadzie art.102 § 1 i 103 K.W. P.K.

W N O S I E

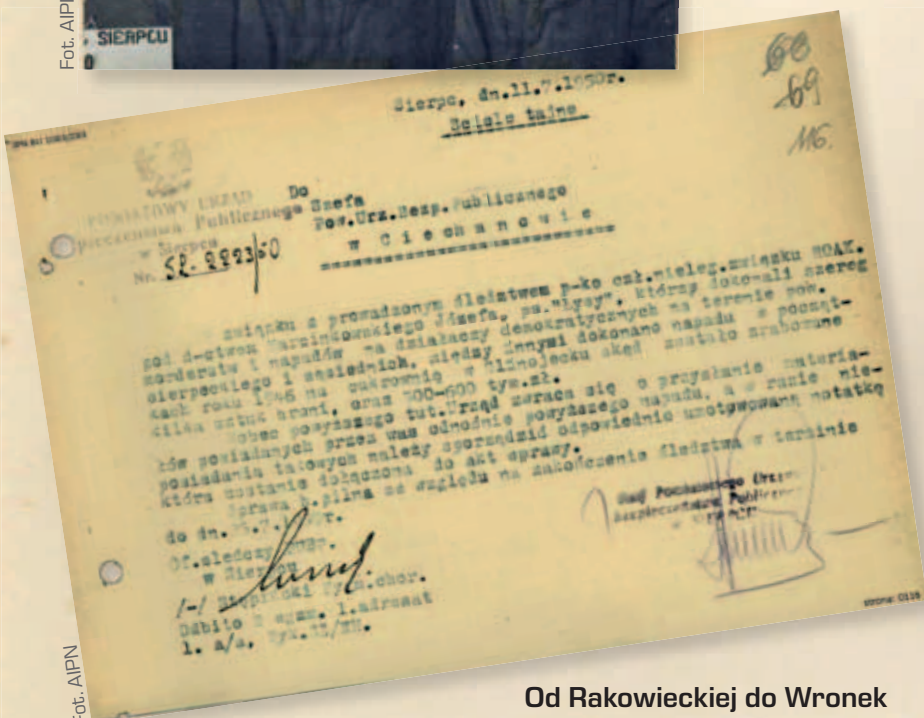
Do wojskowego Prokuratora Dow. 4 aby w stosunku do CHOJNACKI MIECYSŁAWA s. Mieczysława zastosował środek zapobiegawczy areszt tymczasowy z oświadczeniem u aresztu przewidyjnym Obr. Szarz. Inf. Sz. 4, oraz rewizje.



BOGDAN CHOJNACKI
IV.
- po
strona: 0007

Fot. AIPN

Fot. AIPN



Fot. AIPN

prezydenta. Przyjąłem to zupełnie zobojętniały, tak jak wtedy, kiedy pierwszy raz usłyszałem swój wyrok śmierci. Jedyne uczucie, które pamiętam, to zimno rozchodzące się po całym ciele.

[...] Dzień w celi rozpoczął się od pobudki. Na to przeznaczony był specjalny sygnał dawany na korytarzu – dzwonek taki jak w szkole. Dopóki spaliśmy na siennikach, trzeba było je od razu zbierać. Kurzyło się, tak jakby w celi była mgła. Potem myliśmy się – mieliśmy miskę z wodą. Potem sprzątanie. Rolę sprzątających pełnili niemieccy więźniowie. Następnie śniadanie. Dawano nam wodnistą kawę zbożową i 60 deka czarnego, wilgotnego chleba. Jeśli ktoś miał pieniądze, mógł zakupić w kantine cebulę, trochę cukru lub masło, jeśli było dostępne. Na kolację podawano to samo co na śniadanie. Natomiast na obiad serwowano, jak my to nazywaliśmy, morele na rzadko lub morele na gęsto – brukiew i nieoczyszczoną kaszę gryczaną. Do tego coś, co miało imitować grochówkę lub kapuśniak. W czasie świąt państwowych w kapuśniaku można było znaleźć nawet kawałek ziemniaka. Kiedy już mnie ułaskawili i przenieśli do innej celi, przysługiwał mi piętnastominutowy spacer na spacerniaku.

[...] Po ułaskawieniu spędziłem jeszcze około miesiąca w celi ogólnej, po czym przetransportowano mnie do więzienia w Rawiczu. W sumie w celi śmierci siedziałem od Wigilii do czerwca lub lipca; w tej chwili już nie pamiętam, w którym miesiącu mnie wywieziono. Z Rawicza przeniesiono mnie do Wronek. Łącznie w więzieniach siedziałem do 1955 roku [kara śmierci zamieniona na 15, a później 5 lat więzienia].

oprac. Piotr Wiejak
współpraca: Tomasz Sudol, Rafał Pękała

Od Rakowieckiej do Wronek

[...] Jeśli chodzi natomiast o moje ułaskawienie, to w tym także było trochę gry. Wartownik wywołał mnie z celi i zaprowadził do gabinetu naczelnika Grabickiego. Był tam obecny także więzienny oficer polityczny – Kominek. Naczelnik odczytał mi raz jeszcze wyrok śmierci zatwierdzony przez Sąd Najwyższy, a po chwili informację o ułaskawieniu przez

Wywołali nas trzech. „Szczerbca” wprowadzili, a nas zamknęli w innej celi, w której było wielu duchownych. Patrzyliśmy, ale Fróga nie poprowadzili na egzekucję. Nie wiem, gdzie go stracili, być może przystosowali do tego celu jakiś karcer. A stracili go na pewno, ponieważ znajduje się na liście.

Mieczysław Chojnacki
Signatura: N-0867/2014/2015
Czas trwania nagrania:
 około 7 godzin
 Archiwum Historii Mówionej BEP IPN,
 Rafał Pękała, Konrad Starczewski,
 Piotr Wiejak

Jarzębina czerwona

Jerzy Eisler

W niedzielę 13 grudnia 1981 roku po głównym wydaniu *Dziennika Telewizyjnego* miał zostać pokazany w pierwszym programie telewizji czwarty odcinek serialu historycznego *Józefina i Napoleon*, zatytułowany *Droga do tronu*. Jednak kilkanaście godzin wcześniej w całym kraju został wprowadzony stan wojenny. Zamiast popularnej produkcji francuskiej wyświetlono monumentalny film Ewy i Czesława Petelskich *Jarzębina czerwona*, opowiadający o krwawych walkach żołnierzy 1. Armii Wojska Polskiego o Kołobrzeg w marcu 1945 roku.



Fot. FilMOTEKA Narodowa

Postąpiło tak zresztą nie po raz pierwszy. Gdy bowiem w niedzielę 20 grudnia 1970 roku na stanowisku I sekretarza KC PZPR Władysława Gomułkę zastąpił Edward Gierek, wieczorem po jego inauguracyjnej przemowie do narodu telewizja wyemitowała zrealizowany przez Jana Rybkowskiego film *Album polski* – dwuczęściowy, bardzo państwowotwórczy w rozumieniu PRL. Miał on premierę kinową zaledwie siedem miesięcy wcześniej. Pokazując go ze względów propagandowych w telewizji, właściwie uniemożliwiono jego dalszą eksploatację w kinach, lecz takimi drobiazgami rządzący PRL zbytnio się nie przejmowali.

Pomnik dla generała, pokuta dla reżysera

13 grudnia 1981 roku, gdy tylko zapowiedziano *Jarzębinę czerwoną*, wyszedłem z pokoju – chociaż uważałem ją za jeden z najlepszych polskich obrazów wojennych – i aż do początków XXI wieku nie mogłem i nie chciałem więcej oglądać tego filmu. Nie zgadzam się przy tym z moim przyjacielem, Antonim Dudkiem, twierdzącym, że pokazanie *Jarzębiny czerwonej* w dniu proklamowania stanu wojennego było posunięciem

surrealistycznym, gdyż „ten film nijak się miał do tego, co się wówczas wydarzyło”. W rzeczywistości staliśmy się mimowolnymi świadkami początków budowania legendy generała Wojciecha Jaruzelskiego jako męża stanu, bohatera narodowego i wielkiego patrioty. Jej tworzeniu sprzyjał fakt, że niespełna dwudziestotrzyletni Jaruzelski brał udział w walkach o Wał Pomorski, ukazanych w *Jarzębinie czerwonej*.

Trudno także nie pamiętać, w jakiej atmosferze film ten został zrealizowany. Przypomnijmy więc, że miał on premierę 17 stycznia 1970 roku i został nakręcony po Marcu '68, gdy część twórców chciała, a nawet na swój sposób musiała odpracowywać swoje wcześniejsze artystyczne „błędy i zaniechania” właśnie takimi dziełami. Krytyk Alicja Lisiecka tę metamorfozę określiła dosadnie: „W roku 1968 film polski stał się transmisją wojennej chwały kilku generałów”. To właśnie niedługo po Marcu powstały m.in. takie filmy jak *Kierunek Berlin* i *Ostatnie dni* w reżyserii Jerzego Passendorfera, *Jarzębina czerwona* czy wspomniany wyżej *Album polski*, którym Jan Rybkowski usiłował zatuszować w oczach władz złe wrażenie wywołane obrazem *Kiedy miłość była zbrodnią* – *Rassenschande*, zrealizo-

wanym w koprodukcji ze spółką zachodniobrzeńską i wycofanym z polskich kin w marcu 1968 roku (po paru tygodniach od premiery). Film ten opowiadał o zakazanych przez hitlerowskie prawo związkach erotycznych Niemców z ludźmi innych narodowości i ras, w tym z Żydami, co nie bardzo pasowało do panujących w Polsce w 1968 roku nastrojów „antysyjonistycznych”.

Wydaje się, że także Petelski starał się poprawić własne notowania u partyjnych decydentów. Chociaż w kierowanym przez niego Zespole Realizatorów Filmowych „Iluzjon” zrealizowano w poprzednich latach m.in. takie słuszne, z punktu widzenia rządzących, filmy jak *Barwy walki* Jerzego Passendorfera, to jednak jako członek egzekutywy partyjnej w kwietniu 1968 roku reżyser złożył samokrytykę za złą organizację pracy w „Iluzjonie”. Filmoznawca Krzysztof Kornacki przypomina, że niespełna pięć miesięcy później w czasie posiedzenia Rady Programowej tego zespołu Petelski informował o kilku wcześniejszych projektach dotyczących bitwy kołobrzeszkiej. Nie wyszły one jednak poza sferę planów wewnątrz „Iluzjonu”. Ostatecznie, przygotowując wraz z Waldemarem Kotowiczem scenariusz *Jarzębiny czerwonej*, Petelscy posłużyli się jego książką *Frontowe drogi*, odnoszącą się zresztą do walk 2. Armii Wojska Polskiego w rejonie Wrocławia, a nie na Pomorzu.

„Komunistyczne Monte Cassino”

Dla Petelskiego jednak nie ta różnica geograficzna była najważniejsza; dla niego większe znaczenie miały dwie sprawy. Po pierwsze, walki o Kołobrzeg niemal w całości zostały stoczone przez Wojsko Polskie. Po drugie, ta jedna z największych bitew z udziałem polskich żołnierzy w całej II wojnie światowej była zwycięska. Reżyser chętnie zestawiał więc Kołobrzeg z Monte Cassino. Tymczasem Piotr Zwierchowski, znawca nie tylko „kina nowej pamięci”, utrzymuje, że przynależące do tego nurtu filmy, w tym także *Jarzębina czerwona*, „głosiły militarną chwałę wojsk polskich przybyłych ze wschodu. Co ważne, na ekranie pojawiała się armia umundurowana, a przeprawa przez Odrę i marsz na Berlin, jak również walki o Kołobrzeg, pozwalały pokazać wojsko uzbrojone, z ciężkim sprzętem. Z jednej strony wpisywało się to w polską tradycję militarną i kult munduru, z drugiej działania te ukazywano jako swoiste zaprzeczenie sytuacji z września 1939 roku. Kino miało pełnić również funkcję terapeutyczną, koić polskie kompleksy. Chwałebny wizerunek polskiego żołnierza, który doszedł do Berlina i odniósł ostateczne zwycięstwo, nie wynikał rzecz jasna jedynie z potrzeb politycznych, ale był również odpowiedzią na oczekiwania przynajmniej części widzów”.

Z kolei cytowany już Kornacki, skupiając się na innych aspektach całej sprawy, stwierdza: „»Jarzębina« to nazwa kompanii, na której autorzy skoncentrowali w fabule swoją uwagę, »czerwona« zaś – oczywiście ze względu na krew. Tak samo jak słynne maki. Warto podkreślić: tam i tu niewin-

na flora stawała się symbolem polskiego męczeństwa. Można więc założyć, że *Jarzębina czerwona* miała kreować legendę »komunistycznego Monte Cassino«. Otwierająca film piosenka (do słów Andrzeja Jareckiego i muzyki Jerzego Maksymiuka) wyraźnie łączyła przyrodę (kwiat jarzębiny) i krew [...] tytuł niósł jeszcze jedną filiację – z popularną rosyjską pieśnią, którą w Polsce powszechnie znano pod nazwą *Jarzębina czerwona*. Wpisywało to subtelnie losy kompanii należącej do 1. Armii Wojska Polskiego w szerszy radziecki kontekst”.

Jak widać, badacze filmu mają pewien fundamentalny problem z dziełem Petelskich, a właściwie z samą historią. Problem ten sprowadza się w istocie do pytania, czy z punktu widzenia ówczesnej peerelowskiej racji stanu – niezależnie od realiów historycznych – lepiej było pokazywać, że sami (my, Polacy!) wygraliśmy tę wojnę, czy też jedynie – zgodnie ze stanem faktycznym – ukazywać nas jako „mniejszych i słabszych braci” niezwykłej Armii Czerwonej. Naturalnie, ta pierwsza wersja była miła wielu Polakom, w tym także narodowym komunistom w PZPR, ale trudna do

► Podporucznik Wiktor Kotarski (Andrzej Kopiczyński) i chor. Jerzy Kręcki (Władysław Kowalski)



Fot. FilMOTEKA Narodowa

zaakceptowania przez „radzieckich towarzyszy”. Ta druga była oczywiście do przyjęcia przez Sowietów, lecz nie zaspokajała polskich ambicji.

Uciec przed pacyfizmem

Ekranizacja bitwy o Kołobrzeg niosła ze sobą jeszcze jeden ważny problem. Byli tego w pełni świadomi współscenarzyści. Petelski na posiedzeniu Rady Programowej „Iluzjonu” przypominał, że początkowo nie przewidywano obrony Kołobrzegu i „wojsko zostało tam rzucone bez odpowiedniego rozeznania”. Waldemar Kotowicz posuwał się dalej: „Nie wiem – mówił – czy byłoby to wychowawcze dla młodego pokolenia, gdybyśmy pokazali, jak masami ginęli nasi ludzie”. Do dzisiaj bowiem uważa się (zresztą już wtedy stosunkowo wielu rzetelnych historyków było takiego zdania), że ze względu na radziecką taktykę walki (sposób prowadzenia natarcia nie liczący się z żadnymi kosztami) bitwa o Kołobrzeg czy, szerzej rzecz ujmując, bitwa o Wał Pomorski przyniosła ogromne, niczym nieuzasadnione straty w ludziach.

Jak się wydaje, twórcy filmu skoncentrowali się na jednej kompanii, aby w ten sposób nieco złagodzić wymowę tego faktu. Petelski przyznawał także, że sporo nakręconego materiału ostatecznie nie weszło do filmu. W opublikowanej w miesięczniku „Kino” rozmowie z Lechem Pijanowskim reżyser tłumaczył: „Makabra prowadziłaby do niebezpiecznej sprawy: automatycznego pacyfizmu”. Niemniej o sukcesie filmu przesądziły dwa elementy. Po pierwsze, doborowa obsada aktorska.

Na ekranie możemy podziwiać Andrzeja Kopiczyńskiego, który ogromną popularność zdobędzie dopiero w latach siedemdziesiątych za sprawą tytułowej roli w serialu *Czterdziestolatek*, Andrzeja Łapickiego, Władysława Kowalskiego, Wacława Kowalskiego, Zdzisława Maklakiewicza, Stefana Friedmanna, Mieczysława Stoora i Franciszka Trzeciaka. Lektorem był, zaczynający dopiero wielką karierę, obdarzony pięknym głosem Piotr Fronczewski. Jednak drugi czynnik był bodaj jeszcze ważniejszy. Mam na myśli zupełnie wyjątkowe, nie tylko w polskim kinie, sceny batalistyczne.

Trzydzieści lat przed Spielbergiem

Całkowicie zgadzam się z Kornackim, który tak pisał na ten temat: „Rzadko który rodzimy film wiarygodnie prezentował to, co stanowi istotę żołnierskiej »profesji« w czasie wojny – fizyczny (niemal fizjologiczny) koszt atakowania pozycji wroga. Ten wysiłek oddany został w sposób przekonywający dzięki zastosowaniu paradokumentalnej, reportażowej formuły inscenizacji walk z perspektywy żołnierskiego okopu, w znakomitym funkcjonalnym zestrojeniu pracy operatora, scenografa i pirotechnika. Operator (Krzysztof Winiewicz) kaskadę wybuchów filmuje z bliska bądź transfokatorem, co pozwala oddać realną siłę eksplozji. W partii zdobywania koszar dominuje błoto i rozrzucona ziemia, w partii walk ulicznych – huk, odłamki, dym i gruz”. Rzeczywiście, efekt na ekranie jest imponujący. Nie przypominam sobie jednak, żeby kiedykolwiek w polskim filmie – niezależnie od wspierających ich pracę grupy saperów – na stałe na planie filmowym przebywało dwóch doświadczonych pirotechników (a tutaj byli to Aleksiej Karpowicz i Mieczysław Garwacki) oraz przynajmniej siedmiu kaskaderów. Za sprawą tych wszystkich ludzi widz stale ma wrażenie, że znajduje się w środku ukazywanych wydarzeń, że to on biegnie, strzela, rzuca granatem, raz po raz pada i czołga się w błocie.

W jakimś sensie – jakkolwiek obrazoburczo by to brzmiało – Petelscy na tym polu o niemal trzydzieści lat wyprzedzili samego wielkiego Stevena Spielberga z jego niezapomnianą, genialnie sfilmowaną sekwencją lądowania żołnierzy amerykańskich w Normandii w *Szeregowcu Ryanie*. Niestety, w przeciwieństwie do amerykańskiego reżysera i współpracującego z nim polskiego operatora Janusza Kamińskiego, wyróżnieni w 1969 roku nagrodą ministra obrony narodowej I stopnia twórcy *Jarzębiny czerwonej* nie dysponowali barwną taśmą, co – jak się wydaje – obniżyło naturalistyczną wartość obrazu. 🇵🇱

prof. dr hab. Jerzy Eisler – historyk, dyrektor Oddziału IPN w Warszawie; zajmuje się dziejami PRL, a także najnowszą historią Francji i historią kina; autor m.in. *Polski rok 1968* (2006), *„Polskie miesiące”, czyli kryzys(y) w PRL* (2008), *Siedmiu „wspaniałych”. Poczet pierwszych sekretarzy KC PZPR* (2014)



AK i M16

– pierwsze starcie CZ. 3

Michał Mackiewicz

Niektórzy eksperci od broni strzeleckiej krytykują próby porównywania konstrukcji AK i M16: powstawały wszak w innym czasie, odmiennych warunkach i dostosowano je do różnych koncepcji prowadzenia walki. Wydaje się jednak, że nie ma to znaczenia. Karabiny te konkurowały bowiem na polu bitwy, stając się symbolami dwóch przeciwstawnych bloków militarynych.

Przyjęcie w 1947 roku automatu Kałasznikowa (AK) do uzbrojenia Armii Radzieckiej nie zakończyło jego doskonalenia, a proces uruchamiania produkcji w zakładach Iżmasz w Iżewsku okazał się drogą przez mękę. Szybko stwierdzono, że tłoczone komory zamkowe są podatne na odkształcenia (zanim Rosjanie opanowali ostatecznie technologię głębokiego tłoczenia, w Wołdze upłynęło jeszcze sporo wody...), wobec czego producent był zmuszony powrócić do frezowania. Wiele do życzenia pozostawiała celność broni oraz jej stabilność podczas prowadzenia ognia ciągłego. Mimo tych niedociągnięć nowy karabin okazał się perspektywiczny i w pełni odpowiadający radzieckiej koncepcji walki – może mało pre-

▶ Egzemplarz karabinu XM16E1 zdobyty na Amerykanach i подарowany „bratniemu narodowi polskiemu” przez Wietnamczyków w czasach PRL

czyzny, ale prosty, niezawodny i o bardzo dużej sile rażenia na dystansie do 400 m (co zawdzięczał doskonałemu naboju 7,62x39 mm) – wprost idealny dla słabo przeszkolonych strzelców, rzucanych do falowych natarć za pancernym walcem...

Z kałachem przeciwko kontrrewolucjonistom

Najpierw nowa broń trafiła na uzbrojenie elitarnych dywizji gwardyjskich (zmotoryzowanej Tamańskiej i pancerniej Kantemirowskiej), a także jednostek Ministerstwa Spraw Wewnętrznych (MWD) i Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego (MGB) – odpowiedzialnych za zabezpieczenie stolicy ZSRR. Dopiero po kilku latach w kałasznikowy zaczęto wyposażać pierwszoliniowe oddziały stacjonujące na zachodniej rubieży bloku komunistycznego – w Niemczech Wschodnich i Austrii (w tej ostatniej Armia Radziecka stacjonowała do 1955 roku). W 1955 roku zdecydowano o uzbrojeniu wszystkich żołnierzy w AK, wycofując jednocześnie z jednostek samopowtarzalne SKS-y.

W ZSRR wszystko było tajne (nie inaczej było z AK, którego powstanie próbowano ukryć przed światem), dlatego też debiut bojowy automatu Michała Kałasznikowa budzi pewne wątpliwości. Nie przesądzając definitywnie tej ▶

▶ Automat Kałasznikowa z kolbą drewnianą (produkcja polska)

kwestii, należy zaznaczyć, że nie ma jak dotąd żadnych przesłanek pozwalających identyfikować go z konfliktem w Korei. Być może jacyś radzieccy żołnierze dysponowali nim podczas tłumienia rewolty w Berlinie (1953 rok), ale pierwszym w pełni udokumentowanym bojowym epizodem z udziałem AK jest powstanie węgierskie w 1956 roku. Rosjanie ponieśli w trakcie walk dość duże straty i sporo sprzętu dostało się w ręce Węgrów – potwierdzają to m.in. zdjęcia. To właśnie z Węgier przemycono na Zachód pierwsze egzemplarze AK.

Przełomowy rok 1963

Gdy w pierwszej połowie lat sześćdziesiątych konflikt w Wietnamie nabierał rozpędu, radziecki AK mógł uchodzić za konstrukcję w pełni dojrzałą (w 1956 roku uruchomiono produkcję zmodernizowanej wersji – AKM, w której m.in. powrócono do tłoczonej komory zamkowej). Nie można natomiast powiedzieć tego samego o jego konkurencie, czyli karabinie M16. Choć perypetie związane z przyjęciem tej broni do uzbrojenia amerykańskich sił zbrojnych (US Armed Forces) wypełniłyby strony opasłego tomu, dość powiedzieć, że

► Wilgoć, błoto i wysokie temperatury panujące w Wietnamie okazały się sporym wyzwaniem dla M16 – karabin wymagał starannej konserwacji

w 1963 roku został ostatecznie podpisany kontrakt z Coltem na dostarczenie partii karabinów Eugene'a Stonera dla Sił Powietrznych (US Air Force), Armii (US Army) i Korpusu Piechoty Morskiej (US Marine Corps). Co warto podkreślić, kontrakt opiewający na przeszło 13 mln dol. (ponad 100 tys. karabinów) był rozwiązaniem tymczasowym – siły zbrojne miały bowiem zostać docelowo uzbrojone w karabin nowej generacji, dostosowany do tzw. amunicji strzałkowej (program SPIW, czyli *Special Purpose Individual Weapon*); ponieważ z tego programu nic nie wyszło (został zarzucony w 1972 roku), a z M14 zrezygnowano ostatecznie w roku 1963, M16 stał się siłą rzeczy standardową bronią armii amerykańskiej (i jest nią do dzisiaj). Ale początki służby okazały się nadspodziewanie problematyczne.

Pierwsze bojowe doświadczenia nie wróżyły jeszcze niczego złego, z broni byli zadowoleni zarówno żołnierze armii południowowietnamskiej (partię AR-15 dostarczono im przez amerykańskich tzw. doradców wojskowych – Military Assistance and Advisory Group, Vietnam), jak i Australijczyki wspierający w 1963 roku na Borneo Malezyjczyków walczących z Indonezyjczykami. Tymczasem w 1964 roku rozpoczęły się dostawy seryjnych M16 dla armii amerykańskiej i rok później w Wietnamie pojawiły się pierwsze wielkie jednostki (w tym powietrznodesantowe) uzbrojone w karabin skonstruowany przez Stonera. W wojskowej nomenklaturze symbolem M16 oznaczono karabin w wersji dla Sił Powietrznych, armia zaś przyjęła go jako XM16E1 (dopiero w 1967 roku nazwa zmieniła się oficjalnie na M16A1) – różnica polegała na zastosowaniu (osadzonego z prawej strony komory zamkowej) tzw. dosyłacza zamka (rączka przeładowania nie była sztywno połączona z zespołem suwadło-zamek, dlatego też nie było możliwości jego ręcznego dopchnięcia, np. w razie zakleszczenia wskutek zanieczyszczeń). Liczba XM16E1 w Wietnamie szybko się zwiększała, a o nową broń zabiegał głównodowodzący, gen. William Westmoreland.



Wietnamski test

Kiedy amerykańscy żołnierze ruszyli wreszcie do intensywnych walk w dżungli, doszło niemal do katastrofy. Choć jeszcze w toku produkcji wprowadzono liczne poprawki (przynajmniej kilkanaście), karabin okazał się zupełnie nieprzystosowany do służby w trudnych azjatyckich warunkach klimatycznych. Przyczyna tkwiła przede wszystkim w amunicji, a zwłaszcza w złym gatunku prochu, który pozostawiał po sobie nadmiar nagaru w rurze gazowej (jak pamiętamy, w karabinie Stonera nie było tłoka, gazy parły na suwadło bezpośrednio przez cieniutką rurkę), powodując unieruchomienie mechanizmów. Nadmierna szybkostrzelność, przekraczająca 900 strzałów na minutę, wpływała na złą pracę urządzenia powrotnego. Do tego dochodziła szybka erozja komory nabojeowej, co z kolei przekładało się na problem z ekstrakcją łusek. M16/XM16E1 wymagał starannej pielęgnacji, tymczasem naprędce wysłani do Wietnamu żołnierze nie zostali dostatecznie przeszkoleni w obsłudze broni (ćwiczyli się na M1 i M14 – nowe karabiny poznawali dopiero... na statkach!), a zestawów czyszczących (notabene nieodpowiednich!) było jak na lekarstwo. Wszystko trąciło prowizorką...

Konflikt wietnamski był pierwszą wojną medialną, dlatego nie powinno dziwić, że do M16 błyskawicznie przylgnęła zła opinia, a cała sprawa otarła się o komisję śledczą w Kongresie. Mogłoby się wydawać, że radziecki AK (w Azji w zasadzie jego chińska kopia, czyli karabin Typ 56) jest bezkonkurencyjny – niezbyt celny, ale za to autentycznie niezawodny, odporny na wszelkie trudy frontowej służby, a do tego – dzięki amunicji – nieoceniony w walce na bliskim dystansie, i to zarówno w tropikalnej płataninie (cięższy pocisk nie wytracał tutaj tak łatwo energii), jak też miejskich zakamarkach, czego dowiodły walki podczas tzw. ofensywy Tet. Dodatkową zaletą kałacha był pojemniejszy, trzydziestonabojowy magazynek (w M16 – dwudziestonabojowy).

Na szczęście dla Amerykanów potencjał tkwiący w M16 nie został zaprzepaszczony. Jeszcze w trakcie konfliktu niemal

► Amerykański żołnierz w Wietnamie prezentuje chińską kopię radzieckiego AK – karabin Typ 56



większy zasięg ognia skutecznego (460 m wobec 350 m); zresztą tą samą drogą poszli w końcu i Rosjanie, wprowadzając w 1974 roku nowego AK kal. 5,45 mm, czyli AK-74. M16A1 bił kałacha także pod względem celności (mniejszy rozrzut pocisków), choć tutaj równie duże

wszystkie niedomagania zostały usunięte, do czego przyczyniły się zarówno zmiany konstrukcyjnie (m.in. udoskonalone urządzenie powrotne), nowa amunicja (firma Winchester opracowała wreszcie odpowiedni proch), chromowanie wewnętrznych mechanizmów oraz intensywne szkolenie żołnierzy, których wyposażono w odpowiednie zestawy do czyszczenia. Opracowano także trzydziestonabojowe magazynki. Można wątpić, czy jakikolwiek G.I. zamieniłby na kałacha swój *Mattel toy rifle* (popularna nazwa karabinu, niejedyna zresztą, nawiązująca do słynnej firmy zabawkarskiej, wynikała z futurystycznego wyglądu broni Stonera). Owszem, radziecka broń nie wymagała tak dużej troski i w pewnych warunkach mogła mieć więcej atutów (walka na mniejszym dystansie), ale amerykański karabin był dużo nowocześniejszy. Wykonany z aluminium lotniczego i tworzywa sztucznego (ze stali były jedynie lufa, zamek i suwadło oraz rura gazowa), cechował się niewielką masą (tylko 3,6 kg z pełnym magazynkiem, AK – 4,8 kg), a małokalibrowa amunicja w połączeniu z dłuższą lufą zapewniała zdecydowanie

znaczenie miało indywidualne wyszkolenie strzelca. Walory użytkowe są oczywiście kwestią subiektywną, ale należy zaznaczyć, że liniowy układ amerykańskiego karabinu jest znacznie doskonalszy (kwestia podrzutu broni).

AK i M16 stanowiły odzwierciedlenie techniczno-cywilizacyjnej kondycji obu mocarstw i spełniły pokładane w nich nadzieje. Kałasznikow okazał się prostym i niezawodnym narzędziem walki w rękach słabiej wyszkolonego – a często i o niskiej kulturze technicznej – żołnierza czy raczej partyzanta, niewymagającego nadmiernej wygody i precyzji strzału. Twórca M16 postawił sobie inne cele, chcąc stworzyć broń uniwersalną, łatwą w modernizacji i prostą do fabrykacji, zapewniającą żołnierzowi komfortowe „warunki pracy” oraz dużą szybkostrzelność i precyzję. Ostatecznie zamiar Stonera powiódł się całkowicie. 🍀

Michał Mackiewicz – archeolog, pracownik Działu Historii Wojskowości Muzeum Wojska Polskiego; zajmuje się historią wojen i uzbrojenia oraz archeologią militarną; autor licznych artykułów o tematyce historycznowojennej, współautor książki *Kirchalm-Kluszyn, zwycięstwa husarii* (2011)

Orły zwane karpackimi

Tomasz Zawistowski



Fot. ze zbiorów autora

► Orzeł karpacki, wyrób wiedeńskiej firmy Schöffler & Braun – pamiątka po Henryku Szczyglińskim, ułanie II Brygady Legionów, malarzu i grafiku

Dokładnie sto lat temu, w marcu 1915 roku, wiedeńska firma grawerska Friedrich Schöffler & Robert Braun uruchomiła produkcję jednego z bardziej znanych typów orła legionowego. Było to jedno z pierwszych zamówień nowo powołanego w Wiedniu Centralnego Biura Wydawnictw NKN. Wzór ten, którego tarczkę wewnętrzną zdobił oczywiście monogram „L”, zyskał szczególną popularność w II Brygadzie Legionów Polskich, zwanej od terenu jej pierwszych walk – karpacką. Miano Brygady zostało powiązane z ulubionym przez jej żołnierzy godłem, wskutek czego do dziś jest ono znane i rozpoznawane jako orzeł karpacki.

Wielka Wojna na froncie galicjijskim rozpoczęła się od wydarzeń, które Jaroslav Hašek trafnie nazwał „przesławnym laniem”. Wojska austro-węgierskie zostały w ciągu miesiąca wyrzucone z prawie całej Galicji, a przełęcz karpackie, stanowiące wrota do nieprzygotowanych do obrony ziem korony węgierskiej, wpadły w ręce moskiewskie. Cesarsko-królewskie dowództwo zaczęło łątać dziury w pękającym froncie. Pułki Legionów Polskich, nie w pełni jeszcze sformowane i wyposażone, zostały zawagonowane i – ku zdumieniu i niechęci żołnierzy – wysłane na północne Węgry.

Józef Sitko, legionista 3. pp, zanotował: „mamy wyjechać na Węgry. Jedni twierdzą, że wyjeżdżamy na dalsze cwi-

czenia pod Koszyce, inni – że na front, pod Marmarosz-Sziget [właśc. Máramarosziget].

Z wiadomościami temi skończyła się nadzieja wyjazdu do Królestwa Polskiego i połączenia się z Piłsudskim”. Na przełomie września i października ok. 9 tys. legionistów przerzucono na front.

Pierwszym zadaniem, które otrzymali legioniści na Węgrzech, było wyparcie wroga z komitatu marmaroskiego. Sukces słabo uzbrojonych,

lecz silnie zmotywowanych oddziałów pozwolił na odzyskanie kluczowej przełęczy Rogoź Wielkiej, położonej w paśmie Gorganów, która z czasem miała zyskać nazwę Przełęczy Legionów. Kolejne miesiące

zimowych zmagania z wrogiem i naturą w trudnym, górzystym terenie sprawiły, że żołnierze Brygady zaczęli ją nazywać żelazną lub karpacką. Mimo trudów kampanii dobry humor ich nie opuszczał. Według zawartej w kronice działań bojowych 2. pp relacji Mieczysława Smorawińskiego, późniejszego generała Wojska Polskiego, a podówczas chorążego i dowódcy plutonu, żołnierze niemający soli ani sprzętów kuchennych otrzymali 15 października pościartowane mięso wołowe, którego część upiekli na wolnym ogniu, a resztę musieli porzucić. Na jednym z głazów, którymi przykryto pozostałości kłopotliwego prowiantu, napisano: „Tu leżą kości I Batalionu”.

Chociaż nazwy II Brygady używano jeszcze przed wysłaniem jej pododdziałów na Węgry, to ofi-

▶ Kapral 11. Pułku Ułanów Legionowych z orłem karpackim na czapce; zdjęcie z okresu wojny polsko-bolszewickiej



Fot. ze zbiorów autora



▶ Zdzisław Dunin-Wąsowicz z 4. Baterii Artylerii Polowej – legionista I Brygady noszący orła karpackiego; poniżej orła znaczek z wizerunkiem Komendanta Piłsudskiego

cialne zatwierdzenie jej etatu nastąpiło dopiero wiosną 1915 roku – po przeniesieniu jej na front bukowińsko-besarski. W jej skład weszły 2. i 3. pułk piechoty, 2. i 3. szwadron kawalerii oraz służby pomocnicze. Bodaj najgłośniejszym elementem kampanii bukowińskiej stała się szarża ułanów rtm. Zbigniewa Dunin-Wąsowicza, której celem było wyparcie Moskali z pozycji we wsi Rokitna. Poległych w szarży pochowano w Rarańczy. Do okopów wokół tej miejscowości legioniści Karpackiej Brygady mieli w zupełnie nieoczekiwanej sytuacji powrócić za dwa lata.

Friedrich Schäffler i Robert Braun

Wymarsz Kompanii Kadrowej 6 sierpnia 1914 roku oraz powstanie Naczelnego Komitetu Narodowego i Legionów Polskich to wydarzenia stanowiące fundament czynu legionowego, najważniejszego w dziejach ▶





▶ Miniaturowe orły produkcji firmy Schöffler & Braun; rysunek wyraźnie wzorowany na orle karpackim

polskich formacji zbrojnych w okresie poprzedzającym odzyskanie niepodległości. Ośrodkiem tych zdarzeń był Kraków, w którym mundurowano pierwsze oddziały i produkowano po rozbiorowej przerwie pierwsze polskie orły wojskowe. Dzisiejszy punkt widzenia, który lokuje Kraków niecałe trzy godziny podróży koleją od Warszawy i o dwa kroki od Śląska, połączonego z nim autostradą A4, znacząco odbiega od ówczesnej geografii. Gdy w listopadzie 1914 roku intendentura Departamentu Wojskowego NKN została przesunięta z Krakowa zagrożonego przez moskiewską ofensywę do śląskiego Trzyńca, okazało się, że najbliższą – w rozumieniu stopnia rozwinięcia dróg komunikacji – aglomeracją przemysłową jest Wiedeń.

Właśnie w Wiedniu, w marcu 1915 roku, na zlecenie Departamentu Skarbowego NKN, założone zostało Centralne Biuro Wydawnictw NKN. Jego organizatorem i dyrektorem artystycz-

ny był Antoni Procajłowicz, profesor Szkoły Przemysłowej w Krakowie. Działalność CBW NKN nie ograniczała się do publikacji druków ulotnych i zwartych, lecz obejmowała również szeroki zakres wyrobów metalowych. Znalazienie producenta, który podjąłby się produkcji oznak i orłów nie było w cesarsko-królewskiej stolicy trudne.

Z tego właśnie powodu od późnej jesieni 1914 roku zakłady grawerskie cesarsko-królewskiej stolicy produkowały tak wiele odmian polskich orłów.

Najważniejszym bodaj pośród wiedeńskich dostawców DW NKN była firma Friedrich Schöffler & Robert Braun. Założona w roku 1879 przez J. Schöfflera [prawdopodobnie ojca lub stryja Friedricha – przyp. red.], w 1894 przeprowadziła się pod swój docelowy adres: Neubaugasse 60 w VII dzielnicy Wiednia. Już wówczas dysponowała nowoczesnym i bogatym parkiem maszynowym, umożliwiającym realizowanie wy-

sokonakładowych zamówień wyrobów odkuwanych matrycowo. W początkach XX wieku prosperowała bardzo dobrze, lecz pogarszający się stan zdrowia ówczesnego właściciela zmusił go do przyjęcia do spółki dotychczasowego pracownika, Roberta Brauna, wskutek czego od roku 1911 firma działała pod nazwą Friedrich Schöffler & Robert Braun. Schöffler zmarł w czasie wojny, pozostawiając zakład w rękach współnika.

Najcenniejszym znanym obecnie źródłem wiedzy o polskich wyrobach firmy Schöffler & Braun jest zachowany inwentarz matryc, zawierający daty ich wykonania. Dzięki niemu wiadomo, że pierwszy kontrakt na polski wyrób został zrealizowany w marcu 1915 roku. W okresie dalszej współpracy z Intendenturą DW NKN, a także po rozwiązaniu Legionów, aż do sierpnia 1920 roku firma Schöffler & Braun produkowała blisko pięćdziesiąt polskich oznak i medali.



▶ Matryce do produkcji miniaturowych orłów; widoczna sygnatura „SCHÖFFLER”

Pierwszym polskim wyrobem, zamówionym w marcu 1915 roku w firmie Schäffler & Braun przez Centralne Biuro Wydawnictw NKN z przeznaczeniem dla Intendentury DW NKN, były właśnie orły karpackie. Ze względu na estetyczny wygląd i solidność wykonania zamówienie na nie było kilkakrotnie ponawiane; mimo że nie znamy łącznego nakładu, wiadomo, że powstało przynajmniej kilka serii produkcyjnych, różniących się grubością blachy i rodzajem zaczepu. Wszystkie egzemplarze były starannie wykończone – w zasadzie nie spotyka się orłów z błędami produkcyjnymi, a te nierzadko zdarzają się wśród innych typów godeł.

Oryginalny projekt orła karpackiego został jeszcze kilkakrotnie wykorzystany przez firmę S&B. W tym samym 1915 roku uruchomiono produkcję miniaturowych orłów z monogramami „L” i „S”, które były sprzedawane przez NKN jako biżuteria patriotyczna w cenie 1 korony za sztukę. Odzyskanie przez Polskę niepodległości nie zerwało więzi handlowych z Wiedniem; w roku 1919, gdy nikt nie nabywał już orłów z legionowym monogramem, firma S&B wprowadziła na rynek wersję zmodyfikowaną, pozbawioną litery L, a uzupełnioną otwartą koroną na głowie orła. W tym samym roku rozpoczęto też produkcję miniatur, w których oprócz korony na głowie orła występowała druga korona, kuriozalnie umieszczona w polu tarczy amazonek.

Historia kołem się toczy

W październiku 1915 roku wyczerpane karpackimi bojami pułki II Brygady Legionów opuszczały Bukowinę i udawały się na Wołyń, gdzie miało w końcu nastąpić długo oczekiwane połączenie z oddziałami Komendanta Piłsudskiego. Na Wołyniu Legiony osiadły na ponad pół roku i zbudowały słynne Legionowo, skąd wreszcie zostały wyparte przez ofensywę Brusilowa. Później nastąpił przejazd do Królestwa Polskiego i kryzys przysię-



Fot. ze zbiorów autora



Fot. ze zbiorów autora

► Znaczek pamiątkowy NKN produkcji firmy Schäffler & Braun; na rewersie sygnatura z adresem *Neubaugasse 60*

gowy, który doprowadził do rozbitcia Legionów.

Pułki II Brygady stały się główną siłą Polskiego Korpusu Posiłkowego, który c.k. dowództwo skierowało jesienią 1917 roku na Bukowinę – w te same strony, w których toczyły walki dwa lata wcześniej. Tam właśnie do legionistów dotarła hiobowa wieść o podpisaniu 9 lutego 1918 roku traktatu brzeskiego, na mocy którego państwa centralne m.in. przekazały Ukrainie ziemię chełmską.

Nowiny dotarły do oddziałów 12 lutego. Tego samego dnia odbyło się zebranie wyższych oficerów, na któ-

rym postanowiono o zbrojnym przejściu oddziałów polskich przez linię frontu, aby połączyć się z Korpusem Polskim gen. Józefa Dowbór-Muśnickiego, mimo braku dokładnych danych o jego położeniu. 15 lutego, pod pozorem ćwiczeń polowych, Polski Korpus Posiłkowy wyruszył w stronę frontu.

Oddziały natknęły się na Austriaków, którzy dostali rozkaz zatrzymania korpusu. Nastąpiła chwila wahania, cały plan stanął pod znakiem zapytania. Maszerująca w szpicie 9. kompania zaczęła się wycofywać. Negocjacje z austriackim oficerem podjął dowódca polskiej 11. kompanii. „Pytałem więc: *Was für Halt*, na co otrzymałem odpowiedź: *Ich habe Befehl, sie zu halten*. Ja na to już po polsku odpowiedziałem, że »Ja mam taki sam rozkaz, ale maszerowania w przód, zresztą kto ma prawo mi tu rozkazywać«; otrzymałem wówczas odpowiedź: *Ich, Hauptmann...* (i tu nastąpiło nazwisko). Ton odpowiedzi był taki, że bez namysłu spowodował moją odpowiedź: *Ich, Oberleutnant Boruta* i bezpośrednio potem strzeliłem mu ze Stayera [właśc. steyra] w twarz”. 11. kompania uderzyła bagnetem na niedawnych sojuszników, którzy pierzchli – nieprzygotowani na tak gwałtowny rozwój wydarzeń. Opis ten zawarł w swoich wspomnieniach Mieczysław Boruta-Spiechowicz, późniejszy generał Wojska Polskiego. Wraz z resztą swego batalionu 11. kompania osłaniała przejście pułków 2. i 3. przez rzekę Rokitniankę i opuszczone za nią, a doskonale znane sprzed dwóch lat okopy rosyjskie. Tę samą Rokitniankę, nad której brzegiem rtm. Dunin-Wąsowicz miał krzyknąć: „Dla polskiej kawalerii nie ma przeszkód!”, zanim przekroczył wąską, bagnistą rzeczkę o stromych brzegach, będącą granicą imperium moskiewskiego, za którą, zdałoby się tak blisko, czekały Kamieniec i Chocim. 🇵🇱

Tomasz Zawistowski – autor czterech tomów monografii polskiego orła wojskowego, urzędniczego i szkolnego *Polskie orły do czapek w latach 1900–1945*

07 zgłoś się, czyli gra o dobrym milicjancie

Karol Madaj

07 zgłoś się to planszówka wydana przez Telewizję Polską i firmę Phalanx. Ten duet zadebiutował, znaną czytelnikom „Pamięci.pl”, grą *Czas Honoru*. Tym razem nie wstąpimy do cichociemnych, lecz w szeregi Milicji Obywatelskiej, by wysilając szare komórki, powalczyć o tytuł najlepszego śledczego PRL.

Wprzesadnie dużym pudełku znajdziemy ponad dwieście solidnie wykonanych elementów do gry. Pośród typowych, takich jak karty, żetony czy drewniane znaczniki, jest także czternaście stylizowanych na pocztówki kart ze zdjęciami Warszawy z lat osiemdziesiątych. Te pocztówki, rozłożone na stole, tworzą planszę do gry. Są na nich m.in. Pałac Kultury i Nauki, Dworzec Centralny, Stadion Dziesięciolecia i hotel Victoria. Na tej czarno-białej planszy umieszczamy losowo żetony przestępstw oraz przestępców, dostajemy w dłoń akta sprawy, garść znaczników śladów i poszlak oraz kilka milicyjnych patroli na wypadek trudności w śledztwie. Je-



steśmy gotowi do tropienia kryminalistów.

W katalogu zbrodni, oprócz klasycznych pozycji takich jak morderstwa czy włamania, mamy także przestępstwa typowe dla PRL, takie jak handel dolarami czy spekulacja żywnością. Podczas gry naszym zadaniem jest jak najszybsze wskazanie podejrzanego, przestępstwa oraz miejsca jego popełnienia. Podczas dochodzenia możemy używać tylko wylosowanych kart dowodów, więc śledztwo nie zawsze będzie się układało po naszej myśli. W wypadku impasu możemy

wezwać patrol milicyjny. Koledzy w fiacie 125p pomogą w zbieraniu poszlak, ale nie zastąpią nas w gimnastykowaniu umysłu.

07 zgłoś się jest grą dedukcyjną, w której staramy się, przy jak najmniejszej liczbie „strzałów”, rozwiązać wieloelementową łamigłówkę. Rozwiązanie zna tylko nasz sąsiad i to on udziela nam wskazówek odnośnie do dalszego śledztwa. My z kolei mamy informacje poszukiwane przez innego gracza. Zasady są dość proste i poradzą sobie z nimi także początkujący gracze. Gdyby nie detektywistyczny klimat, gra przypominałaby wieloosobową wersję klasycznej gry *Mastermind*, w której posługujemy się wyłącznie kolorowymi pionkami, a do zwycięstwa są potrzebne odrobina szczęścia i sporo dedukcji.



Mimo abstrakcyjnej mechaniki gracze z wyobraźnią będą potrafili stworzyć odpowiedni nastrój, starając się odpowiedzieć na pytania: „Kto popełnił morderstwo w Domu Partii? Maxim czy Szybki?”, „Czy to nie Marlarz był odpowiedzialny za przemyt na Okęciu?”.

Warto tu wspomnieć, że *07 zgłoś się* doskonale sprawdzi się przy dwóch graczach. W tym wariancie zmieścimy się też w przewidzianym na pudełku godzinnym czasie rozgrywki. W pełnym pięcioosobowym składzie lepiej zarezerwować na grę dwie godziny. Na koniec wypada przestrzec fanów serialu o przygodach por. Borewicza. Nie ma w grze ani zdjęć bohaterów, ani słynnych cytatów filmowych. Podobnie jak w przypadku *Czasu honoru*, związek gry – będącej zresztą polską wersją *P.I. Martina Wallace'a* – z serialem jest symboliczny.

Czy podczas rozgrywki możemy się czegoś nauczyć? Z pewnością ćwiczymy logiczne myślenie i inne sprawności umysłowe, jednak – w przeciwieństwie do poprzedniej gry tych wydawców – historycznych informacji znajdziemy tutaj niewiele. Poznajemy wprawdzie geografie i architekturę Warszawy u schyłku epoki PRL, dowiadujemy się także, że „cinkciarstwo” miało związek z dolarami, a spekulacja z kartkami na mięso, ale jaki to był związek, musimy się już dowiedzieć sami. W tym sensie gra, podobnie jak popularny serial, do którego nawiązuje jej tytuł, są luźno związane z rzeczywistością PRL. Odbierane bez historycznej świadomości, będą wyłącznie rozrywką. Dopiero wnikliwie omówione mogą odsłonić elementy propagandy i detale obnażające naturę systemu komunistycznego. Ta świetna gra planszowa może stać się pretekstem do dyskusji. Bez tej rozmowy będzie jedynie odpoczynkiem od zdobywania wiedzy. ■

Karol Madaj – pracownik Biura Edukacji Publicznej IPN, współautor gier edukacyjnych IPN

OKIEM HISTORIA

Serial *07 zgłoś się* – popularny także dziś, niekiedy przesadnie określany mianem „kultowego” – jest niewątpliwie produktem swoich czasów. Nawet jeśli zarzuty, że powstał na zamówienie władz, aby poprawić wizerunek Milicji Obywatelskiej, nie są prawdziwe, to jego rola propagandowa nie może nie zostać zauważona. Poza tym, rzecz jasna, jest także źródłem historycznym, mówiącym coś – nawet jeśli w zniekształcony, propagandowy sposób – o latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych w PRL. Dlaczego więc nie wykorzystać marki serialu w grze planszowej?

Gra wyprodukowana przez Phalanx to jednak typowy przykład sprytnego – by nie powiedzieć: podstępnego – brandingu. Poza zbieżnością tytułu oba produkty, serial i gra, nie mają ze sobą wiele wspólnego. Wielbiciele por. Borewicza z pewnością będą rozczarowani: nawiązania do fabuły są żadne, nie pojawiają się też znane z ekranu postacie, brak choćby jakichś cytatów (nawet w formie ornamentu).

Ktoś mógłby pomyśleć, że zgodnie z reklamowym sloganem „Zostań najlepszym śledczym PRL!” gracze dowiedzą się czegoś o realiach świata przestępczego w Polsce Ludowej lub chociażby o warunkach życia w tamtych czasach. Nic bardziej mylnego. Sprawy o fałszerstwa, morderstwa czy kradzieże są przecież uniwersalne dla śledczych w każdym miejscu i czasie. Jedyne ślad peerelowski to sprawy o spekulację (chyba kielbasą – jak wynika z ilustracji) i cinkciarstwo (notabene banknot studolarowy na rysunku pochodzi z edycji, która pojawiła się w obiegu dopiero w 1996 roku!). Niewiele tego. Podobnie jak w serialu, gracze nie będą mieli do rozwikłania spraw o charakterze politycznym (a tym przecież zajmowały się służby w PRL). Zmuszenie graczy do wcielenia się w negatywnych bohaterów tropiących np. tajną drukarnię podziemnej Solidarności mogłoby być ciekawym doświadczeniem. Nie da się tu też dostrzec choćby próby pokazania przez twórców specyficznej – jakże momentami odmiennej w przypadku dzisiejszej policji – pozycji milicjantów w państwie „ludowym”. Sytuacji nie ratują też miejsca akcji. W założeniu miała to być Warszawa sprzed trzydziestu, czterdziestu lat. Tymczasem przywoływane w grze miejsca w większości istnieją do dziś (z wyjątkiem Stadionu Dziesięciolecia) i czasem tylko mają zmienioną nazwę i funkcję (jak Dom Partii czy hotel Forum). Niczego jednak charakterystycznego do gry nie wnoszą – ot, po prostu musiały być jakieś miejsca zdarzeń. Równie dobrze akcja mogłaby się toczyć w Krakowie czy Międzyzdrojach. Przeniesienie jej do San Francisco też nie wpłynęłoby znacząco na grę.

Podsumowując, pojawienie się marki agenta MO o kryptonimie „07” i sloganu zapewniającego o osadzeniu gry w realiach PRL to tylko zabieg marketingowy. To zaledwie powierzchowna dekoracja mechanizmu gry, która bez wpływu na treść mogłaby znaleźć się w pudełku z napisem *Kojak*, *Miami Vice* czy *Crime story*. Bo tak też jest w istocie: *07 zgłoś się* to po prostu nieco dopasowana do polskiego odbiorcy wersja wydanej w USA gry *P.I.*, której akcja rozgrywa się na ulicach Los Angeles.

Andrzej Brzozowski

Solidarność w pigułce

Ze strony historyków od dawna pojawiały się głosy, że brakuje dobrej, popularnonaukowej syntezy dziejów NSZZ „Solidarność”. Pomimo ciągłego postępu badań, mogliśmy sięgać tylko po opracowanie Jerzego Holzera, które liczy sobie już ponad trzydzieści lat i dotyczy jedynie okresu od sierpnia 1980 do grudnia 1981 roku.

Wypełnienia tej luki podjął się Jan Skórzyński swoją *Krótką historią Solidarności 1980–1989*. Skórzyński od wielu lat specjalizuje się w dziejach opozycji demokratycznej i Solidarności, jest autorem nagradzanych książek naukowych: *Sily bezsilnych* o Komitecie Obrony Robotników oraz monografii *Rewolucja Okrągłego Stołu*. Ma też osiągnięcia popularyzatorskie – jest autorem biografii Lecha Wałęsy, zatytułowanej *Zadra*. Od 2012 roku pracuje w gdańskim Europejskim Centrum Solidarności jako redaktor naczelny czasopisma „Wolność i Solidarność”.

Krótką historią... składa się z prologu i siedmiu rozdziałów. Narracja ma charakter chronologiczny, kolejne rozdziały są podzielone na części przedmiotowe, co pozwala na uwzględnienie całego bogactwa inicjatyw okołosolidarnościowych.

We wstępie autor przypomina Grudzień '70, zwracając szczególną uwagę na wydarzenia w Szczecinie, w których widzi pewne podobieństwa do tych z 1980 roku. Podaje syntetyczną receptę na przełom solidarnościowy. Składa się ona z trzech elementów: tradycji robotniczych buntów, aktywności opozycjonistów oraz pierwszej pielgrzymki Jana Pawła II do kraju, której skutków Skórzyński nie boi się nazwać rewolucją moralną. Powracające raz za razem ostre spory polityczne o podział zasług dla Solidarności pokazują, jak nadal żywy jest to temat. Autor ukazuje panoramę środowisk i postaci – prawie nikt nie powinien czuć się pokrzywdzony. Na dobre słowo nie mogą liczyć chyba tylko Konfederacja Polski Niepodległej i jej lider Leszek Moczulski.

Skórzyński, podobnie jak Andrzej Friszke, uważa, że okres legalnej Solidarności nie był czasem „karnawału”, świętowania, lecz przyspieszonych przeobrażeń świadomości, konieczności walki o zmiany społeczne i polityczne, ciągłego napięcia w obliczu całkowitego upadku gospodarki i groźby interwencji sowieckiej. Obserwujemy więc dzieje związku przede wszystkim oczami jego aktywistów i zaangażowanego społeczeństwa. Autor tylko na marginesie wspomina o obozie władzy i jego dylematach – i bardzo słusznie.

pozytywnie ocenia politykę Lecha Wałęsy i wspomagających go doradców. Ich linię określa jako połączenie determinacji i elastyczności. Pokazuje czytelnikowi, jak negocjacje na wysokim szczeblu i strajkowy straszak wzajemnie się uzupełniały. Nie ukrywa, że po mobilizacji ruchu, którą udało

się przeciągnąć aż do I Krajowego Zjazdu we wrześniu 1981 roku, jesień stała pod znakiem załamania się wewnętrznej dyscypliny, konfliktów przewodniczącego ze strukturami regionalnymi i spadku zaufania społecznego do Solidarności. Właśnie taki związek zastaje zaskoczony stanem wojennym.

Skórzyński opisuje wszystkie represje związane z 13 grudnia, rozbić Solidarności i jej przejście do podziemia. Tu narracja zaczyna się komplikować, gdyż od tego momentu – co przyznaje sam autor – opór społeczeństwa wobec władz decentralizuje się, a związek nie może już nań bezpośrednio wpływać. Co jednak najistotniejsze, po wprowadzeniu stanu wojennego różnych form działalności antysystemowej było znacznie więcej niż przed powstaniem NSZZ „Solidarność”. Najważniejszą tezą opracowania Skórzyńskiego jest więc przekonanie, że po 13 grudnia – aż do schyłku lat osiemdziesiątych – ideały Solidarności były żywe, a reaktywacja związku okazała się najważniejszym opozycyjnym postulatem. „Komunistom nie udało się przywrócić *status quo* sprzed 1980 roku” – stwierdza. Opisuje walkę społeczeństwa z reżimem Jaruzelskiego, wpływ kolejnych pielgrzymek papieskich na zmiany w Polsce oraz słabnięcie obozu władzy aż do początkowych prób rozmów z opozycją.

Jak wspominałem, Skórzyński to konsekwentny obrońca linii Wałęsy, a więc również Okrągłego Stołu. Ma do tego pełne prawo. Zbyt często jednak poczuwa się do obowiązku dawania odporu krytykom negocjowanego przełomu. W wielu miejscach wystarczyło by zaznaczenie przeciwstawnych stanowisk, wyszarybowanie kontekstu i wyjaśnienie, na czym spór polegał – jak na przykład czyni to z problemem fraternizacji w Magdalence i przy Okrągłym Stole. *Happy end* nie jest jednoznaczny. Co prawda Solidarność wygrywa czerwcowe wybory, Tadeusz Mazowiecki zostaje premierem, ale Panna „S” zostaje obarczona problemami PRL, nagromadzonymi przez dziesięciolecia.

Język, którym posługuje się Skórzyński, pozwala uchwycić klimat epoki, zrozumieć historyczne smaczki i detale. Książka została bardzo dobrze napisana, narracja jest dynamiczna. Należy pochwalić wykorzystanie w popularnym wydawnictwie różnorodnych źródeł. Autor cytuje pierwszo- i drugoobiegową prasę, wypowiedzi uczestników zdarzeń i dokumenty. Publikacja jest bogata w fotografie. Świetnym pomysłem było zamieszczenie (oprócz całościowej bibliografii) propozycji dalszych lektur, odpowiadających kolejnym rozdziałom. Znajdziemy tam opracowania polskie i zagraniczne, wspomnienia uczestników wydarzeń, reportaże, zbiory dokumentów.

Do kogo adresowana jest książka? Na pewno do studentów, szczególnie tych wiedzących coś o PRL, ale chyba nie do licealistów. Jeżeli *Krótką historią Solidarności 1980–1989* przyjmie się jako synteza dziejów największego w historii ruchu społecznego, postulowałbym – z myślą o czytelnikach mniej wyrobionych lub zagranicznych – uzupełnienie prologu o kilkanaście stron opisu historii Polski od 1944 do 1970 roku. Przy okazji będzie możliwość poprawienia bibliografii oraz indeksu osób, w których znalazło się parę błędów. ■



Jan Skórzyński,
Krótką historią Solidarności 1980–1989, Europejskie Centrum Solidarności, Gdańsk 2014, 188 s.

Wycofany zbrodniarz

Henrich Himmler nie tylko stał na czele SS – było to dzieło jego życia, emanacja wizji i realizacja ambicji. Przez lata budował pozycję polityczną i siłę organizacji (oraz własną), a także przelewał na nią swoje pragnienia i lęki. Himmlera i Schutzstaffel łączyła nierozdzielna więź. Po wygraniu batalii o zwierzchnictwo nad całym aparatem policyjnym III Rzeszy był jedną z najważniejszych osób odpowiedzialnych za Holocaust, represje i zbrodnie wojenne.

Peter Longerich, pisząc jego biografię, zadał dwa pytania: jakim człowiekiem był Himmler i jak wpłynął na historię narodowego socjalizmu w Niemczech. Odpowiedzi udzielone na te pytania są nieraz zaskakujące.

W młodości nic nie zapowiadało, że Himmler przejdzie do historii jako zbrodniarz. Miał dość spokojne i przeciętne dzieciństwo, jego relacje z rodzicami układały się dobrze, ojciec był wymagający, lecz nie surowy. Co najmniej poprawne stosunki utrzymywali przez całe życie.

Himmler jako młody człowiek miał jednak problemy z nawiązywaniem kontaktów. Był chorowity, wycofany, ale usilnie pracował nad tym, aby inni ludzie go lubili, odczuwał potrzebę akceptacji. Przez lata wykształcił w sobie silne mechanizmy samokontroli, ukrywał uczucia, starał się regulować wszelkie relacje interpersonalne przez skrupulatne przestrzeganie konwenansów. Zapewne te problemy sprawiły, że miał bardzo rozwiniętą potrzebę kontrolowania otaczającego go środowiska.

U młodego człowieka próby kontrolowania życia i wtrącanie się w prywatne sprawy bliskich były dziwactwem kłopotliwym dla otoczenia. U szefa SS stały się fundamentem stworzenia lojalnej, całkowicie oddanej grupy współpracowników i podwładnych wpatrzonych w przełożonego. Granice między tym, co prywatne, a tym, co służbowe, uległy zatarciu. Spora część jego rodziny wstąpiła do SS, a członkowie SS stali się bliscy jak rodzina.

Talent Himmlera do dobierania sobie i kształtowania uległych podwładnych obrazuje chociażby przykład Theodora Eickego. Jego kariera w strukturach SS miała szansę szybko się rozwijać, jednak na drodze stały ciągle problemy z prawem oraz konfliktowe usposobienie, które przysporzyło mu w szeregach organizacji wielu wrogów. Himmler, po tym jak Eicke złamał złożoną pod przysięgą obietnicę poprawy, usunął go z SS. Sam zainteresowany przebywał w tym czasie w szpitalu psychiatrycznym. Coś, co w normalnych okolicznościach stanowiłoby koniec kariery, stało się dla Eickego przepustką do pozycji faworyta szefa SS. Eicke – po napisaniu kilku błagalnych listów i złożeniu obietnicy poprawy – został na prośbę Himmlera zwolniony ze szpitala. Następnie był komendantem w Dachau i ślepo oddanym narzędziem w rękach Himmlera. Inwestycja się opłaciła. Eicke nie tylko współtworzył system obozów koncentracyjnych i administrował nim, ale wręcz stał się jego motorem.

Himmler wyżej cenił lojalność i szczerokość niż umiejętności. Miał nie tylko manię kontroli. Wprowadzał coraz dziwniejsze rozporządzenia wewnętrzne, dotyczące sposobu prowadzenia się esesmanów, a jednocześnie stawał się ostateczną instancją odwoławczą. Kreował się

na wyrozumiałego ojca, który skruszonym podwładnym dawał kolejne szanse albo zgodę na odstępstwa od ustalonych przez siebie reguł. Sam, w zależności od etapu, na jakim znajdowało się jego życie uczuciowe, dawał esesmanom różne (czasem sprzeczne) rady i wytyczne dotyczące ich prywatności. Oczekiwał, że będą naśladowali jego własne wybory.

Miał niespożytą energię, nie lubił kierować zza biurka – wolał rozmowy, spotkania, inspekcje, kontakty z podwładnymi. Wydaje się, że nie był szczególnie wybitnym administratorem, ujawniał raczej zdolności do uzależniania od siebie ludzi, wyścigu po akceptację i zaufanie Hitlera, deklasowania rywali, zrozumienia następstw polityki represyjnej.

Stojąc na czele policyjnego imperium, starał się znaleźć złoty środek. Z jednej strony preparował raporty o coraz to nowych zagrożeniach, z drugiej wykazywał, jak skuteczny jest w ich zwalczaniu. Kreował, a potem niszczył kolejnych wrogów: komunistów, Żydów, księży. Dbał o morale społeczeństwa przez wyszukiwanie wszelkich oznak opozycyjnego myślenia, włącznie z plotkami i dowcipami. Aby zapewnić Niemcom „bezpieczeństwo biologiczne”, prześladował homoseksualistów i walczył z aborcją.

Państwo miało, według niego, nie tylko reagować na niepożądane sytuacje, lecz także im zapobiegać. Potrzebą działania prewencyjnego uzasadniał stosowanie środków pozaprawnych i bezprawnych – liczyło się nie popełnienie „przestępstwa”, ale samo podejrzenie, że w przyszłości ktoś może je popełnić. „Przystąpiliśmy do dzieła [...] nie bez sprawiedliwości, choć być może poza prawem” – tłumaczył Himmler w Akademii Prawa Niemieckiego. Kiedy zauważył potencjalną sprzeczność poglądów prawników i swoich, oświadczył, że to „może wydać się dziwne”, ale „docenicie to”. Był przekonany o słuszności swojego postępowania, które, chociaż okrutne, służyło większemu dobru – Rzeszy i narodowi.

Biografia pióra Petera Longericha powstała na podstawie solidnej, wyczerpującej kwerendy źródłowej. Niestety historia spletała małego psikusa autorowi, który twierdził, że „jest niezmiernie mało prawdopodobne, żeby światło dzienne ujrzały kolejne materiały dotyczące Himmlera, które mogłyby dostarczyć ważnych informacji o jego działalności politycznej”. Już po napisaniu książki (wydanie niemieckie pochodzi z 2008 roku) światło dzienne

ujrzał zbiór prywatnych listów Himmlera do żony z lat 1927–1945. Co prawda nie wnoszą one nowych informacji do wiedzy o działalności politycznej, a zwłaszcza o zbrodniach szefa SS („Jadę do Auschwitz. Całusy. Twój Heini”), jednak przy tak kompleksowej biografii, w której autor bada przełożenie życia prywatnego na posunięcia polityczne, listy te na pewno miałyby swoją wagę.

Chociaż książka liczy prawie tysiąc stron, czyta się ją szybko, historyczne wiadomości i tezy są zaprezentowane klarownie oraz dobrze udokumentowane. Kolejne epizody układają się w zwartą całość, widzimy ewolucję Himmlera, powolne rozkręcanie się maszyny terrorku oraz skutki politycznych decyzji, które pociągają za sobą zbrodnicze konsekwencje. Dzieło Longericha jest imponujące. 📖



Peter Longerich, *Himmler. Buchhalter śmierci, Prószynski i S-ka*, Warszawa 2014, 960 s.

Chybiona próba odkłamania historii

Dzieje Żołnierzy Wyklętych – przez długi czas, jeszcze po 1989 roku temat tabu – od kilku lat są ważnym elementem dyskursu publicznego. Ten stan rzeczy może cieszyć, gdyż powstaje coraz więcej książek o powojennym podziemiu antykomunistycznym, i to pisanych nie tylko przez historyków profesjonalistów, lecz także przez dziennikarzy i literatów. Może też jednak rodzić pewne niebezpieczeństwa, gdy do oceny prac o charakterze literackim będziemy stosować wyłącznie kryteria naukowe, a prace naukowe oceniać według standardów literackich. Tak się stało w wypadku książki *Brudne serca* Anny Kłys. Zamieszczone na jej okładce i zachęcające do lektury opinie historyków – prof. Antoniego Dudka i dr. hab. Marcina Zarembę – oraz dziennikarza Bogdana Rymanowskiego sugerują, że rzetelność naukowa publikacji dorównuje jej walorom literackim. Nic podobnego. Książka jest niezbornym połączeniem reportażu historycznego, literackiej fikcji i wątków autobiograficznych. Autorka zestawia dwie pary biografii: w pierwszej części Stanisława Cichoszewskiego i Jana Młynarkę, w drugiej – mec. Stanisława Hejmwoskiego i Stanisława Kłysa – własnego ojca, w latach 1955–1970 funkcjonariusza UB i SB, nadzorującego działania operacyjne wobec Hejmwoskiego.

Dobór i sposób opisania postaci świadczą o przyjęciu wizji historii, w której nie ma ludzi ani do końca dobrych, ani do końca złych, a wybór drogi życiowej to zbieg okoliczności. Każdy w takiej optyce „może być równie dobrze chłopcem z lasu, jak i ubekiem z Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa Państwa”. Wszyscy stawiają sobie podobne cele: zdobyć pracę, założyć rodzinę i osiągnąć stabilizację zawodową, a więc oprawcy w niczym zasadniczym nie różnią się od ofiar.

W pierwszej części książki Anna Kłys zestawia losy pochodzących z Wielkopolski „Staśka” i „Jaśka”. Ekspozycja podobieństw w ich życiorysach odbywa się za cenę takiego zniekształcania ich biografii, aby pasowały one do zakładanego przez autorkę schematu historii. Stanisław Cichoszewski w lutym 1945 roku wstąpił do milicji. W sierpniu, stając w obronie gwałconej kobiety, zabił sowieckiego żołnierza. Został aresztowany i skazany na trzy lata więzienia, uciekł jednak z konwojowanego pociągu i wrócił w rodzinne strony. Ukrywał się, a w nocy z 14 na 15 czerwca 1946 roku wziął udział w napadzie na posterunek MO we Włoszakowicach. Został aresztowany i Wojskowy Sąd Rejonowy skazał go 21 października – jako jedyne z oskarżonych – na karę śmierci. Bolesław Bierut nie skorzystał z prawa łaski, wyrok wykonano 9 grudnia 1946 roku.

Egzekucję nadzorował drugi bohater książki, Jan Młynarek, który w marcu 1945 roku wstąpił do UB, a w sierpniu awansował na naczelnika aresztu wewnętrznego Wojewódzkiego Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego w Poznaniu i został dowódcą plutonu egzekucyjnego. Wiele wyroków wykonywał osobiście, zdarzało mu się torturować więźniów. Po siedmiu latach pracy w UB został zwolniony z powodu nadużyć i utraty zaufania kierownictwa. Autorka ociepla portret Młynarkę, informując o niewygodnym mieszkaniu i małym dziecku, które nie dawało mu spać, problemach w pracy. Czytelnik może dojść do przekonania, że Młynarek był taką samą „ofiara stalinizmu” jak torturowane i mordowane przez niego osoby. Ci ostatni nie byli przecież bez grzechu, a Młynarkowi też było ciężko...

W drugiej części książki autorka odsłania historię własnej rodziny. Pisze, że przypadkiem na stronie IPN natrafiła na nazwisko ojca, który pracował w SB. Zgodnie z przyjętą konwencją, dokonania Stanisława Kłysa w SB zestawia z działalnością Stanisława Hejmwoskiego. Do tych fragmentów książki można mieć największe zastrzeżenia zarówno natury etycznej, jak i warsztatowej. Autorka konstruuje bowiem biografię mecen. Hejmwoskiego na podstawie pisanych na niego anonimowych donosów, przechowywanych w teczce sprawy „Maestro”. Podważa w ten sposób występujący w pamięci społecznej i historiografii Poznańskiego Czerwca '56 obraz Hejmwoskiego jako niezłomnego obrońcy sądzonych uczestników poznańskiego buntu. Kłys konfrontuje wprawdzie treść donosów z wyjaśnieniami mecenasa, składanymi w czasie przesłuchań. Trzeba jednak po pierwsze pamiętać, że funkcjonariusze UB, z obawy przed dekonspiracją źródła informacji, nie udostępniali Hejmwoskiemu treści pisanych na niego donosów. Mecenasa nie odpowiada zatem na wszystkie oskarżenia donosicieli. Po drugie, autorka nie uwzględnia kontekstu powstania wyjaśnień mecenasa: w okresie apogeum stalinowskiego terrorku Hejmwoski nie mógł swobodnie pisać o swojej przeszłości. Po trzecie, Kłys skrętnie pomija występujące w teczce informacje stawiające mecenasa w zdecydowanie lepszym świetle. Po czwarte wreszcie, i to jest największy zarzut warsztatowy, opowieść o Hejmwoskim powstała jedynie na podstawie tego, co na jego temat gromadził Urząd Bezpieczeństwa. Kłys nie podjęła trudu dotarcia do rodziny ani zapoznania się z literaturą przedmiotu. Po lekturze tego rozdziału odnosi się wrażenie, że nikt nie jest bez winy, a i na Hejmwoskiego można znaleźć haki, jeżeli się dobrze poszuka. Być może zatem coś było na rzeczy w podejrzeniach SB o defraudację – taki wniosek może wyciągnąć czytelnik. Przypomnijmy: funkcjonariuszem bezpieki prowadzącym działania operacyjne wobec Hejmwoskiego był Stanisław Kłys.

Anna Kłys, po zapoznaniu się z teczką personalną ojca, relacjonuje rozmowę z nim. Są to najsłabsze partie książki, przesyczone nadmierną egzaltacją i histerią. Przede wszystkim nieprzekonująca jest niewiedza autorki na temat przeszłości ojca i trauma spowodowana odkryciem prawdy. Z książki dowiadujemy się, że znajomi i przyjaciele autorki o przeszłości jej ojca wiedzieli co najmniej od momentu otwarcia wystawy „Twarze poznańskiej bezpieki”, przygotowanej przez poznański oddział IPN w 2007 roku, o której Kłys nie słyszała. Być może. Najbardziej jednak traumą autorki zdziwiony był Stanisław Kłys, który trzeźwo przypominał córce, że przecież razem spędzali wczasy w ośrodku MSW.

Książka nie przynosi zatem odpowiedzi na to, „jak zafalszowaliśmy historię chłopców z lasu i ubeków”, gdyż niewiele jest w niej o fałszowaniu historii. Próżno w niej szukać opisu funkcjonowania systemu politycznego PRL, mechanizmów zniewalania, łamania i formatowania postaw oraz charakterów. Dla autorki pewne jest tylko to, że „bez dokładnej wiedzy o każdym z żołnierzy wyklętych lepiej nie ryzykować i nie odlewać mu tablicy pamiątkowej”. Zasadę tę stosuje jednak tylko wobec Żołnierzy Wyklętych. Pomniki tych, co wprowadzali i umacniali komunizm, mogą stać spokojnie. ■



Anna K. Kłys, *Brudne serca. Jak zafalszowaliśmy historię chłopców z lasu i ubeków*, Wielka Litera, Warszawa 2014, 328 s.



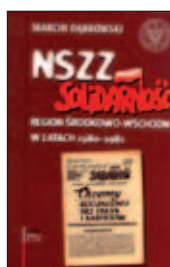
■ Przemysław Benken, *Wypadki brytyckie*, IPN, Szczecin 2014, 220 s. + 16 s. wkł. zdj.



■ Kamila Churska-Woloszczak, *Referendum ludowe i wybory do Sejmu Ustawodawczego w województwie pomorskim (1946-1947)*, IPN, Bydgoszcz – Gdańsk 2014, 311 s.



■ Daria Czarnecka, *Sprawa Stanisława Gustawa Jastera ps. „Hel” w historiografii. Kreacja obrazu zdrajcy i obrona*, IPN, Warszawa 2014, 160 s. + 16 s. wkł. zdj.



■ Marcin Dąbrowski, *NSZZ „Solidarność” Region Środkowo-Wschodni w latach 1980-1981*, IPN, Lublin 2014, 567 s.



■ *Droga na Monte Cassino 1941-1944 w fotografii Ignacego Jaworowskiego / The way to Monte Cassino 1941-1944 in photographs by Ignacy Jaworowski*, opr. M. Zemio, IPN, Stowarzyszenie Collegium Suprasliense, Białystok 2014, 320 s.



■ *Fotografie bez cenzury 1976-1989. Nieoficjalny portret PRL*, oprac. P. Sasanka, S. Stępień, T. Gleb, IPN, Warszawa 2014, 319 s.



■ *Górny Śląsk i Górnolązcy. Wokół problemów regionu i jego mieszkańców w XIX i XX wieku*, red. S. Rosenbaum, IPN, Katowice – Gliwice 2014, 390 s.



■ Daniel Gucewicz, *Próba sił? Rok 1966 w Gdańsku. Milenium kontra tysiąclecie*, IPN, Gdańsk 2014, 435 s. + 24 s. wkł. zdj.



■ *Kariera SS-Oberscharführera Hermanna Baltruschata 1939-1943. Album fotograficzny funkcjonariusza Einsatzgruppe i Geheime Staatspolizei na ziemiach polskich wcielonych do Rzeszy / Die Karriere des SS-Oberscharführers Hermann Baltruschat in den Jahren 1939-1943 / SS-Oberscharführer Hermann Baltruschat's career 1939-1943*, red. J. Z. Sawicki, współpraca J. Böhler, IPN, Niemiecki Instytut Historyczny w Warszawie, Warszawa 2014, 251 s.



■ Tomasz Kizny, współpraca Dominique Roynette, *Gulag*, IPN, Fundacja Picture Doc, Warszawa 2015, 496 s.



■ Sławomir Łukasiewicz, *Partia w warunkach emigracji. Dylematy Polskiego Ruchu Wolnościowego „Niepodległość i Demokracja” 1945-1994*, IPN, ISP PAN, Lublin – Warszawa 2014, 812 s.



■ Karol Nawrocki, *Studium przypadku. Opór społeczny wobec władzy komunistycznej w województwie elbląskim (1976-1989)*, IPN, Elbląg – Gdańsk 2014, 476 s. + 12 s. wkł. zdj.



■ *Nie tylko niezłomni i kolaboranci... Postawy dziennikarzy 1945-1989*, red. T. Wolsza, P. Wójciewicz, IPN, Warszawa 2014, 416 s.



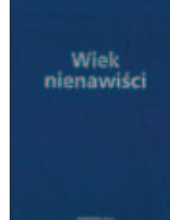
■ *Niezależne Zrzeszenie Studentów w Krakowie w latach 1980-1990. Wybór dokumentów, t. 1: 1980-1981*, oprac. H. Głębocki, M. Kasprzycki, IPN, Kraków 2014, 1428 s.



■ Patryk Pleskot, *Solidarność na Antypodach. Inicjatywy solidarnościowe polskiej diaspory w Australii (1980-1989)*, IPN, Warszawa 2014, 526 s. + 32 s. wkł. zdj.



■ Robert Spalek, *Komuniści przeciwko komunistom. Poszukiwanie wroga wewnętrznego w kierownictwie partii komunistycznej w Polsce w latach 1948-1956*, IPN, Zysk i S-ka Wydawnictwo, Warszawa – Poznań 2014, 1134 s.



■ *Wiek nienawiści*, red. E. Dmitrów, J. Eisler, M. Filipowicz, M. Wołos, G. Bąbiak, IPN, IH PAN, Warszawa 2014, 480 s.

Instytut Pamięci Narodowej
Komisja Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu
02-675 Warszawa, ul. Wołoska 7

Publikacje IPN można nabyć:
w Centrum Edukacyjnym IPN im. Janusza Kurtyki
PRZYSTANEK HISTORIA ul. Marszałkowska 21/25, 00-628 Warszawa
poniedziałek, środa w godz. 10:00-17:00,
wtorek, czwartek, piątek w godz. 8:00-18:00,
sobota w godz. 9:00-14:00, tel. 22 576 30 05

Prenumerata „Pamięci.pl”

Szczegółowe informacje na temat prenumeraty wraz z cennikiem i formularzem zamówienia znajdują się na stronie www.pamiec.pl przy opisie najnowszego wydania. Zamówienie można złożyć telefonicznie lub wysłać wypełniony formularz zwykłą pocztą na adres IPN albo pocztą elektroniczną na adresy podane poniżej.

Sprzedż wysyłkowa publikacji

zamówienia można składać telefonicznie:
tel. 22 581 86 78, 22 581 86 79;
22 581 86 96; faks 22 581 89 40
pocztą zwykłą na adres Instytutu
pocztą elektroniczną: joanna.pamula@ipn.gov.pl;
joanna.pszczola@ipn.gov.pl; danuta.wierzman@ipn.gov.pl
lub w księgarni internetowej: www.ipn.pocztytaj.pl

PRZYSTANEK HISTORIA



Centrum Edukacyjne IPN im. Janusza Kurtyki

ul. Marszałkowska 21/25
00-628 Warszawa

faks (22) 576 30 02

www.ipn.gov.pl

przystanek.historia@ipn.gov.pl
facebook.com/przystanek.historia

przystanekhistoria.ipn.gov.pl

26 lutego–9 marca

Wystawa makiet projektów pomnika Rotmistrza Pileckiego, nagrodzonych w konkursie Urzędu m.st. Warszawy. Konkurs został ogłoszony we wrześniu 2014 r., za najlepszą spośród 42 zgłoszonych prac uznano projekt *Morfenes* autorstwa Jacka Kicińskiego i Rafała Stachowicza. Pomnik stanie na Żoliborzu, w pobliżu miejsca, którym Rotmistrz dobrowolnie dał się aresztować, żeby znaleźć się wśród osób wywiezionych do obozu koncentracyjnego.

27 lutego–26 marca

Wystawa fotografii Piotra Życieńskiego *Milcząc, wola ją* poświęcona poszukiwaniom szczątków ofiar systemu komunistycznego, które prowadzono w latach 2012–2014 w kwarterze „L” Cmentarza Wojskowego na warszawskich Powązkach.

2 marca (poniedziałek) godz. 17:00

Seminarium **Polskie kino powojenne: twórcy i filmy**. Wykład poświęcony twórczości Feliksa Falka, reżysera głośnego filmu *Wodzirej*, wygłosi prof. Piotr Zwierzchowski.

3 marca (wtorek) godz. 17:00

Spotkanie z cyklu **Uczniowie obchodzą ważne rocznice historyczne**: program artystyczny *Przywrócić ich pamięci – historia Żołnierzy Wyklętych* przygotowany przez uczniów Zespołu Szkół Ponadgimnazjalnych w Bytowie.

5 marca (czwartek) godz. 12:30

Promocja drugiego tomu albumu *Sprzączki i guziki z orzelkiem ze rdzy* prezentującego prace laureatów ogólnopolskiego konkursu IPN oraz Fundacji Wspólnota Pokoleń dla szkół gimnazjalnych i ponadgimnazjalnych. Promocji towarzyszy wystawa prac nagrodzonych w V edycji konkursu.

5 marca (czwartek) godz. 18:00

Promocja książki Adama Burakowskiego *System polityczny współczesnej Rumunii*. W dyskusji udział wezmą: dr Armand Goşu i autor książki. Prowadzenie: Marek Marszałek.

9 marca (poniedziałek) godz. 17:00

Spotkanie **Klubu Historycznego im. Gen. Stefana Roweckiego „Grota”**: projekcja filmu *IV Zarząd WiN* z cyklu „Z archiwum IPN”.

12 marca (czwartek) godz. 17:30

Kolejne zajęcia z cyklu **Świat totalitarny przedstawiony. Obraz komunizmu w literaturze i filmie**. Seminarium prowadzi dr Łukasz Michalski (BEP IPN). Obowiązują zapisy: wieslaw.mlynarczyk@ipn.gov.pl

12–14 marca (czwartek-sobota)

Międzynarodowa konferencja naukowa „Political and Transitional Justice in Germany, Poland and the USSR” zorganizowana przez IPN, Instytut Historii Najnowszej w Monachium, Niemiecki Instytut Historyczny oraz stowarzyszenie MEMORIAŁ.

16 marca (poniedziałek) godz. 18:00

Spotkanie z cyklu **„Pod sierpem i młotem” – państwa komunistyczne na świecie**: wykład poświęcony komunizmowi w Wenezueli wygłosi prof. Marcin Gawrycki.

17 marca (wtorek) godz. 17:30

Promocja albumu Tomasa Kiznego *Gulag*. Publikacja ukazuje sowieckie obozy pracy przymusowej, byłych łagierników i ich potomków oraz pozostałości łagrowej cywilizacji.

18 marca (środa) godz. 17:30

Spektakl poświęcony **gen. Elżbiecie Zawackiej „Zo”** – kurierce Armii Krajowej, jedynej kobiecie wśród cichociemnych.

19 marca (czwartek) godz. 17:00

Spotkanie z cyklu **Spacerkiem po Warszawie. Wielcy architekci XX**: wykład przedstawiający sylwetkę i twórczość Jana Zachwatowicza, architekta, generalnego konserwatora zabytków w latach 1945–1957, wygłosi Jarosław Zieliński.

20 marca (piątek) godz. 9:00

Spotkanie uczestników projektu badawczego **Emigracja polityczna z krajów Europy Środkowo-Wschodniej w relacjach międzynarodowych czasu zimnej wojny**: zamknięte spotkanie członków zespołu badawczego, wystąpienia konferencyjne i dyskusja z udziałem publiczności (godz. 9:00–15:30). Osoby zainteresowane udziałem w części otwartej mogą przesyłać zgłoszenia: slawomir.lukasiewicz@ipn.gov.pl.

24 marca (wtorek) godz. 17:30

Promocja książek Janiny Hery *Polacy ratujący Żydów. Słownik* oraz *Polacy ratujący Żydów. Historie niezwykle* (red. prof. Jan Żaryn, Tomasz Sudol).

25 marca (środa) godz. 17:30

Krakowska Loża Historii Współczesnej w Warszawie: dyskusja poświęcona książce *Epizody harcerskiej konspiracji niepodległościowej na ziemi krakowskiej 1944–1953* (red. Wojciech Hausner, Marcin Kapusta, Maria Konieczna). Prowadzenie: Roman Graczyk.

26 marca (czwartek) godz. 13:00

Kolejne spotkanie **Klubu Historycznego im. Gen. Stefana Roweckiego „Grota”**.

26 marca (czwartek) godz. 17:30

W cieniu Sahrynia – Polacy i Ukraińcy na Lubelszczyźnie 1943–1944 – dyskusja wokół kwestii „polskiego odwetu” wobec Ukraińców.

28 marca (sobota) godz. 11:00

Spotkanie z cyklu **Rodzinna sobota. Historia oczami dzieci**: zajęcia będą poświęcone dekadzie Gierka. Obowiązują zapisy: magdalena.bogdan@ipn.gov.pl

